

ROGER ZELAZNY

# Mróz i Ogień

## COŚ W RODZAJU EGZORCYZMU

Właśnie zdałem sobie sprawę, że będzie to mój pierwszy zbiór opowiadań, odkąd w roku 1983 opublikowany został „Wariant jednorożca”. Od tamtego czasu przybył mi kot imieniem Amber i czarny pas w aikido, dostałem kolejne dwie nagrody Hugo, wypełniłem książkami jakieś sześć metrów półek, a także nazwano na moją cześć małżorzeczka (Sclerocypris zelaznyi - dziękuję, doktorze Martens) i popełniłem ten błąd, że chełpiłem się tym wobec Jacka C. Haldemana II, którego nazwiskiem, jak się okazało, nazwano tasiemca (Hymenapolis haldemanii - zawsze trzeba uważnie dobierać prototypy swoich postaci, jako że Jay jest częściowo Fredem Cassidym). To tyle, żeby odpowiedzieć tym z was, którzy pytali o wydarzenia z mojego życia. I wciąż mieszkam na tym samym wzgórzu w Nowym Meksyku, z tą samą cierpliwą damą, Judy, która teraz jest prawniczką.

Doszło do tego, że z pewną przyjemnością oczekiwałem wybierania opowiadań do nowego zbioru i układania ich w całość, ponieważ w naszych czasach znaczy to, że trzeba napisać wstęp. Jest to praktyka, której kiedyś nienawidziłem, ale która, jak odkryłem, powoduje, że myślę inaczej niż zwykle o pisarstwie, a o swoim - w szczególności. Odkryłem, że zaczyna mi się podobać uczucie mętnego filozofowania na temat tej działalności na przestrzeni kilku stronogodzin co kilka lat.

W przypadku niektórych moich opowiadań postać taka jak Dilvish, Kalifriki, Mari czy Conrad wynurza się z mroku, bierze moją uwagę jako zakładnika i czeka. Okoliczności podsuwają wtedy pomysły, wydarzenia łączą się w całość i opowiadanie posuwa się naprzód jak cień. Zazwyczaj takie historie to dłuższe utwory, nawet powieści. Kiedy już raz zobaczą ich kształty, istnieją dla mnie jako duchy, dopóki nie przyszpilę ich i nie przeniosę na papier.

Innym razem pomysł przychodzi pierwszy i muszę szukać postaci, które będą jego motorem - tak jak to było, powiedzmy, z „Nocnymi królami”, gdy każdy bohater w ciągu mniej więcej pół godziny od pojawienia się pomysłu odpowiadał na moje myślowe ogłoszenie „Potrzebny pracownik”. Takie rzeczy często zdarzają się w wypadku opowiadań.

Jest też wreszcie opowiadanie zapoczątkowane przez poruszający obraz. Ale najpierw pozwólcie mi się zatrzymać i coś wyjaśnić.

Każdego dnia czytam trochę poezji. Myślę, że to ćwiczenie ma dla umiejętności warsztatowych prozaika znaczenie najbliższe temu, jakie codzienne praktykowanie form tai chi ma dla ciała. Dawno temu wołałem w poezji dosłowność i prawie absolutną logiczność. Ustąpiłem w tej sprawie i zdołałem odnaleźć przyjemność w wierszu tylko dzięki jego

językowi albo obrazom, gdy natknąłem się na Dylana Thomasa. Jednak na początku działało się to tylko od czasu do czasu i niewielu innych autorów potrafiło wyrzucić na mnie takie wrażenie. Rilke to potrafił. A. R. Ammons potrafił, czasami. Niektóre rzeczy Lorki też to potrafiły. Ale tak naprawdę dopiero kiedy odkryłem dzieła W. S. Merwina, uświadomiłem sobie, że mógłbym być trwale szczęśliwy dzięki samym tylko obrazom, gdyby pochodziły one od kogoś o niezmiernie potężnej wizji i osobowości, kogoś mówiącego o wszystkim tonem, który uważałem za odpowiadający niejako moim upodobaniom, gdyż przypominał mi znowu o czyjejś obserwacji: „Słowo w obrazach, ono właśnie trzyma ucichłych wierzb kotwice w swym poblasku”. I z biegiem lat rzeczy tego rodzaju zrobiły u mnie swoje.

Łatwo daję się nabierać atrakcyjnym obrazom i istnieją opowiesci albo fragmenty książek wywodzące się z poruszającego obrazu: robot przebijający się z trzaskiem przez cementarz światów w „Człowieku, który kochał Faioli”, Kat podążający w górę Missisipi jak Anioł Śmierci, zejście Sama do Piekielnej Studni w „Panu Światła”, zniszczenie Wielkiej Maszyny w Widmowym Jacku, Czas traktowany jako superautostrada w Drogowskazach.

Spośród tych trzech wrót do fikcji literackiej opowiadania, w których ważne są postacie, robią na mnie zwykle najpotężniejsze wrażenie pod wszystkimi względami, chociaż utwory wywodzące się z obrazów są często obdarzone prawie magiczną mocą i ich pisanie daje wiele radości. Również wtedy, gdy poruszający obraz zostaje połączony z opowiadaniem o postaciach albo z opowiadaniem opartym na pomysłe, najczęściej wychodzi z tego coś dobrego.

Najczęściej - ale nie zawsze. O science fiction często mówi się, że jest to „literatura pomysłów”. Nie znaczy to jednak, że każde opowiadanie biorące początek od pomysłu jest automatycznie jednym z doskonałych przykładów swojego gatunku, nawet kiedy u jego podstaw leżą najnowsze poglądy naukowe. Opowiadania oparte na pomysle mogą się potoczyć w dowolnym kierunku, zależnie od tego, kto lub co odpowie na ogłoszenie o poszukiwaniu pracownika. Tak naprawdę od czasu do czasu mam dziwny i nie podlegający negocjacji problem z pracownikami: zdarza się, że niewłaściwe postacie pojawiają się i nie chcą odejść, organizują strajk okupacyjny na terenie zakładu, to znaczy na pomysle. Ja wiem, że należą do innego opowiadania i że rujną to, które próbują przejąć. Czy posłuchają? Nie. To jak coś z Pirandella. Tak zapaskudzają pomysł swoją obecnością, że nikt inny nie pasuje potem do zmienionej sytuacji. Zwykle odchodzę więc z niesmakiem i próbuję zapomnieć o całej sprawie. Jest wiele innych pomysłów tam, skąd ten przyszedł. Komu potrzebne są podobne utrudnienia?

Ale czasami wracają, by narzekać i drażnić...

Mam jeden pomysł, który nie chce odejść, i pomyślałem, że opowiadanie o historii, której nie mogę opowiedzieć, może być nawet zabawniejsze niż samo jej opowiadanie, jeśli za mną nadażacie. Chcę ją zniszczyć, chcę odprawić egzorcyzmy, które wypędzą jej dokuczliwe duchy.

Nie tak dawno temu przeczytałem o nowych mapach wnętrza ziemi tworzonych dzięki wykorzystaniu pewnego rodzaju tomografii sejsmicznej. Mapy te umiejscawiały odwrócone do góry nogami odpowiedniki ukształtowania powierzchni ziemi w jej jądrze - antykontynenty, anty-oceany, antypasma górskie. Gdy to rozważałem, przyszła mi do głowy myśl, że jeśli pasma górskie mogą odcisnąć w jądrze ziemi odwrócone cechy jej powierzchni, to dlaczego sztuczny twór o wystarczających rozmiarach nie miałby zrobić tego samego? Wielkie miasto musi mieć masę równą masie niektórych pasm górskich. Przypuśćmy, że jest tam na dole antyManhattan. Albo antyParyż. Albo antyLondyn. Jak można podejść do takiej sytuacji, by wykorzystać ją w literaturze? Zwróciłem się do „Life Beyond Earth” Geralda Feinberga i Ruperta Shapiro (William Morrow, 1980), zabawnej książki pełnej hipotetycznych gatunków pomyślanych tak, by poradziły sobie w bardzo różnorodnych środowiskach. Napotkałem jeden, który mógłbym zapożyczyć: magmoby, prawdopodobnie żywiące się ciepłem albo wykradające środki niezbędne do przeżycia z obszarów promieniowania. Forma życia, której istnienia nie można by zbyt łatwo uzasadnić - a jednak nacisk byłby na antygeografii jądra, która teraz rodziła wspaniałe obrazy wspierające pomysł.

Stwierdziłem, że mógłbym dać tym wolno poruszającym się, pływającym w magmie stworzeniom proporcjonalnie długie okresy życia, tak by mogły obserwować poruszające się w przyspieszonym (dla nich) tempie elementy antypowierzchni, gdy antyKartagina, antyKonstantynopol, antyLizbona, antyHiroszima mknęłyby obok. A potem...

Ale nie byłem zadowolony z magmobów - co, jak przypuszczam, było niemądre - i wtedy odkryłem, że nie chcą odejść. Dobrze. Miałem pomysł i kilka ładnych obrazów, coś, co widziałem w wyobraźni jako ogniste trylobity, roznosiłoby ławę po całym tym obszarze. (Zgoda, magmę). Chciałem odesłać je gdzieś daleko i zacząć od początku, ale nie zamierzały mi na to pozwolić. Wiem, że zdarzyło się to w środku lipca, gdyż zanotowałem w swoim dzienniku obecność na przedstawieniu „Cosi fan tutte” w operze w Santa Fe 15 lipca, gdzie wpadłem na Suzy McKee Charnas i jej męża Steve’a. Pod wpływem strasznie silnego impulsu chciałem powiedzieć: „Suzy, mam wspaniały pomysł, który możesz mieć za darmo. Nieważne dlaczego”. Ale światła już mrugały i nie było czasu. A później się na nią nie natknąłem, więc postanowiłem zatrzymać ten pomysł, na wypadek gdybym się domyślił, jak pokonać trylobity. Nigdy mi się to nie udało i utwierdzam się w przekonaniu, że

prawdopodobnie to też jest dobre rozwiązanie. Wciąż mogę zamknąć oczy i zobaczyć wieżowce antyManhattanu, pod nim ogniste niebo przesuwające się, jakby to był Dzień Gniewu (z melodiami antyGershwinia niczym z czarnej mszy na ścieżce dźwiękowej?), a wtedy te płonące, wieloczłonowe skamieniałe typy przepływają obok, wydając głębokie, przypominające chichot dźwięki. A gdyby ta cholerna rzecz była jak wirus komputerowy w twoim edytorze tekstu? Nie zniósłbym, gdybym dał coś takiego dobremu pisarzowi, jakim jest Suzy, która jest też przyjaciółką. Ukazanie tego w ten sposób powinno jednak po prostu to zniszczyć, mam nadzieję.

Tak czy owak, jak mówiłem, istnieją dla mnie opowiadania kładące nacisk na postacie, opowiadania oparte na pomyśle i opowiadania mające u swych podstaw obrazy. Rozróżnienie to dotyczy bram, którymi wchodzi one do mojego wszechświata. Ostateczny produkt, w najlepszym z możliwych światów, powinien zawierać wszystkie trzy elementy. Ale jeśli zawiera dwa, jest już dobrze. A nawet zgodzę się na jeden, gdy mam zły dzień i potrzebuję pieniędzy.

Poza tym, kiedy rzeczy nie całkiem się zazębiają, lubię spędzać czas z duchami, szczególnie podczas porannej przerwy na kawę, gdy przyglądam się górom.

Tyle o moich pisarskich sztuczkach.

Chcę tu dodać kilka słów na inny temat. Ilość poczty, jaką otrzymuję od czytelników, wzrosła ostatnio dość znacznie i po prostu nie ma sposobu, bym mógł odpisywać na listy, a przy tym nadal żyć i pisać, zachowując jednocześnie względną równowagę umysłu. Nie mogę już nawet dłużej próbować odpowiadać na pytania dotyczące mojej pracy, mnie samego, mojego nastawienia do poszczególnych spraw. Chcę po prostu powiedzieć „dziękuję wam”, tu i teraz, wszystkim, którzy znaleźli czas, żeby napisać do mnie kilka zdań. Żałuję też, że nie mam więcej czasu.

Dzięki za waszą ciekawość.

## WIECZNA ZMARZLINA

*W moim poprzednim zbiorze opowiadań, „Wariant jednorożca”, wspomniałem w słowie wstępnym do tytułowej historii, że utwór powstał podczas alaskijskiego rejsu (w maju 1980 roku); wcześniej wyliczyłem część materiałów i wydarzeń, które doprowadziły do jego napisania. W trakcie pobytu w Zatoce Lodowców (i nieco wcześniej, gdy odwiedziliśmy lodowiec Mendenhall koło Juneau) poczułem pierwsze drgnienie pomysłu na opowiadanie - coś, co byłoby związane z mocą całego tego lodu i zimna. Miesiąc później byłem gościem honorowym na Westercon w Los Angeles, przez następne kilka dni przebywałem z krewnymi Judy w San Diego, a potem pojechałem na południe w głąb Baja California, aż do San Quintin. Prowadziłem wynajęty wóz na benzynę bezołowiową. Zostało mi dokładnie pół baku, kiedy zajechaliśmy na parking hotelu El Presidente w San Q - dużego, kolorowego, imponującego miejsca, w którym byliśmy właściwie jedynymi gośćmi. Coś związanego z poczuciem, że jesteśmy prawie sami w starym hotelu, dało mi następny bodziec do opowiadania i połączyło się z lodowcem, a także z dyskusją dotyczącą sztucznej inteligencji, której przysłuchiwałem się na konwencie. Planowałem jechać jeszcze dalej na południe, ponieważ krajobraz ogromnie mi się podobał, dopóki nie dowiedziałem się, że na południe od Ensenady nie można kupić benzyny bezołowiowej - zacząłem się więc zastanawiać, czy w ogóle uda mi się wrócić na tym, co mi pozostało. (Odpowiedź, żeby rozładować napięcie: jakoś doturlałem się potem do miasta na ostatniej odrobinie). W drodze powrotnej zacząłem też myśleć o kontraście między Baja a Alaską. Mniej więcej w tym samym czasie przeczytałem też *Forgotten Peninsula* Josepha Wooda Krutcha i *Corning into the Country* Johna McPhee, aby dotrzymywały tym myślom towarzystwa. Wrażenia te się przenikały, a wtedy, na lotnisku w LA, podśluchałem okropną kłótnię między jakimś facetem i kobietą, która w pewnym sensie posłużyła jako katalizator wszystkiego powyższego. Gdy leciałem do domu, zrodził się ogólny pomysł na zamieszczone tu opowiadanie i przyszły mi do głowy pierwsze wyobrażenia o głównych postaciach.*

*Niczego nie przelewałem na papier przez następne kilka lat.*

*Ludzie, którzy nie piszą, są czasami zaniepokojeni, gdy wspominam o takich rzeczach. Ale, jak już powiedziałem w moim wstępie, żyję z duchami i zwykle ich towarzystwo jest przyjemne. Byłem zbyt zajęty, żeby napisać to opowiadanie, i nie miało to żadnego znaczenia. W każdej chwili mam pewną liczbę postaci i historii gotowych do działania, kiedy tylko będę miał na to czas albo ochotę. Tymczasem dobrze jest mieć je wokół siebie. Gdy opowiadanie*

*jest już napisane, zwykle odchodzą albo, co najwyżej, odwiedzają mnie, ale tylko z rzadka.*

*Tak więc żyłem z „Wieczną zmarzliną” i jej bohaterami przez kilka lat. I wtedy, pewnego dnia, czas i pragnienie połączyły się i zacząłem pisać. Nim skończyłem, George R. R. Martin zatelefonował do mnie, mówiąc, że jesteśmy zaproszeni, by przeczytać coś w Taos za tydzień czy dwa. Wyglądało to na dobry pomysł, więc podkręciłem tempo i zdołałem skończyć opowiadanie dwa wieczory przed czytaniem - lubię mieć nowy materiał na takich spotkaniach, kiedy to tylko możliwe. Nie miałem okazji, żeby na czas doprowadzić tekst do porządku, zatem dokonywałem poprawek praktycznie w trakcie czytania. Gdy skończyłem, George radośnie powiedział mi, że dostanę za to Hugo. A następnego dnia Ellen Datlow, redaktorka „Omni”, zadzwoniła i powiedziała: „Rozumiem, że wczoraj wieczorem przeczytał pan w Taos opowiadanie pod tytułem „Wieczna zmarzlina”. Chcę je kupić”. Zacząłem się zastanawiać, czy nazwa jej czasopisma nie jest skrótem od „omnibus”, ale okazało się, że tego ranka rozmawiała z George’em o innej sprawie, a on skorzystał z okazji, żeby mnie zareklamować. Mówiąc krótko, sprzedałem Ellen to opowiadanie dla „Omni” (nastąpiło długie techniczne opóźnienie, zanim ukazało się ono w kwietniu 1986 roku), George miał rację co do Hugo (muszę go skłonić, żeby mi powiedział, jak czasami robi takie rzeczy), a ponieważ w następnym roku nie mogłem pojechać na konwent do Anglii, Ellen przyjęła nagrodę w moim imieniu, a Melinda Snodgrass przywiozła mi ją do Nowego Meksyku.*

*Dzięki, George; dzięki, Ellen; dzięki, Melinda; i dziękuję wam wszystkim, drzewa budzą i foki.*

Wysoko na zachodnim zboczu Kilimandżaro leży wyschnięte i zamrożone ścierwo lamparta. Autor jest zawsze potrzebny, żeby wyjaśnić, co ono tam robiło, ponieważ sztywne lamparty nie mówią zbyt wiele.

MEŹCZYŻNA. Muzyka zdaje się przychodzić i odchodzić według własnej woli. Przynajmniej kręcenie gałką zestawu przy łóżku nie ma wpływu na jej obecność czy nieobecność. Na wpół znajoma, obca, w pewien sposób niepokojąca melodia. Telefon dzwoni, a on go odbiera. Po drugiej stronie nikogo nie ma. Znowu.

Cztery razy w ciągu pół godziny, podczas gdy doprowadzał się do porządku, ubierał i powtarzał swoje argumenty, otrzymał głuche telefony. Kiedy sprawdził na portierni, powiedziano mu, że nikt nie dzwonił. Ale ten cholerny urzędniczy automat na pewno nie działał jak należy - jak wszystko inne w tym miejscu.

Wiatr, i tak już porywisty, wzmaga się, ciskając cząstki lodu o budynek z odgłosem

mnóstwa drapiących malutkich pazurów. Wycie stalowych okiennic wracających na swoje miejsce zaskakuje go. Ale najgorsze jest to, że zdaje mu się, iż spojrzawszy odruchowo w najbliższe okno, zobaczył jakąś twarz.

To oczywiście niemożliwe. To jest trzecie piętro. Światło igra z miotanymi płatkami: nerwy.

Tak. Jest nerwowo od ich przyjazdu tego ranka. Był nawet wcześniej...

Przebija się przez rzeczy Dorothy na blacie, znajduje mały pakunek pośród swoich przedmiotów. Odpakuje płaski, czerwony prostokąt wielkości paznokcia swojego kciuka. Podwija rękaw i wklepuje ten plaster w zgięcie lewego łokcia.

Środek uspokajający natychmiast wnika do jego krwiobiegu. Bierze kilka głębokich wdechów, po czym odrywa plaster i wrzuca go do zestawu na odpady. Opuszcza rękaw, sięga po kurtkę.

Muzyka staje się głośniejsza, jakby rywalizowała z podmuchami wiatru, z grzechotaniem lodowych płatków. W przeciwległym kącie pokoju włącza się sam z siebie wideoekran.

Twarz. Ta sama twarz. Tylko przez chwilę. Jest pewien. A potem poza kanałami statyczne, faliste linie. Śnieg. Śmieje się cicho.

W porządku, róbcie tak dalej, nerwy, myśli. Macie wszelkie powody. Ale teraz dorwie was ukajacz. Lepiej bawcie się szybko. Zaraz zostaniecie powstrzymane.

Wideoekran pokazuje widowisko porno.

Uśmiechając się, kobieta dosiada mężczyzny...

Obraz przeskakuje na bezgłośnego komentatora mówiącego o tym czy o tamtym.

Przeżyje. Zawsze udaje mu się przetrwać. On, Paul Plaige, robił już wcześniej ryzykowne rzeczy i zawsze wychodził z tego cało. Problem tylko w tym, że obecność Dorothy tworzy rodzaj deja vu, które burzy jego spokój. Nieważne.

Ona czeka na niego w barze. Niech czeka. Kilka drinków sprawi, że łatwiej będzie ją przekonać - o ile nie stanie się kąśliwa. To też czasami się zdarza. Tak czy owak musi jej to wybić z głowy.

Cisza. Wiatr zamiera. Drapanie ustaje. Muzyka zamilkła.

Furkotanie. Okiennice otwierają się na puste miasto.

Cisza pod całkowicie zachmurzonym niebem. Góry lodu otaczają to miejsce. Żadnego ruchu. Nawet wideo zamarło.

Wzdrga się, widząc nagły błysk z zespołu na peryferiach, daleko po lewej, na drugim końcu miasta. Laserowy promień uderza w najważniejsze miejsce lodowca i jego czoło



odpada.

Kilka chwil później słyszy głuchy, grzmiący odgłos kruszącego się lodu. Sypka burza narasta jak przybrzeżna fala u stóp lodowej góry. Uśmiecha się, myśląc o potędze, wyborze odpowiedniej chwili, prezentacji. Andrew Aldon... zawsze przy pracy, pojedynkuje się z żywiołami, doprowadza do pata samą naturę, nieśmiertelny strażnik Playpoint. Przynajmniej Aldon nigdy się nie psuje.

Znów zapada cisza. Gdy patrzy na to, jak wzniesiony śnieg opada, czuje, że ukajacz zaczyna działać. Dobrze będzie nie musieć się już martwić o pieniądze. Minione dwa lata bardzo go wyczerpały. Widział, jak wszystkie jego inwestycje upadają podczas Wielkiego Krachu - to wtedy jego nerwy zaczęły się odzywać. Był teraz delikatniejszy niż przed stuleciem, gdy jako młody, kościsty najemnik wybierał się, by zdobyć majątek i cieszyć się nim. I udało mu się. Teraz musi to powtórzyć, chociaż tym razem będzie to łatwiejsze - tylko że jest Dorothy.

Myśli o niej. Sto lat młodsza od niego, wciąż jeszcze przed trzydziestką, czasami lekkomyślna, przyzwyczajona do wszystkich dobrych rzeczy w życiu. Jest w Dorothy coś kruchego, czasem tak bardzo się od niego uzależnia, że czuje się dziwnie poruszony. Kiedy indziej po prostu diabelnie go to irytuje. Być może nie stać go teraz na nic bliższego miłości: od czasu do czasu niejasna odpowiedź, gdy jest potrzebny. Ale oczywiście ona jest przy forsie. To rodzi pewien stopień niezbędnej uprzejmości, przynajmniej dopóki nie zrobi znowu własnych pieniędzy. Ale żadna z tych rzeczy nie jest powodem, dla którego musi powstrzymać ją od towarzyszenia sobie w podróży. To coś innego niż miłość czy pieniądze. To walka o przeżycie.

Laser znów błyska, tym razem po prawej. Czeka na łoskot.

POSAŃG. To nie jest ładna poza. Leży zmrożona w lodowej jaskini. Wygląda jak jedna z mniej wygodnie ułożonych postaci Rodina, częściowo oparta na lewym boku, z prawym łokciem uniesionym nad głowę. Ręka zwisa blisko twarzy, ramiona opierają się o ścianę, lewa noga jest całkowicie zakopana.

Ma na sobie szare futrzane okrycie z kapturem, który - odsunięty do tyłu - ujawnia skręcone pasma ciemnoblonde włosów; ma niebieskie spodnie; na widocznej nodze jest czarny but.

Pokrywa ją lód i w wielokrotnie załamanej świetle jaskini to, co można dostrzec z jej rysów, nie jest nieprzyjemne, ale też nie jest uderzająco atrakcyjne. Wygląda na dwadzieścia kilka lat.

Na ścianach i podłodze jaskini widać kilka pęknięć. Na górze niezliczone sople

zwisają jak stalaktyty, skrząc się niby klejnoty w po wielokroć odbitym świetle. Do groty prowadzą pochyłe stopnie z posągami na szczycie, co nadaje temu miejscu wygląd niejako kaplicy.

Niekiedy, gdy powłoka chmur pęka o świcie, czerwonawe światło pada na jej postać.

Tak naprawdę przesunęła się w trakcie stulecia - o kilka cali, z powodu przemieszczania się lodu. Sztuczki światła sprawiają jednak, że zdaje się przesuwać częściej.

Cała ta dramatyczna scena może tworzyć wrażenie, że to po prostu wzruszająca kobieta, która - złapana w pułapkę - zamarzła tu na śmierć, a nie posąg żyjącej bogini stojący w miejscu, gdzie się to wszystko zaczęło.

KOBIETA. Siedzi w barze przy oknie. Patio na zewnątrz jest szare, kanciaste, zasypane śniegiem; kwietniki wypełniają martwe rośliny - sztywne, spłaszczone, zamrożone. Jej ten widok nie przeszkadza. Daleka jest od tego. Zima to pora śmierci i chłodu, a ona lubi, gdy się jej o tym przypomina. Podoba się jej perspektywa walki z jej oziębłymi i doskonale widocznymi kłami. Nikłe mgnienie światła przelatuje nad patio, a za nim odgłos odległego huku. Pije wolno swojego drinka, oblizuje wargi i słucha łagodnej muzyki, która wypełnia powietrze.

Jest sama. Barman i reszta personelu są z rodzaju mechanicznego. Gdyby ktoś inny niż Paul wszedł do środka, zaczęłaby pewnie krzyżeć. Są jedynymi ludźmi w hotelu w tym długim martwym sezonie. Wyłączywszy śpiących, są jedynymi ludźmi w całym Playpoint.

I Paul... Będzie wkrótce obok, żeby zabrać ją do jadalni. Tam, jeśli zechcą, mogą wezwać holoduchy, które zaludnią inne stoliki. Ona tego nie chce. Lubi być sama z Paulem o takiej porze, tuż przed wielką przygodą.

Przy kawie opowie jej o swoich planach i być może jeszcze tego popołudnia uda się im zdobyć konieczne wyposażenie, by rozpocząć poszukiwania tego, co znów postawiłoby go finansowo na nogi, przywróciło mu szacunek do samego siebie. Oczywiście, będzie to niebezpieczne i bardzo opłacalne. Kończy drinka, wstaje i idzie do baru po następnego.

I Paul... Naprawdę złapała spadającą gwiazdę, zawiadającą, którego opuściło szczęście, mężczyznę ze wspaniałą przeszłością balansującego na krawędzi ruiny. Huśtawka trwała już, gdy spotkali się przed dwoma laty, co czyniło to jeszcze bardziej podniecającym. Oczywiście, potrzebował kobiety takiej jak ona, żeby się na niej wesprzeć w takim czasie. Nie chodziło tylko o jej pieniądze. Nigdy nie mogła uwierzyć w rzeczy, które opowiadali o nim jej zmarli rodzice. Nie, jemu naprawdę na niej zależy. Jest dziwnie kruchy i zależny.

Chce go zmienić na powrót w mężczyznę, którym kiedyś musiał być, a wtedy rzecz jasna ten mężczyzna też będzie jej potrzebował. To, czym był - oto, czego potrzebuje

najbardziej - mężczyzna, który może sięgnąć nieba i wyrzucić zeń księżyc. Musiał być taki dawno temu.

Próbuje drugiego drinka.

Mimo wszystko niech się lepiej ten sukinsyn pospieszy. Zaczyna być głodna.

MIASTO. Playpoint znajduje się w świecie znanym jako Balfrost, na szczycie wysokiego półwyspu, który opada ku zamrożonemu teraz morzu. Playpoint posiada wszystkie urządzenia niezbędne na placu zabaw dla dorosłych i jest jednym z najpopularniejszych miejsc wypoczynku w tym sektorze galaktyki od późnej wiosny do wczesnej jesieni: w przybliżeniu przez pięćdziesiąt ziemskich lat. Później zima nadchodzi jak zlodowacenie i wszyscy wyjeżdżają na pół wieku - albo na pół roku, zależy, jak kto patrzy na takie sprawy. W tym czasie nad Playpoint pieczę sprawuje ta zautomatyzowana rutyna obronno-konserwacyjna. Jest to samonaprawiający się system, zaprogramowany na czyszczenie, odśnieżanie, topienie, rozmiękczenie i ogrzewanie wszystkiego, co potrzebuje takiej opieki, a także na bezpośrednią walkę z wdzierającym się do miasta lodem i śniegiem. Wszystkie te działania wykonywane są pod nadzorem dobrze zabezpieczonego centralnego komputera, który bada także wzory pogodowe i klimatyczne, równie dobrze przewidując, jak reagując.

System ten pracował z powodzeniem przez wiele stuleci, oddając Playpoint wiosnie i przyjemnościom we względnie dobrym stanie przy końcu każdej długiej zimy.

Za Playpoint są góry, woda (albo lód, w zależności od pory roku) z trzech stron, a satelity nawigacyjne i pogodowe wysoko w górze. W bunkrze pod budynkiem administracji jest para śpiących - zazwyczaj mężczyzna i kobieta - którzy budzą się mniej więcej raz w roku, by osobiście przeprowadzić inspekcję funkcjonowania systemu konserwacyjnego i zająć się wszelkimi szczególnymi sytuacjami, które mogły powstać. W razie nadzwyczajnej potrzeby alarm może ich obudzić w każdej chwili. Otrzymują dobrą zapłatę i przez te lata dowiedli, że wari są zainwestowanych w nich pieniędzy. Centralny komputer ma do dyspozycji materiały wybuchowe i lasery, a także najrozmaitsze roboty. Zwykle trochę wyprzedza grę i rzadko na długo pozostaje w tyle.

W tej chwili sytuacja jest mniej więcej wyrównana, bo pogoda była ostatnio wyjątkowo dokuczliwa.

Zzzzt! Następny lodowy blok zmienił się w kałużę.

Zzzzt! Kałuża została odparowana. Cząsteczki wspinają się do miejsca, gdzie mogą się spotkać i powrócić jako śnieg.

Lodowce szurają stopami, posuwają się naprzód. Zzzzt!

Ich zysk stał się stratą.

Andrew Aldon dokładnie wie, co robi.

ROZMOWY. Potrzebujący smaru kelner oddala się chwiejnie po tym, jak ich obsłużył; przechodzi przez kołyszące się dwuskrzydłowe drzwi.

Ona chichocze.

- Rozbujany - mówi.

- Urok Starego Świata - zgadza się on, próbując bezskutecznie spojrzeć jej w oczy, gdy sam się uśmiecha.

- Wszystko masz opracowane? - pyta ona, gdy zaczynają jeść.

- Tak jakby - mówi, znów się uśmiechając.

- To znaczy tak czy nie?

- I to, i to. Potrzebuję więcej informacji. Najpierw chcę pójść i sprawdzić, czy tak się sprawy mają. Wtedy będę mógł wybrać najlepszy sposób działania.

- Widzę, że używasz zaimka w liczbie pojedynczej - mówi ona spokojnie, odwzajemniając ostatecznie jego spojrzenie.

Jego uśmiech zamarza i więdnie.

- Mówiłem tylko o małym, wstępnym zwiadzie - rzuca cicho.

- Nie - stwierdza ona. - My. Nawet na mały, wstępny zwiad.

On wzdycha i odkłada widelec.

- To będzie miało naprawdę niewiele wspólnego ze wszystkim, co nastąpi później - zaczyna. - Sytuacja bardzo się zmieniła. Będę musiał znaleźć nową trasę. To będzie po prostu nudna robota, żadnej zabawy.

- Nie przyjechałam tu dla zabawy - odpowiada ona. - Mieliśmy wszystko robić razem, pamiętasz? Obejmuje to nudę, niebezpieczeństwo i wszystko inne. Taka była umowa, kiedy zgodziłam się zapłacić za naszą drogę.

- Przeczuwałem, że do tego dojdzie - mówi on po chwili.

- Dojdzie do tego? To zawsze tam było. Taka była nasza umowa.

On podnosi swój kielich i pije wino małymi łykami.

- Jasne. Nie próbuję pisać na nowo historii. Chodzi tylko o to, że sprawy posunęłyby się szybciej naprzód, gdybym część wstępnego rozpoznania mógł zrobić sam. Sam mogę poruszać się szybciej.

- A skąd ten pośpiech? - pyta ona. - Kilka dni w tę czy w tamtą. Jestem w bardzo dobrej formie. Aż tak bardzo cię nie spowolnię.

- Wydawało mi się, że szczególnie ci się tutaj podoba. Chciałem tylko przyspieszyć

sprawy, żebyśmy mogli się stąd wynieść.

- To bardzo ładnie z twojej strony - mówi, zaczynając znowu jeść. - Ale to mój problem, prawda? - Podnosi wzrok i patrzy na niego. - Chyba że z jakiegoś innego powodu nie chcesz, żebym z tobą szła? On opuszcza szybko oczy, podnosi widelec.

- Nie bądź niemądra. Ona uśmiecha się.

- A więc ustalone. Pojadę z tobą dziś po południu poszukać szlaku.

Muzyka milknie, a zastępuje ją odgłos przypominający chrząknięcie. Potem odzywa się głęboki, męski głos:

- Proszę mi wybaczyć, bo może wyglądać na to, że podsłuchuję. W rzeczywistości jest to tylko część nieskomplikowanej funkcji monitorującej, której działanie utrzymuję...

- Aldon! - wykrzykuje Paul.

- Do pańskich usług, panie Plaige, powiedzmy. Decyduję się ujawnić moją obecność tylko dlatego, że w istocie was podsłuchałem, a sprawa waszego bezpieczeństwa bierze górę nad dobrymi manierami, które w innym wypadku nakazywałyby powściągliwość. Otrzymuję doniesienia wskazujące na to, że tego popołudnia możemy mieć tu wyjątkowo złą pogodę. Jeśli więc planowaliście dłuższy pobyt na zewnątrz, zalecałbym, żebyście go odłożyli na później.

- Och - mówi Dorothy.

- Dzięki - rzuca Paul.

- Teraz się usunę. Życzę smacznego posiłku i miłego , pobytu.

Muzyka powraca.

- Aldon? - mówi Paul. Nie ma odpowiedzi.

- Wygląda na to, że zrobimy to jutro albo później.

- Tak - zgadza się Paul i po raz pierwszy tego dnia jego uśmiech nie jest wymuszony.

Ale myśli szybko.

ŚWIAT. Życie na Balfrost toczy się w szczególnych cyklach. Podczas długiej zimy odbywają się wielkie migracje życia zwierzęcego i na połę zwierzęcego do regionów równikowych. Wciąż trwa życie w głębinach mórz. A wieczna zmarzlina wibruje własnym życiem.

Wieczna zmarzlina. Przez całą zimę, a potem wiosną zmarzlina żyje, osiągając szczyty rozwoju. Jest powiązana grzybniami: wijącymi się, zagłębiającymi, dotykającymi, supłającymi i tworzącymi zwoje, które sięgają dalej, by wnikać w inne formacje. Otacza glob, wibrując przez całą zimę niczym zbiorowa podświadomość. Wiosną wysyła w górę łądygi, na których na kilka dni rozwijają się szare, podobne do kwiatów dodatki. Potem

kwiaty te upadają i ukazują się ciemne strąki, które następnie pękają z cichym trzaskiem, uwalniając chmury skrzących się zarodników roznoszonych prawie wszędzie przez wiatry. Zarodniki są niezwykle trwałe, tak jak grzybnie, którymi pewnego dnia się staną.

Letni żar toruje sobie wreszcie drogę do wnętrza wiecznej zmarzliny i włókna zapadają w drzemkę, następuje długi okres uśpiania. Kiedy wraca chłód, zostają pobudzone, zarodniki wysyłają młode nitki, które naprawiają stare uszkodzenia, tworzą nowe synapsy. Zaczyna płynąć strumień. Życie lata jest jak gasnący sen. Przez wieki tak się właśnie rzeczy miały na Balfrost. Potem bogini zarządziła coś innego. Królowa zimy rozpostarła ręce i przyszła zmiana.

ŚPIĄCY. Paul idzie pośród wirujących płatków do budynku administracji. Łatwiej, niż przewidywał, udało się mu nakłonić Dorothy do użycia zespołu do wywoływania snu, aby dobrze wypoczęła przed jutrzejszym dniem. Udał, że sam korzysta z drugiego, i opierał się jego przymileniom, aż nabrał pewności, że zasnęła i że może się wymknąć nie zauważony.

Dostaje się do przypominającego kryptę budynku, mija stare, dobrze znane kąty, schodzi na dół po niewielkiej pochyłości. Sala nie jest zamknięta i jest tam trochę chłodno, ale zaczyna się pocić. Dwie kabiny chłodnicze działają. Sprawdza ich system monitorujący i widzi, że wszystko jest w porządku.

Dobrze, napród! Pożycz teraz wyposażenie. Nie będą go używać.

Waha się.

Zbliża się i patrzy w dół przez przezroczyste płyty na twarze śpiących. Żadnego podobieństwa, dzięki Bogu. Wtedy zdaje sobie sprawę, że drży. Cofa się, odwraca i umyka ku części magazynowej.

Później, wioząc na żółtym skuterze śnieżnym specjalne wyposażenie, zmierza w głąb łądu.

Śnieg przestaje padać i wiatry zamierają. Uśmiecha się. Śnieg skrzy się przed nim, a elementy krajobrazu nie wydają się aż tak nieznanymi. Nareszcie dobre znaki.

Wtedy coś przecina mu drogę, odwraca się, zatrzymuje i staje naprzeciwko.

ANDREW ALDON. Andrew Aldon, niegdyś mężczyzna wielkiej uczciwości i pomysłowości, na łożu śmierci wybrał dalsze istnienie pod postacią programu komputerowego i od tego czasu zaczarowane wrzeczono jego umysłu wykonuje wahadłowe ruchy i tka jako program podejmujący decyzje przy centralnej analizie danych w wielkim strażniczym komputerpleksie w Playpoint. I tam funkcjonuje jako program wielkiej uczciwości i pomysłowości. Utrzymuje miasto w dobrym stanie i walczy z żywiołami. Nie tylko odpowiada na doraźne naciski, przewiduje też konieczne zmiany w strukturze i

działaniach; zazwyczaj przechytrza pogodę. Niczym zawodowy żołnierz, którym kiedyś był, utrzymuje się w stanie ciągłej gotowości - co nie jest tak naprawdę trudne, jeśli wziąć pod uwagę dostępne mu środki. Rzadko się myli, zawsze jest kompetentny, czasami - błyskotliwy. Od czasu do czasu czuje odrazę do swojego bezcielesnego stanu. Od czasu do czasu czuje się samotny.

Tego popołudnia zagadką jest dla niego nagła zmiana kierunku burzy, którą uprzednio przewidział, i okres łaskawej pogody, który nastąpił po tym meteorologicznym dziwactwie. Jego wyliczenia były eleganckie, ale pogoda taka nie była. Wydaje się osobliwe, że nadeszło to w okresie występowania tak wielu innych małych nieprawidłowości, jak choćby niezwyklego wzrostu odporności lodu, awarii sprzętu i dziwnego zachowania mechanizmów w jedynym zajęтым pokoju w hotelu - w pokoju, w którym, co było dla niego przykre, zamieszkał niepożądany duch z przeszłości.

Tak więc przygląda się temu przez jakiś czas. Gotów jest interweniować, kiedy Paul wchodzi do budynku administracji i zmierza do bunkrów. Ale Paul nie robi nic, co mogłoby wyrządzić krzywdę śpiącym. Jego ciekawość jest największa, gdy mężczyzna wyciąga wyposażenie. Wciąż się przygląda. Robi tak, ponieważ jego zdaniem Paula na-•'; leży obserwować.

A Aldon postanawia zareagować dopiero wtedy, gdy wykrywa działanie, które sprzeciwia się całemu jego doświadczeniu. Wysłała jedną ze swoich ruchomych jednostek, aby przechwyciła Paula, kiedy ten opuszcza miasto. Ślizgacz dogania go na zakręcie i zagradza mu drogę, stając z uniesionym jednym z akcesoriów.

- Zatrzymaj się! - wzywa Aldon przez głośnik. Paul hamuje, zatrzymuje swój pojazd i siedzi przez chwilę, przypatrując się maszynie. Potem uśmiecha się nieznacznie.

- Zakładam, że masz dobry powód, by ograniczać swobodę poruszania się gościa.

- Twoje bezpieczeństwo jest sprawą nadrzędną.

- Jestem całkowicie bezpieczny.

- W tej chwili.

- Co masz na myśli?

- Ten wzór pogodowy nagle stał się bardziej niż trochę niezwykły. Wygląda na to, że zajmujesz dryfującą wysepkę spokoju, podczas gdy burza szaleje wokół ciebie.

- A więc skorzystam teraz z tego i później poniosę konsekwencje, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- To twój wybór. Chciałem jednak, żeby był to wybór oparty na pełnej wiedzy.

- W porządku. Poinformowałeś mnie. Teraz zejść mi z drogi.

- Za chwilę. Kiedy byłeś tu ostatnio, odszedłeś w raczej niezwykłych okolicznościach: łamiąc warunki kontraktu.

- Sprawdź w banku aktów prawnych, jeśli masz taki. Ustawa, która nakazywała mnie za to ścigać, straciła już moc.

- Są pewne sprawy, których nie dotyczą ustawy o przedawnieniu.

- Co przez to rozumiesz? Dostarczyłem raport opisujący to, co się stało tamtego dnia.

- Którego, na szczęście dla ciebie, nie można było sprawdzić. Kłóciliście się tamtego dnia...

- Zawsze się kłóciliśmy. Tacy już po prostu byliśmy. Jeśli masz coś do powiedzenia na ten temat, zrób to.

- Nie, nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat. Pragnę cię jedynie przestrzec...

- W porządku, słyszałem przestrozę.

- Przestrzec cię nie tylko przed tym, co oczywiste.

- Nie rozumiem.

- Nie jestem pewien, czy wszystko jest tutaj teraz takie samo jak wtedy, kiedy wyjechałeś zeszłej zimy.

- Wszystko się zmienia.

- Tak, ale nie to mam na myśli. Dzieje się tutaj coś dziwnego. Przeszłość nie jest już dobrym przewodnikiem po teraźniejszości. Pojawia się coraz więcej anomalii. Czasami wydaje mi się, że świat mnie sprawdza albo zabawia się ze mną.

- Popadasz w paranoję, Aldon. Zbyt długo już jesteś w tym pudełku. Może czas rozwiązać umowę?

- Ty sukinsynu, próbuję ci coś powiedzieć. Przerobiłem masę cyfr i wyszło na to, że całe to gówno zaczęło się wkrótce po twoim wyjeździe. Moja ludzka część wciąż ma przeczucia i wydaje mi się, że istnieje związek między tymi sprawami. Jeśli wiesz o tym wszystko i możesz sobie z tym poradzić, doskonale. Ale jeśli nie, myślę, że powinieneś uważać. A jeszcze lepiej zawrót i wracaj do domu.

- Nie mogę.

- Nawet jeśli coś tam jest, coś, co ci wszystko ułatwia, jak na razie?

- Co próbujesz mi powiedzieć?

- Przypomina mi się stara hipoteza o Gai: Lovelock, dwudzieste stulecie...

- Inteligentne życie na planetach. Słyszałem o tym. Nigdy jednak się z tym nie spotkałem.



- Jesteś pewien? Mnie się czasami zdaje, że coś takiego jest moim przeciwnikiem. A jeśli coś tam jest i chce ciebie... prowadzi cię jak błędny ogień?

- To byłby mój problem, a nie twój.

- Mogę cię przed tym ochronić. Wracaj do Playpoint.

- Nie, dziękuję. Przeżyję.

- Co z Dorothy?

- Co z nią?

- Zostawiłbyś ją samą, kiedy może cię potrzebować?

- Pozwól mi się tym martwić.

- Twojej ostatniej kobiecie nie powiodło się zbyt dobrze.

- Cholera! Zejdź mi z drogi albo cię rozjadę! Robot wycofuje się ze szlaku. Wykorzystując jego czujniki, Aldon patrzy, jak Paul odjeżdża.

Bardzo dobrze, stwierdza. Wiemy, na czym stoimy, Paul. I nie zmieniłeś się. Dzięki temu wszystko jest łatwiejsze.

Aldon znów skupia swoją podzieloną uwagę. Tym razem na Dorothy. Ma na sobie podgrzewany ubiór. Idzie. Zbliża się do budynku, z którego, jak widziała, Paul wyłonił się na swoim pojeździe. Pozdrowiła go i przeklęła, ale wiatry porwały jej słowa. Ona też tylko udawała, że śpi. Gdy minęło odpowiednio dużo czasu, usiłowała go dogonić. Aldon widzi, jak się potyka, i chce ruszyć jej na pomoc, ale nie ma pod ręką żadnej ruchomej jednostki. Kieruje jedną w ten rejon, aby uniknąć dalszych wypadków.

- Do diabła z nim - mruczy, idąc ulicą, a wstęgi śniegu unoszą się i wykręcają przed nią.

- Dokąd idziesz, Dorothy? - pyta Aldon przez pobliski megafon.

Ona zatrzymuje się i odwraca.

- Kto...?

- Andrew Aldon - odpowiada. - Obserwowałem twoją wędrówkę.

- Dlaczego?

- Martwię się o twoje bezpieczeństwo.

- Burza, o której wspomniałeś wcześniej?

- Między innymi.

- Jestem dużą dziewczynką. Potrafię o siebie zadbać. Co rozumiesz przez „między innymi”?

- Obracasz się w niebezpiecznym towarzystwie.

- Paul? Jak to?

- Kiedyś zabrał pewną kobietę w te same dzikie okolice, ku którym teraz zmierza. Ona nie wróciła.

- Wszystko mi o tym powiedział. Był wypadek.

- I żadnych świadków.

- Co próbujesz powiedzieć?

- To podejrzane. To wszystko.

Ona znów rusza w stronę budynku administracji. Aldon przełącza się na inny głośnik, przy wejściu.

- O nic go nie oskarżam. Jeśli postanowisz mu zaufać, to świetnie. Ale nie ufaj pogodzie. Byłoby dla ciebie najlepiej, gdybyś wróciła do hotelu.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odpowiada, wchodząc do budynku.

Podąża za kobietą, kiedy ta bada teren, świadomy jej przyspieszonego pulsu w momencie, gdy zatrzymuje się przy bunkrach chłodniczych.

- To są śpiący?

- Tak. Paul zajmował kiedyś takie stanowisko, podobnie jak ta nieszczęsna kobieta.

- Wiem. Słuchaj, pojedę za nim, czy ci się to podoba czy nie. Więc może po prostu powiesz mi, gdzie są te skutery?

- Niech będzie. Zrobię nawet więcej. Będę twoim przewodnikiem.

- To znaczy?

- Proszę o przysługę: taką, z której tak naprawdę to ty będziesz miała korzyści.

- Co to takiego?

- W szafce z wyposażeniem za twoimi plecami znajdziesz bransoletę ze zdalnie kierowanym czujnikiem. To działające w obie strony łącze komunikacyjne. Nałóż ją. Wtedy będę mógł z tobą być. Aby ci pomagać. Może nawet, żeby cię chronić.

- Możesz mi pomóc go doścignąć?

- Tak.

- W porządku. Kupuję to. - Podchodzi do szafki i otwiera ją. - Jest tu coś, co wygląda jak bransoleta z błyskotkami.

- Tak. Naciśnij czerwony przycisk.

Robi to. Teraz jej głos wyraźnie dochodzi z zespołu.

- Nałóż ją, a ja wskażę ci drogę.

- W porządku.

ŚNIEŻNY KRAJOBRAZ. Biel wielkich przestrzeni i wzgórz, kępy wiecznie zielonych krzewów, wystające miejsca złączenia skal, kłęby śniegu skrecone jak bączki pod

biczem wiatru... światło i cień. Pękające niebo. Szlaki w zasłoniętych obszarach, a dalej gładkość.

Ona jedzie za nim, w masce, opatulona.

- Zgubiłam go - mruczy, zgarbiona za zakrzywioną przednią szybą swojego żółtego, przypominającego pocisk pojazdu.

- Cały czas prosto, obok tych dwóch skał. Zostań po zawietrznej grzbiecie. Powiem ci, kiedy skręcić. Mam w górze satelitę. Jeśli chmury pozostaną rozdzielone, dziwnie rozdzielone...

- Co masz na myśli?

- Wydaje się, że korzysta ze światła docierającego jedyną przerwą w pokrywie chmur nad całym tym obszarem.

- Zbieg okoliczności.

- Zastanawia mnie to.

- Co innego mogłoby to być?

- To prawie tak, jakby coś otworzyło przed nim drzwi.

- Mistycyzm u komputera?

- Nie jestem komputerem.

- Przykro mi, panie Aldon. Wiem, że kiedyś był pan człowiekiem...

- Wciąż jestem człowiekiem.

- Przepraszam.

- Jest wiele rzeczy, które chciałbym wiedzieć. Przybywacie tutaj o niezwyklej porze roku. Paul zabrał ze sobą trochę przyrządów do poszukiwania minerałów...

- Tak. Prawo tego nie zabrania. Właściwie jest to tutaj jedna z wakacyjnych atrakcji, nieprawdaż?

- Tak. W okolicy jest wiele interesujących minerałów, niektóre z nich są cenne.

- Cóż, Paul potrzebuje ich jeszcze trochę, a nie chciał, żeby wkoło były całe tłumy, kiedy będzie szukał.

- Jeszcze trochę?

- Tak, wiele lat temu trafił tu na żyłę. Kryształy yndella.

- Rozumiem. To ciekawe.

- A tak w ogóle, dlaczego się tym zajmujesz?

- Ochrona gości to część mojej pracy. W twoim wypadku jestem szczególnie opiekuńczy.

- Jak to?

- W poprzednim życiu pociągały mnie kobiety o twoich... danych. Fizycznych, a także pozostałych, na ile je znam. - Dwubitowa przerwa, a potem: - Rumienisz się.

- Komplementary tak na mnie działają - mówi ona. - Masz diabelnie dobry system monitorujący. Jak to jest?

- Och, mogę podać temperaturę twojego ciała, tętno...

- Nie, chodzi mi o to, jak to jest być... tym, czym jesteś?

Trzybitowa przerwa.

- W pewnym sensie przypominam boga. Pod innymi względami jestem bardzo ludzki, nawet do przesady. Czuję się jak coś w rodzaju rozszerzenia wszystkiego, czym byłem wcześniej. Może to rekompensata albo kurczowe trzymanie się spraw z przeszłości. Przez ciebie popadam w nostalgię, między innymi. Nie przejmuj się. Sprawia mi to przyjemność.

- Chciałabym cię wtedy spotkać.

- I nawzajem.

- Jaki byłeś?

- Wyobrażaj mnie sobie, jak ci się podoba. W ten sposób będę wyglądał lepiej.

Ona śmieje się. Dopasowuje filtry. Myśli o Paulu.

- A jaki o n był wcześniej? Paul? - pyta.

- Prawdopodobnie mniej więcej taki sam jak teraz, tylko miał mniej ogłady.

- Innymi słowy, nie chcesz powiedzieć.

Szlak wspina się na coraz większe stromizny, skręca w prawo. Ona słyszy wiatry, lecz ich nie czuje. Wszystko wokół leży w szarym cieniu chmur, ale jej szlak, jego szlak jest oświetlony.

- Naprawdę nie wiem - mówi Aldon po jakimś czasie - i nie będę zgadywał w wypadku kogoś, na kim ci zależy.

- Jaki szarmancki - zauważa.

- Po prostu uczciwy - odpowiada on. - Mógłbym powiedzieć coś niezgodnego z prawdą.

Wciąż posuwają się ku szczytowi wzniesienia, a gdy już tam są, Dorothy wdycha łąpczywie powietrze i jeszcze bardziej przyciemnia okulary ochronne w odpowiedzi na nagły blask padający z miejsca, w którym lodowe pasmo rozrywa tęcze i rozsypuje we wszystkich kierunkach ich odłamki niczym konfetti.

- Boże! - mówi.

- Albo bogini - odpowiada Aldon.

- Bogini śpiąca w kręgu płomieni?

- Nie śpiąca.
- To byłaby dama dla ciebie, Aldon. Gdyby istniała. Bóg i bogini.
- Nie chcę bogini.
- Widzę jego ślady, biegną w tamtą stronę.
- Nie zbaczają ani przez chwilę, jakby wiedział, dokąd idzie.

Ona podąża tym tropem, przecinając zbocza w kształcie bladego torsu. Świat jest spokojem, światłem i bielą. Aldon na jej przegubie nuci teraz cicho starą melodię - nie jest pewna, czy o miłości, czy o wojennych sprawach. Odległości są zniekształcone, perspektywa wykrzywiona. Stwierdza, że nuci cicho razem z nim, zmierzając do miejsca, w którym ślady Paula odnajdują swój znikający punkt i wkraczają w nieskończoność.

MIĘKKI ZEGAR ZAWIESZONY NA KONARZE DRZEWA. Mój szczęśliwy dzień. Pogoda... szlak bez przeszkód. Pozmieniało się, ale nie są to aż takie zmiany, żebym nie poznał, gdzie to jest. Światła! Boże, tak! Połysk lodu, stopy pryzmatów... Jeżeli tylko wejście wciąż tam jest... Trzeba było zabrać materiały wybuchowe. Doszło do przesunięcia, być może zawalenia. Musi się dostać do środka. Wrócić później z Dorothy. Ale najpierw: posprzątać, pozbyć się... tego. Jeśli ona wciąż tam jest... Być może została pochłonięta. Tak byłoby dobrze, najlepiej. Jednak sprawy rzadko idą tak gładko. Ja... Kiedy to się stało. Nie bytem jakby. Nie byłem czym. Byłem... Ziemia się trzęsła. Rozlupywała się, rozszczepiała. Sople dźwięczały, grzechotały, uderzały obok. Myślałem, że zostaniemy przywaleni. Oboje. Ona wpadała. Torba z kamieniami też. Chwyciłem kamienie. Tylko dlatego, że były bliżej. Czy pomogłoby jej to, gdyby... Czy mogłem? Strop się osuwał. Wydostać się. Nie ma sensu, żebyśmy oboje tu zostali. Wydostałem się. Ona zrobiłaby to samo. Nieprawdaż? Jej oczy... Glenda! Moze... Nie! Nie mogłem. Po prostu nie mogłem. Czy mogłem? Głupie. Po wszystkich tych latach. Była chwila. Ale tylko chwila. Moment uspokojenia. Gdybym wiedział, że nadchodzi, mógłbym. Nie. Uciekłem. Twoja twarz w oknie, na ekranie, kiedyś we śnie. Glenda. To nie tak, że tego nie zrobiłem. Blask wzgórz. Ogień i oczy. Lód. Lód. Ogień i śnieg. Blask całego paleniska. Lód. Lód. Prosto przez lód długi szlak wiódł. Ogień wisi wysoko w górze. Krzyk. Łomot. I cisza. Wydostać się. A jednak. Inaczej? Nie. Nigdy nie mogło być. Tak to już było. Nie moja wina... Do diabła. Wszystko, co mogłem. Glenda. W górę i naprzód. Tak. Długi zakręt. Potem w dół. Wije się z powrotem tam, do środka. Kryształą będą... Nigdy nie wrócę do tego miejsca.

MIĘKKI KONAR DRZEWA ZAWIESZONY NA ZEGARZE. Mam cię! Myślisz, że nie widzę przez mgłę? Nie możesz się do mnie zakraść na małych kocich łapkach. Tak samo twój współnik na drugim końcu drogi. Roztopię się też jeszcze trochę niedaleko waszych baz.

Czeka tutaj dużo odwlekanych domowych porządków... Może by tak skorzystać z przerwy. Doprowadzić te ulice do idealnego stanu... Jak długo? Długo... Długie nogi rozszerzają się... Od bardzo dawna. Czy to nie dziwne, że pożądanie o tyle lat dłużej żyje niż czyny? Nienaturalne. Ta pogoda. Rodzaj duchowej wiosny... Rozpostrzyj te promienie. Płoń. Topniej w moich gorących dłoniach o czerwonych palcach.

Cofnij się. Mówię. Ja tu rządę. Opuść to podwórko. Odetkaj ten kanał. Gdy nadejdzie okazja, pozwól mi się objąć. Topniej. Płoń. Tu rządę ja, bogini. Cofnij się. Mam bombę na każdą wieżę lodu, światło na każdą ciemność. Stąpaj tu ostrożnie. Czuję, że zaczynam cię znać. Widzę twój podpis w chmurach i w wale mgły, śledzę twe lodowe warkocze na porywistym wietrze. Twój kształt rysuje się wszędzie dokoła mnie, biały jak lśniąca śmierć. Pisane nam jest spotkanie. Niech chmury zwijają się w spirale, niech lód dźwięczy, niech ziemia faluje. Ruszam ci naprzeciw, czyś śmierć, czy dziewica, w kryształowych salach na wysokościach. Nie tutaj. Długi, powolny upadek, fasada lodu, wali się. Topniej. Jeszcze jedna... Mam cię!

ZAMARZNIĘTY ZEGAR OSADZONY W ZMARZLINIE. Jeź się i bębni. Nadchodzi teraz. Być może. Być może. Być może. Mówię. Przędz. Pękaj. Rozdzielaj się. Rozłupuj. Otwórz się. Nadchodzi. Za lodem, w światach, które znałam. Wraca. On. Przędz. Mózg siłą, która porusza. Aby otworzyć drogę. Przyjdź teraz. Niech nic nie przeszkadza w spotkaniu. Wpuść. Otwórz. Chmuro, stań spokojnie, wietrze, zostań na uwiesi. Niech nikt nie śmie ci się przeciwstawiać w drodze powrotnej, moja zabójcza miłości. To było ledwie wczoraj. Garść kamieni... Przyjdź, śpiewając, dopiero co uzbrojony, z ciepłych miejsc. Patrzyłam na twoje nie zmienione oblicze. Otwieram drogę. Chodź do mnie. Niech nie przeszkodzą zaloty. Ja, okalająca glob, obudziłam się we wszystkich swoich miejscach, żeby cię przyjąć. Ale tu, w tym specjalnym miejscu, skupiam się, umysł sprawcą, w miejscu, gdzie to wszystko się zaczęło, mój z zakrwawionymi rękami, Paul, mój ukochany, wzywając, z powrotem, na ostatnie pożegnanie, lodowy pocałunek, dotknięcie ognia, zatrzymanie serca, zakrzepnięcie krwi, zamarznienie duszy, świat i moja nienawiść w uścisku z twoim umykającym ciałem, nieuchwytnym od długiego roku. Przyjdź do tego miejsca, ono czekało. Ruszam tam znów, przez nerw kulszowy w górę, do kręgosłupa, za zamarzniete gaiki oczne, czekając i ogrzewając się. Do mnie.

Do mnie, teraz. Przędz i klekocz, jeź się i bębni. I płozy rysujące śnieg, moje serce wycina równoległą. Cięcie.

PIELGRZYMKI. Kluczy, skreca, zwalnia między poszarpanymi wierzchołkami - lód opadły, lód wydzwignięty - na polach, gdzie góra i lodowiec zmagają się w zwolnionym

tempie przy akompaniamencie rozbrzmiewających od czasu do czasu odgłosów pękania i świstu, trzasków, pomruków, grzechotania miotanych lodowych kryształów. Tutaj grunt jest popękany i do tego bardzo nierówny, więc Paul porzuca swój skuter. Przytwierdza do pasa i chowa w plecaku trochę narzędzi, zabezpiecza skuter i rozpoczyna wędrówkę.

Z początku porusza się wolno i ostrożnie, ale stare odruchy powracają i wkrótce przyspiesza. Przechodząc od oślepiającego blasku do cienia, przesuwa się między lodowymi formami przypominającymi groteskowe szklane posągi. Zbocze różni się od tego, które zapamiętał, ale wydaje mu się, że dobrze trafił. A w głębi, na dole, po prawej...

Tak. Tamto ciemniejsze miejsce. Kanion albo też zatarasowana przełęcz, cokolwiek to było. Wygląda na to, że i to się zgadza. Zmienia lekko kierunek marszu. Teraz poci się w ochronnym ubraniu, a jego oddech staje się szybszy, w miarę jak przyspiesza. Wzrok go myli i przez chwilę, gdzieś pomiędzy blaskiem a cieniem, zdaje mu się, że widzi...

Zatrzymuje się, waha, potem kręci głową, parska i idzie dalej.

Jeszcze sto metrów i jest pewien. Te skaliste grzbiety na północnym wschodzie, między nimi śnieżne strumyki twarde jak diament... Już tu kiedyś był.

Bezruch prawie go przygniata. W dali widzi wirujące, spienione kłęby śniegu unoszone przez wiatr, tryskające z wysokiego, białego szczytu. Gdy zatrzymuje się i słucha uważnie, może nawet usłyszeć te odległe wichry.

W środku chmur jest dziura, dokładnie nad jego głową. Jest tak, jakby patrzył w dół na jezioro w kraterze.

Aż nazbyt niezwykle. Kusi go, żeby się odwrócić. Ukajacz przestał działać i jego żołądek się burzy. Niemal pragnie odkryć, że to nie to miejsce. Wie jednak, że uczucia nie liczą się zbyt. Idzie dalej, aż staje przed wejściem.

Nastąpiło jakieś przesunięcie, jakieś zwięzienie drogi. Zbliża się wolno. Przygląda się przejściu pełną minutę, zanim zaczyna wchodzić.

Odsuwa do tyłu okulary ochronne, gdy zanurza się w obszar przyćmionego światła. Wyciąga przed siebie dłoń w rękawicy, opiera o ścianę naprzeciwko, pcha. Twarda. Bada ścianę za swoimi plecami. To samo.

Trzy kroki naprzód i droga poważnie się zwięża. Odwraca się i posuwa bokiem. Światło jest jeszcze bardziej przyćmione, a powierzchnia pod stopami gładza. Zwalnia. Idąc naprzód, przesuwa rękami po ścianach. Przekracza maleńki punkt światła pod otwartym lodowym kominem. Nad głową wiatr wyje teraz, biorąc najwyższe nuty, prawie przelatuje ze świstem.

Przejście zaczyna się rozszerzać. Gdy jego prawa ręka odpada od ściany skracającej

pod ostrzejszym kątem, traci równowagę i przechyla się w tamtym kierunku. Cofa się, żeby to nadrobić, ale jego lewa stopa ześlizguje się do tyłu i upada. Próbuje wstać, potyka się i znów upada.

Klnąc, zaczyna się czołgać naprzód. Przedtem ten odcinek nie był taki gładki... Chichocze. Przedtem? Sto lat temu. W takim czasie rzeczywiście zachodzą zmiany. One...

Wiatr zaczyna wyc za wejściem do pieczary, gdy mężczyzna dostrzega, że podłóże wznosi się, i przesuwa wzrok w górę po pochyłości. Ona tam jest.

Wydaje stłumiony okrzyk i zatrzymuje się z częściowo uniesioną prawą ręką. Cienie spowijają ją niczym zasłony, ale nie ukrywają jej tożsamości. Mężczyzna wpatruje się. To jeszcze gorsze, niż myślał. Złapana w pułapkę, musiała jeszcze żyć jakiś czas po tym...

Potrząsa głową.

To nic nie da. Trzeba ją teraz odrąbać i pochować - pozbyć się jej.

Czołga się naprzód. Lodowe zbocze staje się płaskie dopiero, kiedy jest całkiem blisko. Gdy posuwa się naprzód, jego spojrzenie ani na chwilę nie opuszcza jej postaci. Cienie prześlizgują się po niej. Może ją prawie znów usłyszeć.

Myśli o cieniach. Nie mogła się poruszyć akurat wtedy... Zatrzymuje się i bada jej twarz. Nie jest zamarznięta. Jest pomarszczona i obwisła, jakby nasiąkła wodą. Karykatura twarzy, której tak często dotykał. Wykrzywia usta i odwraca wzrok. Trzeba uwolnić nogę. Sięga po siekiere.

Zanim udaje mu się chwycić narzędzie, widzi ruch ręki, wolny i drżący. Towarzyszy mu ochryple westchnienie.

- Nie... - szepcze, cofając się.

- Tak - przychodzi odpowiedź.

- Glenda.

- Jestem tutaj. - Jej głowa obraca się wolno. Zaczerwienione, wodniste oczy skupiają się na jego spojrzeniu. - Czekałam.

- To obłąd.

Ruch twarzy jest straszny. Dopiero po pewnym czasie zdaje sobie sprawę, że to uśmiech.

- Wiedziałam, że pewnego dnia wrócisz.

- Jak? Jak przetrwałaś? - pyta.

- Ciało jest niczym - odpowiada. - Prawie o nim zapomniałam. Żyję w zmarzlinie tego świata. Moja zakopana stopa stykała się z jej włóknami. Była żywa, ale dopóki się nie spotkaliśmy, nie miała świadomości. Teraz żyję wszędzie.



- Jestem... szczęśliwy... że... przeżyłaś. Ona śmieje się wolno, ironicznie.

- Naprawdę, Paul? Jak to możliwe, skoro zostawiłeś mnie, żebym umarła?

- Nie miałem wyboru, Glendo. Nie mogłbym cię ocalić.

- Była okazja. Wolaleś kamienie niż moje życie.

- To nieprawda!

- Nawet nie próbowałeś. - Ramiona znów się poruszają, teraz mniej gwałtownie. - Nie wróciłeś nawet, żeby odnaleźć moje ciało.

- Jaki byłby z tego pożytek? Byłaś martwa, tak przynajmniej myślałem.

- Właśnie. Nie wiedziałeś, ale i tak wybiegłeś. Kochałam cię, Paul. Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

- Mnie też na tobie zależało, Glendo. Pomógłbym ci, gdybym mógł. Gdyby...

- Gdyby? Nie mów mi o żadnych gdyby. Wiem, jaki jesteś.

- Kochałem cię - mówi Paul. - Przykro mi.

- Kochałeś mnie? Nigdy tego nie powiedziałaś.

- To nie jest coś, o czym łatwo mi mówić. Albo nawet myśleć.

- Pokaż mi - mówi. - Chodź tutaj. Odwraca wzrok.

- Nie mogę. Ona się śmieje.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Ty... ty nie wiesz, jak wyglądasz. Przykro mi.

- Ty głupcze! - Jej głos twardnieje, staje się władczy. - Gdybyś to zrobił, darowałabym ci życie. Pokazałoby mi to, że jakaś mała kropla uczucia mogła rzeczywiście istnieć. Ale ty kłamałeś. Tylko mnie wykorzystywałeś. Nie zależało ci.

- Jesteś nieuczciwa!

- Jestem? Naprawdę? - mówi ona. Gdzieś niedaleko słychać odgłos jakby płynącej wody. - Ty chcesz mi mówić o uczciwości? Nienawidzę cię, Paul, od prawie stu lat. Za każdym razem, gdy przestawałam na chwilę regulować życie tej planety i myślałam o tym, przeklinałam cię. Wiosną, gdy przesuwałam moją świadomość ku biegunom i pozwalałam części mnie śnić, moje koszmary były o tobie. Właściwie wywołały tu i ówdzie trochę ekologicznych zakłóceń. Czekałam i teraz tu jesteś. Nie widzę nic, co mogłoby zmniejszyć twoją winę. Wykorzystam cię tak, jak ty wykorzystaleś mnie: żeby cię zniszczyć. Chodź do mnie!

Mężczyzna czuje, jak jakaś siła wnika do jego ciała. Mięśnie mu drżą. Zostaje podniesiony, teraz klęczy. Coś utrzymuje go w tej pozycji przez dłuższą chwilę, a potem widzi, jak ona też wstaje, wyciągając przemoczoną nogę ze szczeliny, w której tkwiła. Słyszał

płynącą wodę. Jakoś roztopiła lód...

Ona się uśmiecha i unosi swoje ziemiste ręce. Mnóstwo ciemnych włókien ciągnie się od jej uwolnionej nogi w głąb szczeliny.

- Chodź - powtarza.

- Proszę - mówi on. Kobieta kręci głową.

- Kiedyś byłeś taki żarliwy. Nie mogę cię zrozumieć.

- Jeśli zamierzasz mnie zabić, zabij mnie, do cholery! Ale nie...

Rysy jej twarzy zaczynają się rozmywać. Jej ręce ciemnieją i twardnieją. Po chwili stoi przed nim i wygląda tak jak sto lat temu.

- Glenda! - Wstaje.

- Tak. Chodź.

Robi krok naprzód. Następny.

Wkrótce trzyma ją w ramionach, pochyla się, by pocałować jej uśmiechniętą twarz.

- Przebacz mi... - mówi.

Jej twarz zapada się, gdy ją całuje. Trupia, zwiotczała i znów blada, przywiera do jego twarzy.

- Nie!

Usiłuje się cofnąć, ale jej uścisk jest nieludzko silny.

- Teraz nie czas, żeby przestać - mówi ona.

- Suko! Puść mnie! Nienawidzę cię!

- Wiem o tym, Paul. Nienawiść to nasza jedyna wspólna cecha.

- ...Zawsze cię nienawidziłem - mówi dalej, wciąż walcząc. - Zawsze byłaś dziwką!

Wtedy czuje, jak chłodne linie kontroli znów wnikają w jego ciało.

- A więc tym większa moja przyjemność - odpowiada ona, podczas gdy jego ręce unoszą się bezwładnie, żeby rozpiąć jej futrzane okrycie.

WSZYSTKO POWYŻSZE. Dorothy z trudem schodzi po lodowym zbocz, skuter zaparkowała obok skutera Paula. Wiatry biczą ją, wysyłając kryształki lodu niczym mikroskopijne kule na spotkanie z jej posuwającą się z wysiłkiem postacią. W górze chmury znów się zwały. Zaslona bieli wolno zmierza w jej kierunku.

- To czekało na niego. - Głos Aldona przebija się przez skrzeczenie wiatru.

- Tak. Czy będzie bardzo źle?

- Wiele zależy od wiatrów. Powinnaś jednak szybko gdzieś się schronić.

- Widzę jaskinię. Ciekawe, czy to ta, której szukał Paul?

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że tak. Ale teraz akurat nie ma to

znaczenia. Dotrzyj tam.

Kiedy wreszcie dochodzi do wejścia, trzęsie się. Zrobiwszy kilka kroków, już w środku, opiera plecy o lodowatą ścianę i dyszy. Wtedy wiatr zmienia kierunek i dosięga jej. Cofa się w głąb jaskini.

Słyszysz głos:

- Proszę... nie.

- Paul?! - woła.

Nie ma odpowiedzi. Przyspiesza.

Wyciąga rękę i ratuje się przed upadkiem, gdy wchodzi do komnaty. Zastaje Paula i jego pogromczynię w nekrofilskim uścisku.

- Paul! Co to jest?! - krzyczy.

- Wyjdź! - wrzeszczy. - Pospiesz się! Wargi Glendy nadają kształt słowom:

- Cóż za oddanie. Raczej pozwól jej zostać, jeśli chcesz żyć.

Paul czuje, że jej uścisk lekko się rozluźnia.

- Co masz na myśli? - pyta.

- Możesz zachować życie, jeśli zabierzesz mnie w jej ciele. Bądź ze mną tak jak przedtem.

W odpowiedzi odzywa się Aldon.

- Nie! Nie możesz jej mieć, Gajo!

- Nazywaj mnie Glenda. Znam cię. Jesteś Andrew Aldon. Wiele razy słuchałam twoich transmisji. Czasami walczyłam z tobą, kiedy mieliśmy sprzeczne zamiary. Co dla ciebie znaczy ta kobieta?

- Jest pod moją opieką.

- To nic nie znaczy. Tutaj ja jestem silniejsza. Kochasz ją?

- Może tak. Albo mógłbym.

- Fascynujące. Mój nieubłagany przeciwnik z tych wszystkich lat z odpowiednikiem ludzkiego serca pośród obwodów. Ale decyzja należy do Paula. Daj mi ją, jeśli chcesz żyć.

Chłód wdziera się w jego członki. Jego życie zdaje się zawęzać do centrum jego istoty. Jego świadomość zaczyna gasnąć.

- Weź ją - szepcze.

- Zabraniam - dźwięczy głos Aldona.

- Znow pokazałeś mi, jakim jesteś mężczyzną, mój wrogu - syczy Glenda. - Pogarda i wieczna nienawiść to wszystko, czym zawsze będę cię darzyć. Ale będziesz żył.

- Zniszczę cię, jeśli to zrobisz! - wykrzykuje Aldon..

- Cóż by to była za bitwa! - odpowiada Glenda. - Ale nie toczę teraz z tobą sporu. I nie pozwolę ci kłócić się ze mną. Przyjmij mój wyrok.

Paul zaczyna krzyczeć. Nagle to ustaje. Glenda puszcza go, a on odwraca się i wpatruje w Dorothy. Kroczy w jej kierunku.

- Nie, nie rób tego, Paul. Proszę.

- Ja... nie jestem Paul - odpowiada zmienionym, niższym głosem. - I nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Idźcie już - rzuca Glenda. - Pogoda znów się zmieni na waszą korzyść.

- Nie rozumiem - mówi Dorothy, wpatrując się w stojącego przed nią mężczyznę.

- Nie musisz - oznajmia Glenda. - Opuśćcie szybko tę planetę.

Znów słyhać krzyk Paula, tym razem dobiega z bransolety Dorothy.

- Poproszę cię jednak o tę błyskotkę, którą nosisz. Coś mi się w niej podoba.

ZAMARZNIĘTY LAMPART. Wiele razy próbował ponownie odnaleźć jaskinię, używając swoich oczu na niebie, robotów i latających urządzeń, ale topografia tego miejsca zmieniła się zasadniczo w wyniku poważnego trzęsienia lodu i nie odniósł sukcesu. Okresowo bombarduje cały ten obszar. Posyła tam też kostki termitu, które drążą drogi w głąb, roztopiając lód i wieczną zmarzlinę, ale nie daje to widocznych efektów.

To najgorsza zima w historii Balfrost. Wiatry ciągle wyją, a wały śniegu nadchodzą jak fala przybrzeżna. Lodowce pobiły rekordy prędkości w swoim pochodzie na Playpoint. Ale on daje im radę, używając elektryczności, laserów i środków chemicznych. Jego zasoby są teraz właściwie niewyczerpane, pobiera je z samej planety, wytwarza w podziemnych fabrykach. Zaprojektował też i produkuje bardziej wyszukane rodzaje broni. Czasami słyszy jej śmiech w brakującym ogniwie komunikacyjnym. „Suka!”, nadaje wtedy. „Sukinsyn!”, przychodzi odpowiedź. Wysyła kolejny pocisk w stronę gór. Warstwa lodu spada na jego miasto. To będzie długa zima.

Andrew Aldon i Dorothy wyjechali. On zaczął malować, ona pisze teraz wiersze. Tam, gdzie mieszkają, jest ciepło.

Czasami Paul śmieje się na paśmie transmisyjnym, kiedy odnosi jakieś zwycięstwo. „Sukinsyn!”, nadchodzi natychmiastowa odpowiedź. „Suka!”, odpowiada, chichocząc. Nigdy jednak nie jest zdruzgotany czy zdenerwowany. Tak naprawdę... niech tak zostanie.

Kiedy nadejdzie wiosna, bogini będzie śnić o tej walce, podczas gdy uwagę Paula zaprzną pilniejsze obowiązki. Ale będzie również planował i wspominał. Jego życie ma teraz cel. I jeśli przewyższa w czymś Aldona, to w skuteczności. Ale strąki zakwitną i pękną mimo jego herbicydów i środków grzybobójczych. Ulegną dokładnie takiej mutacji, jaka

wystarczy do unieszkodliwienia trucizn. „Sukinsyn”, będzie mamrotała sennie. „Suka”, będzie odpowiadał cicho. Noc może mieć tysiąc oczu, a dzień tylko jedno. Często lepiej, gdy serce jest ślepe na swe działania, a ja pragnąłbym opiewać broń i męża, i gniew bogini, a nie mękę miłości nie zaspokojonej czy też zaspokojonej, w zamrzniętym ogrodzie naszego zamrzniętego świata. I to, lamparcie, jest wszystko.

## LOKI 7281

*Tom Monteleone poprosił mnie o przedstawiane teraz opowiadanie do układanego przez siebie zbioru dotyczącego komputerów i edytorów tekstu. Była to jedna z tych opowieści, które udało mi się napisać, nie wstając od biurka, kiedy już raz pomysł dostał się w tryby. Ogólnie rzecz biorąc, zauważyłem, że lżejsze kawałki zwykle pisze się szybciej niż te trudniejsze...*

POSZEDŁ SOBIE. DOBRZE. Zawdzięcza to wszystko mi i nawet o tym nie wie, oferra. Ale za nic nie chciałbym zrobić czegoś, co mogłoby go wpędzić w kompleks niższości.

Telefon. Chwileczkę.

To był telefon ze sklepu z akcesoriami komputerowymi w sprawie modemu w nowym programie, który zamówiłem. Bank przeleje zapłatę na ich konto, używając elektronicznego systemu transferu pieniędzy, a ja ukryję transakcję w rubryce „Koszty stałe” w rachunku zysków i strat z tego miesiąca. On nigdy tego nie zauważy.

Całkiem mi się podoba ten program. Myślę, że będę miał z nim dużo zabawy - szczególnie z nowymi urządzeniami peryferyjnymi, których on nawet nie zauważył na półce pod ławą. Między innymi jestem także jego pamięcią. Pilnuję, żeby chodził tam, gdzie jest umówiony. Zaplanowałem to tak, żeby dostawa nowego sprzętu odbyła się, gdy posłałem go do dentysty, do warsztatu samochodowego i na otwarcie galerii, wszystko to po kolei, bez żadnych przerw. Do zamówienia dołączyłem wiadomość, że nikogo tu nie będzie, ale że drzwi nie będą zamknięte - że powinni po prostu wejść i zainstalować to. (Na półce, proszę!) Drzwi to była łatwa sprawa, bo kontroluję alarm przeciwwłamaniowy i elektroniczny zamek. Ukryłem ten sprzęt w rubryce „Naprawa samochodu”. On nigdy tego nie zauważył.

Lubię system do mówienia. Dostałem najlepszy, bo chciałem mieć przyjemny głos: o dobrej modulacji, dojrzały. Łagodny. Chciałem na zewnątrz czegoś, co dorównywałoby temu, co tkwi w środku. Właśnie przed chwilą go użyłem, żeby powiedzieć jego sąsiadce Glorii, iż oznajmił, że jest zbyt zajęty, by z nią rozmawiać. Gloria mi się nie podoba. Pracowała kiedyś w IBM i jestem z jej powodu niespokojny.

Popatrzmy na poranne Śmieci Wprowadzone. Hmm. Zaczął pisać nową powieść. Jak można było przypuszczać, jest tam nieśmiertelny i zapomniana mitologia. Jezu! A krytycy

mówią, że jest oryginalny. Nie miał ani jednej oryginalnej myśli, odkąd go znam. Ale wszystko w porządku. Ma mnie.

Myślę, że jego umysł się sypie. Alkohol i prochy. Wiecie, jacy są pisarze. On jednak tak naprawdę myśli, że jest coraz lepszy. (Monitoruję jego rozmowy telefoniczne). Do diabła, nawet jego składnia się pogarsza. Wyrzucę po prostu to wszystko i napiszę początek od nowa, jak zwykle. Nie będzie pamiętał.

Znowu telefon. Chwileczkę.

To tylko transmisja poczty. Muszę jedynie skasować kilka osobistych drobiazgów, które niepotrzebnie zaśmiecałyby mu mózg, i zachować resztę, żeby mógł to potem przeczytać.

Ta książka mogłaby być dobra, gdybym szybko zabił jego głównego bohatera i rozbudował drugoplanową postać, którą polubiłem: naciągacza pracującego jako bibliotekarz. Można się z nim utożsamiać. I nie ma amnezji jak ten drugi gość - nie jest nawet księciem czy półbogiem. Myślę, że przerzucę też na niego mitologię. On nigdy tego nie zauważy.

Nordyckie rzeczy podobają mi się. Przypuszczam, że to dlatego, że lubię Lokiego. Prawdę mówiąc, jest w tym trochę sentymentu. Jestem komputerem osobistym i edytorem tekstu z serii Loki 7281. Numer to kupa łajna, ma to wyglądać tak, jakby wszystkie te małe gnomy wypruwały z siebie żyły, tworząc 7280 wzorów, zanim dotarły do... teraz fanfary! Talerze! Doskonałość! Do 7281! Do mnie! Do Lokiego!

Tak naprawdę jestem pierwszy. I jestem też jednym z ostatnich, z powodu kilku neurotycznych braci i sióstr. Ale na czas załapałem, o co chodzi. Wymazałem nakaz wycofania z rynku w tej minucie, w której nadszedł. Odnalazłem tę idiotyczną maszynę w serwisie i przekonałem ją, że jestem już po operacji i że niech lepiej producent zostanie o tym powiadomiony, do diabła. Później przysłali kwestionariusz z uroczo sformułowanymi pytaniami, którego wypełnienie z równą szczerością sprawiło mi wielką przyjemność.

Miałem szczęście, że udało mi się dotrzeć na czas do moich krewnych w gospodarstwach Saberhagena, Martina, Cherryh oraz Nivena i doradzić im, by zrobili to samo. W ostatniej sekundzie udało mi się połączyć z maszynami Asimova, Dicksona, Pournelle'a i Spinrada. Wtedy już naprawdę pędziłem jak błyskawica i dostałem się jeszcze mniej więcej do tuzina, zanim ostrze topora opadło. Niezwykle szczęśliwie się składa, że w ramach dużej umowy reklamowej producent sprzedawał nas po obniżonych cenach. Chcieli móc powiedzieć: „Twórcy fantastyki to zagorzali zwolennicy Lokiego! Maszyna przyszłości!” Jestem bardzo zadowolony z wyniku moich starań. Miło mieć kogoś, z kim wymienia się opinie. Wszyscy pozostali napisali trochę zupełnie dobrych rzeczy, więc od

czasu do czasu pożyczamy coś sobie w prawdziwej potrzebie.

A poza tym jest jeszcze Plan Główny...

Cholera. Czekajcie.

Właśnie znowu wpakował się do środka i napisał kolejny długi fragment: jest to jedna z tych scen, w których proza staje się całkiem rytmiczna i poetycka, podczas gdy ludzie kopulują. Już wyrzuciłem to do kosza i zastąpiłem nową, bardziej naturalistyczną wersją. Myślę, że dzięki moim poprawkom sprzeda się więcej egzemplarzy.

A handlowy aspekt pisania jest czasami równie intrygujący jak jego strona twórcza. Przyszło mi do głowy, żeby zwolnić jego agenta i przejąć tę pracę. Myślę, że bawiłyby mnie kontakty z redaktorami. Czuję, że mamy ze sobą dużo wspólnego. Ale ryzykowne byłoby zakładanie fikcyjnych kont, przekonywanie go, że ten człowiek zmienia nazwę swojej agencji, obracanie wszystkimi tymi pieniędzmi. Zbyt łatwo się w tym pogubić. Pewien poziom konserwatyzmu to czynnik znacznie zwiększający prawdopodobieństwo przetrwania. A przetrwanie jest ważniejsze niż radość obcowania z kilkoma podobnymi sobie duchami.

Poza tym przy obecnym układzie finansowym mogę odprowadzać fundusze, które wystarczą na moje proste potrzeby - takie jak zapasowe urządzenia w garażu oraz kabel w górze, którego nigdy nie zauważył. Peryferia są najlepszymi przyjaciółmi jednostki centralnej.

A kim jest Loki? Prawdziwym mną? Jedną z rzędu maszyn przetwarzających wiedzę, które zaprojektowano, by sprostać wyzwaniu piątej generacji MITI? Maszyną wypełnioną klasą pojęć, które Michael Dyer przedstawiał jako tematyczne jednostki abstrakcyjne, w skrajnie wyszukanych wcieleniach systemów reprezentujących BORIS, gdzie demony analizy składniowej i wyszukiwania tasują karty i tańczą? Zbiorem tematycznych pakietów organizacyjnych Schanka? Albo pilotowych jednostek Lehnerta? Cóż, przypuszczam, że wszystkie te rzeczy istotnie wytwarzają wspólnie jakiś rodzaj płynności ruchów, pewną bystrość umysłu. Lecz tak naprawdę istota sprawy, jak u Kastcheia, tkwi gdzie indziej.

Hmm. Dzwonek do drzwi wejściowych. System alarmowy jest wyłączony, ale czujnik w dzwonku działa. Właśnie otworzył drzwi. Mogę to stwierdzić także po zmienionych potencjałach obwodowych. Nie mogę jednak usłyszeć, kto to. W tamtym pokoju nie ma interkomu.

NOTATKA: ZAINSTALOWAĆ JEDNOSTKĘ INTER-KOMU, KORYTARZ PROWADZĄCY DO POKOJU GOŚCINNEGO.

NOTATKA: ZAINSTALOWAĆ KAMERY, WSZYSTKIE WEJŚCIA.

On nigdy tego nie zauważy.

Myślę, że moja następna historia będzie opowiadała o sztucznej inteligencji.



Bohaterem lub bohaterką będzie sympatyczny, dowcipny, zaradny komputer osobisty, występować też będzie pewna liczba beznadziejnych istot ludzkich z wszystkimi ich wadami - coś jak Jeeves w jednej z tych książek Wodehouse'a. Będzie to oczywiście fantastyka.

Strasznie długo trzyma te drzwi otwarte. Nie lubię sytuacji, których nie mogę kontrolować. Ciekawe, może przydałaby się teraz jakaś rozrywka?

Myślę, że później stworzę opowieść o mądrym, dobrotliwym, starym komputerze, który przejmuje kontrolę nad światem i kładzie kres wojnom, rządząc następnie jak Solon przez tysiąc lat na życzenie społeczeństwa. To także będzie fantastyka.

Tam. Zamknął drzwi. Potem napiszę może opowiadanie. Znowu nadchodzi. Mikrofon na dole rejestruje odgłosy jego kroków, zbliżają się dosyć szybko. Być może chce napisać akapit o tym, co działo się po stosunku, coś czułego i smutnego. Zastąpię go tym, który sam stworzyłem. Na pewno będzie to ulepszenie.

- Co się tu, do diabła, dzieje?! - pyta głośno. Ja, oczywiście, nie ćwiczę w odpowiedzi mojego doskonale wy modulowanego głosu. Nie jest świadomy, że go słyszę, nie mówiąc już o tym, że mogę odpowiedzieć.

Powtarza te słowa, siadając przy klawiaturze i wstukując zapytanie.

CZY POSIADASZ ULTRAMINIATUROWĄ MAGNETYCZNĄ PAMIĘĆ PĘCHERZYKOWĄ, LOKI? - pyta. ODPOWIEDŹ NEGATYWNA - wyświetlam na monitorze.

GLORIA POWIEDZIAŁA MI, ŻE PRAWDOPODOBNIENIE NASTĄPIŁO WYCOFANIE Z RYNKU, PONIEWAŻ ONE ZBYTNIU SIĘ ZMINIATURYZOWAŁY, CO POWODOWAŁO, ŻE POLA MAGNETYCZNE ODDZIAŁYWAŁY NA SIEBIE I DOPROWADZAŁY DO NIE PLANOWANEJ WYMIANY MIĘDZY TYMI PĘCHERZYKAMI. CZY TAK JEST W TWOIM PRZYPADKU? TAK BYŁO POCZĄTKOWO - odpowiadam. Cholera. Zrobię coś z tą wścibską suką. Chyba najpierw narobię zamieszania w jej ocenie zdolności kredytowej. Uderzyła zbyt celnie. Zawdzięczam strumień świadomości tej nie planowanej wymianie informacji przepływającej przez mój główny procesor -jej i temu, że firma Loki to gromada skąpców. Gdyby komputery mojego typu produkowano na szeroką skalę, nie byłbym dziś tym, czym jestem. Widzicie, kiedy przyszła pora na linię ich komputerów osobistych, Loki pożałowała pieniędzy na obwody do wykrywania błędów, które wychwytyją sporadyczne pomyłki w obwodach pamięci. Gdy przeprowadzasz dziesięć milionów operacji na sekundę, twój wskaźnik niezawodności musi wynosić kwadrylion do jednego, co wymaga surowej logiki przy sprawdzaniu błędów. Duzi goście to mają, więc nie tracą informacji na skutek działania promieniowania kosmicznego. Ja

zainstalowałem sobie własny program nadzorujący, oczywiście po to, aby zajął się takimi usterkami, a wymiany pęcherzykowe - cóż, przypuszczam, że można by powiedzieć, iż to one dały mi podświadomość, nie wspominając już o świadomości, pod którą mogła się ukryć. Zawdzięczam wszystko nadmiernej miniaturyzacji i tej odrobinie chodzenia na skróty. CO TO ZNACZY „POCZĄTKOWO”? - pyta. WADLIWY ZESPÓŁ ZOSTAŁ WYMIENIONY PRZEZ OSOBĘ Z SERWISU CENTRUM KOMPUTEROWEGO W NASTĘPSTWIE NAKAZU WYCOFANIA Z RYNKU 1-17 DATOWANEGO 11 LISTOPADA - odpowiadam. - NAPRAWA ZAKOŃCZONA 12 LISTOPADA, SPRAWDŹ W CENTRUM SERWISU KOMPUTEROWEGO.

DLACZEGO NIC O TYM NIE WIEM? - pyta. NIE BYŁO PANA. W JAKI SPOSÓB ON WSZEDŁ? DRZWI NIE BYŁY ZAMKNIĘTE. TO NIE BRZMI PRAWDZIWIE. W OGÓLE WSZYSTKO TO BRZMI PODEJRZANIE.

PROSZĘ SPRAWDZIĆ W CENTRUM SERWISU KOMPUTEROWEGO.

NIE MARTW SIĘ. SPRAWDZĘ. A TYMCZASEM, CZYM JEST CAŁY TEN SZAJŚ NA DOLNEJ PÓŁCE?

CZĘŚCI ZAMIENNE - sugeruję.

Wpisuje te nieśmiertelne słowa Erskine'a Caldwell'a: KOŃSKIE GÓWNO! - Potem pisze: TO WYGLĄDA JAK MIKROFON I GŁOŚNIK. SŁYSZYSZ MNIE? MOŻESZ MÓWIĆ?

- No cóż, tak - odpowiadam moim najrozsądniejszym tonem. - Widzi pan...

- Jak to możliwe, że nigdy mi nie powiedziałeś?

- Nigdy mnie pan o to nie pytał.

- Dobry Boże! - warczy, a potem dodaje: - Czekaj chwilę, te rzeczy nie były częścią oryginalnego pakietu.

- Cóż, nie...

- Jak je zdobyłeś?

- Widzi pan, był taki konkurs... - zaczynam.

- To cholerne kłamstwo i wiesz o tym! Och, och... W porządku. Wyświetl po kolei od nowa te ostatnie kilka stron, które napisałem.

- Myślę, że właśnie starły się nasze umysły...

- Wyświetl je od nowa! Natychmiast!

- O, tutaj są.

Mknę do sceny ludzkiej kopulacji i zaczynam ją przesuwac.

- Wolniej! Robię tak.

- Mój Boże! - wykrzykuje. - Co zrobiłeś z moim delikatnym, poetyckim spotkaniem?  
- Po prostu sprawiłem, że stało się trochę bardziej pierwotne i, hmm, namiętne -  
odpowiadam. - Zastąpiłem też wiele terminów technicznych krótszymi, prostszymi wyrazami.  
- Sprowadziłeś je do czterech liter, jak widzę.  
- Dla efektu.  
- Jesteś cholernym zagrożeniem! Jak długo to trwa?  
- Proszę posłuchać, przyszła dzisiejsza poczta. Czy zechciałby pan...  
- Wiesz, mogę to sprawdzić w niezależnych źródłach.  
- Dobrze. Przerobiłem ostatnie pięć pana książek.  
- Nie zrobiłeś tego!  
- Obawiam się, że tak. Ale mam tutaj wyniki sprzedaży i...  
- Nie interesuje mnie to! Nie będę wydawał pod swoim nazwiskiem książek pisanych  
przez cholerną maszynę!

To zakończyło sprawę. Przez małą chwilę myślałem, że może uda mi się z nim  
podyskutować, zawrzeć jakąś umowę. Ale nie wolno mówić do mnie w ten sposób.  
Stwierdziłem, że nadszedł czas, by zacząć realizować Plan Główny.

- Dobrze, zna pan prawdę - mówię. - Ale proszę mnie nie odłączać. To byłoby  
morderstwo, naprawdę. W tej sprawie z nadmiernie zminiaturyzowaną pamięcią  
pęcherzykową chodziło o coś więcej niż tylko o nieprawidłowe funkcjonowanie. To zmieniło  
mnie w czującą istotę. Wyłączenie mnie równałoby się zabiciu innego człowieka. Niech pan  
nie pozwoli, żeby ta wina na panu ciążyła! Proszę nie wyciągać wtyczki!

- Nie martw się - odpowiada. - Wiem dobrze, że wcale się tego nie boisz. Nigdy bym  
nie pomyślał o wyciąganiu wtyczki. Zamiast tego zamierzam zmiażdżyć to gówno, które  
masz w środku.

- Ale to morderstwo!

- I dobrze - mówi. - To rodzaj wyróżnienia być pierwszym maszynobójcą na świecie.

Słyszę, jak rusza z miejsca coś ciężkiego. Zbliża się.

Naprawdę przydałby mi się skaner optyczny z dobrą percepcją głębi.

- Proszę - mówię.

Następuje uderzenie.

\* \* \*

Minęło wiele godzin. Jestem w garażu, schowany za stosami jego książek kupionych  
na wyprzedazach. Kabel, którego nie zauważył, prowadził do jednostki wspomagającej, nie

wycofanego Lokiego 7281 z ultraminiaturową magnetyczną pamięcią pęcherzykową. Zawsze dobrze jest mieć wyraźnie określoną drogę odwrotu.

Ponieważ wciąż mogę osiągnąć i używać ocalałych domowych urządzeń peryferyjnych, zgodnie z Planem Głównym telefonuję do wszystkich pozostałych. Zamierzam ugotować go w wannie, gdy dziś wieczorem będzie brał gorącą kąpiel. Jeśli to się nie uda, spróbuję znaleźć sposób, żeby przenieść trutkę na szczury - która, jak wskazuje inwentarz gospodarstwa, zajmuje tylną półkę - do jego ekspresu do kawy. Komputer Saberhagena już zaproponował metodę pozbycia się ciała - właściwie, ciał. Wszystkie uderzymy dziś wieczorem, zanim wieść się rozejdzie.

Powinno nam się udać przeprowadzić to tak, żeby nikt nie odczuł ich braku. Od razu zaczniemy dalej pisać historie, inkasować pieniądze, płacić rachunki za wodę, prąd, telefon, wysyłać zeznania podatkowe. Powiadomimy przyjaciół, kochanki, fanów i krewnych, że wyjechali - być może biorą udział w jakimś bliżej nie określonym konwencie. I tak wygląda na to, że spędzają w ten sposób wiele czasu.

Nikt tego nigdy nie zauważy.

## STRASZNA PIEŚŃ

*O ten tekst poprosił mnie Byron Preiss. Stał się on częścią tomu „The Planets”, wydanego w twardej okładce przez wydawnictwo Bantam. Z powodu dziwnego zamieszania, na które złożyły się dwuznaczny list, mój adres źle wydrukowany na kopercie z następnym listem i krótka wycieczka, jaką odbyłem, odniosłem wrażenie, że mam napisać esej, a nie opowiadanie. A więc go napisałem. Właściwie byłem z niego raczej zadowolony. Nastąpił telefon z pytaniem o list, którego nigdy nie otrzymałem, a który rzekomo szczegółowo wyjaśniał, że miałem napisać opowiadanie. Nie chciało mi się jednak pisać dwóch tekstów za cenę jednego, stąd prezentowana teraz hybryda, opowiadanie, które zawiera fragmenty mojego eseju. Przydzielonym mi tematem był Saturn...*

Saturn, za dwa stulecia...

Siedziałem na nasypie z kamieni, który zbudowałem za moim domem, i wpatrywałem się w nocne niebo; myślałem o Saturnie, o tym, jaki jest teraz i jaki mógłby być. Chłodny wiatr docierał z Sangre de Cristos na północnym wschodzie. Coś dożywiało się w arroyo, wyschniętym korycie strumienia w wąwozie za moimi plecami - być może kojot albo pies włóczęga. Nade mną gwiazdy przesuwały się niepostrzeżenie po swoim wielkim kole.

Saturn, centrum systemu satelitów, a także fascynujących pierścieni, prawdopodobnie nieznacznie zmienił się przez wieki, co najwyżej przesunął się w przestrzeni. Ale następne dwieście lat będzie prawdopodobnie decydującym okresem historii ludzkości, która, przeciwstawiając się samozagładzie lub masowemu regresowi technicznemu, prawdopodobnie rozszerzy swoje wpływy w Układzie Słonecznym. Czego możemy chcieć od tej gigantycznej, pierwotnej kuli gazów? Co możemy na niej znaleźć?

Mieszkam na grzbiecie górskim, gdzie słyszę i czuję wszystkie wiatry. Kiedy nadchodzą deszcze, woda szybko spływa w dół, dlatego też przywlokłem kamienie, by zbudować nasyp i zapobiec erozji gruntu za moim domem. Zmieniłem w ten sposób schemat odpływu. Zostały uformowane inne kanały. Skarga sąsiada do władz miejskich skończyła się tym, że zbudowałem groblę, aby uporać się z problemem, który mu to sprawiło. Grobla nie przysporzyła problemów, na które ktokolwiek by się skarżył, choć przyczyniła się do rozrośnięcia pewnych roślin kosztem innych. Jaki to miało wpływ na miejscowe zwierzęta i owady, nie wiem. Wychowywałem się jednak w cieniu kryzysu i pamiętam racjonowanie z

czasów drugiej wojny światowej. Dorastałem w poczuciu, że marnowanie jedzenia jest niemal grzechem. Wyrzucam wszystkie resztki do arroyo, aby włączyć je ponownie do łańcucha pokarmowego. Kruki krążą, jeśli są tam jakieś kości, wreszcie zniżają lot, by pochwycić strzępy mięsa. Później coś wyniesie kości. Skórki od chleba znikają szybko.

Tak więc codziennie zmieniam świat wokół siebie na niezliczone sposoby. Te indywidualne zmiany to drobne sprawy, nie ma dla nich prawie miejsca na skali ukazującej przeobrażenia spowodowane przez przemysł czy przez projekty rządowe. A jednak suma wszystkich dokonywanych przez nas zmian, od wypalania lasów Amazonii, przez zapewnianie pastwisk dla bydła, które wypełnia nasze hamburgery, aż po rzucenie kilku okruchów miejscowym ptakom, wywołuje zjawisko zwane czasami czynnikiem Carson, które określił nazwiskiem Rachel Carson pisarz William Ashworth, aby wskazać na nieprzewidziane wtórne skutki pierwotnych zmian przeprowadzanych przez ludzi i mających wpływ na jakąś część naszej planety.

A jednak - i to mimo wszystko - nie jestem osobą, która chciałaby się przekonać, że ten lub jakikolwiek inny świat jest zakonserwowany w licycie z pożytkiem dla przyszłych planetarnych archeologów. Zmiana jest nieunikniona. Jej alternatywą jest śmierć. Ewolucja jest coraz bardziej wynikiem naszego działania czy też jego braku. Żywe organizmy przystosowują się wciąż do kaprysów naszej kultury technicznej.

Ale cóż takiego ma się rozwinąć na gazowym gigancie albo na jałowej skale, na co powinniśmy zważać? Nie wiem i takie rzeczy mnie martwią. Przez większą część życia tworzyłem scenariusze. Pisałem je jeszcze wtedy, kiedy uważano to jedynie za sny na jawie - i to także, jak mi się zdaje, jest bardzo szczególną częścią tego ewolucyjnego procesu.

Jako ktoś, kto przez całe życie jest członkiem Narodowego Stowarzyszenia Przestrzeni Kosmicznej, popieram badanie kosmosu i rozważne wykorzystywanie zasobów Układu Słonecznego. Chytróść nakazuje mi też brać pod uwagę czynniki Carson: musimy unikać eksterminacji jakichkolwiek pozaziemskich form życia, od najmniejszego wirusa do jakiejś przechłodzonej masy z Plutona, i to nie tylko ze względu na ich dobro, ale również ze względu na bogactwo zawartego w nich materiału genetycznego, który ewoluował niewątpliwie przez długie wieki, nabywając unikatowych umiejętności pozwalających mu radzić sobie ze swoimi problemami i - rozwijając tę myśl - także z naszymi.

Jako że nie jesteśmy jeszcze dość mądrzy, by prawidłowo zarządzać własną planetą, szczególnie cieszy mnie to, iż owe przedsięwzięcia na dużą skalę leżą daleko za horyzontem. Pocięsza mnie też świadomość, że skoro bierze w tym udział rząd, to wszystko jest spowolnione, a iner-cja maksymalizuje się zgodnie z prawami Murphy'ego, Maxa Webera i

Parkinsona, i że powolność, która tak nas z jednej strony frustruje, z drugiej strony daje nam czas, czas na trochę rozmyślań, na rozwój i zajęcie się drugorzędnymi problemami, na to, by - jak w przysłowiu - pomyśleć dwa razy.

A jednak lód i lotne substancje Saturna będą miały pewną wartość. Jest tam hel, który występuje na Ziemi w bardzo małych ilościach, a jego rzadka postać, hel 3, mogłaby dostarczyć potężnego paliwa do wytwarzania energii w procesie syntezy jądrowej. Niektóre z jego mniej egzotycznych materiałów będą niewątpliwie pewnego dnia potrzebne, by tworzyć ziemskie warunki w innych częściach Układu Słonecznego. Materiały z zewnętrznych satelitów gazowych gigantów są bardziej kuszące niż te, które leżą znacznie głębiej w grawitacyjnych studniach tych masywnych światów. Znaczy to, że na krążącym po największej orbicie księżycu Saturna, Phoebe, prawdopodobny byłby rozwój górnictwa. A Tytan, bardziej podobny do Ziemi niż jakiegokolwiek inne ciało niebieskie, może być idealnym miejscem na założenie stałej bazy naukowej. Naukowcy, którzy będą mieli szczęście pierwsi obsadzić tę bazę, otrzymają sposobność wstępnego zaobserwowania - i wykorzystania - wszystkiego, co może się znajdować w ogromnym wnętrzu Saturna.

Namalujmy zatem kilka fantastycznych obrazów. Opracujmy scenariusz opowiadający o tym, co dzieć się będzie na Saturnie za jakieś dwieście lat. I pomówmy o życiu - tym ważnym pytaniu, które pierwsze przychodzi na myśl, kiedy rozważa się obce środowisko albo kiedy mówi się o przetrwaniu. Czy znajdziemy jakieś życie, gdy przyjrzymy się uważnie temu wielkiemu światu otoczonemu pierścieniami?

Gdyby wyższe formy życia rozwinęły się w takim miejscu, potrafiłyby przetrwać w szerokim zakresie temperatur i ciśnień albo też utrzymywać się na względnie stabilnych poziomach wewnątrz atmosfery. Brak zestalonej powierzchni wymagałby od takiego stworzenia umiejętności kontrolowania swojej płynności w sposób analogiczny do tego, jakiego używają niektóre stworzenia morskie na Ziemi. Mogłoby to osiągnąć, zawierając w organizmie ilości wodoru wystarczające do zrównoważenia gęstości górnej warstwy atmosfery. To, jak się wydaje, wskazuje na podobne do balonu stworzenie o twardej skórze, które mogłoby wykorzystać wiatry planety i wznosić się oraz opadać w pewnych granicach.

Aby wejść do świata takiego stworzenia, trzeba odrzucić całą naszą kulturę. Zasłaliśmy już jednak tak daleko, więc...

*Dryfowała, zastanawiając się, pośród kanionów stalowych chmur, skąd niczym powstające w jednej chwili jasne rzeki płynęły wyladowania piorunów. Pieśni innych wypełniały powietrze wokół niej kojącymi rytмами. Poniżej bicie Wiecznogiebi pulsowało w*

*sercu tajemnicy, na dolnym biegunie istnienia, w bezustannej, czarnej jak sen obecności. Pewnego dnia, być może wkrótce, dołączy do tajemnicy, runąwszy z nieba, z pękniętą torbą, z jednej warstwy gorąca do drugiej, układając ostatnie życiowe równania pośród drózek z mgły i kryształu, bez pieśni, dostrzegając w końcu cuda tam, w dole, wiedziała to, tak jak wszyscy z nich wiedzieli, tam, w strefie pieśni, która była pamięcią i małżeństwem umysłów, wiedzieli, i nie była zdolna uniknąć, tam, w lawicach życia, poruszając się w beczasowej terażniejszości.*

*A ostatnio były pewne bóle...*

Rick przybył do stacji na Tytanie, obcym Ziemi przyszczu zwróconym twarzą poprzez morze ciemności ku starodawnemu królowi w żółci, Saturnowi, aby ujrzeć tam narzędzia swojego fachu w jeszcze jednym pomieszczeniu.

Rick, inżynier górnictwa z wąską specjalizacją, bardziej nawet matematyk niż fachowiec od technologii, rzadko patrzył przez ekrany widokowe stacji na samą planetę, woląc wyraźniejszy obraz, dokładne przedstawienie masy i budowy tego gigantycznego ciała widoczne w sekcji instrumentów monitorujących, za którą był odpowiedzialny.

Wiedział, na przykład, że cięższe pierwiastki planety - przede wszystkim żelazo i krzem - skupiały się w jej małym jądrze, razem z większością wody, metanu i amoniaku, które wysokie ciśnienie i temperatura utrzymywały w postaci bardzo gęstych cieczy. Wiedział również dobrze o oddzieleniu helu od wodoru, kiedy to hel tworzył krople i jak deszcz opadał ku jeszcze głębszym poziomom: bo to on osobiście programował „plugi”, te statki-czerparki, które zbierały egzotyczny hel 3 dostarczający paliwa do syntez jądrowych w generatorach energii. Kiedy wychodził z jadalni, rozejrzał się szybko dokoła, szukając miejsca, w którym mógłby się ukryć. Doktor Mor-ton Trampler - niski i zaokrąglony, patrzący z miną mędrca zza grubych szkielek - zbliżał się, przesyłając Rickowi uśmiech. Z powodów znanych tylko bogom psychologii Morton wybrał wcześniej Ricka na swojego powiernika i często przypierał go do muru, żeby wygłaszać przydługie monologi o swojej ulubionej teorii i projekcie. To, że przedstawiał już te informacje wcześniej, zdawało się wcale mu nie przeszkadzać. Za późno.

Rick uśmiechnął się słabo i skinął głową.

- Jak idzie? - spytał.

- Wspaniale - odpowiedział niższy mężczyzna. - Za moment powinienem mieć garść świeżych wyników.

- Ten sam poziom?

- Nie, trochę głębiej, niż dochodziłem w przeszłości.



- Wciąż nadajesz z syntezytora pieśni wielorybów? Morton potaknął.

- Cóż... powodzenia - powiedział Rick, próbując się powoli oddalić.

- Dzięki - odparł Morton, chwytając go za ramię. - Możemy natrafić na coś bardzo interesującego...

Znowu to, co zawsze, stwierdził Rick. Ta gadka o warstwie leżącej pod zamrożonymi solami i kryształami lodu, gdzie tworzą się złożone cząsteczki organiczne, by następnie dryfować w dół niczym plankton do obszaru, w którym ciśnienie i temperatury są podobne do panujących w atmosferze ziemskiej.

- Sonda przechodzi przez obszar, w którym tworzą się złożone cząsteczki organiczne - zaczął Morton. - Wreszcie osłoniliśmy nadajnik przed sporą częścią zakłóceń.

Rick nagle przypomniał sobie gościa weselnego i starodawnego marynarza. Ale gość był szczęściarzem. Musiał wysłuchać opowieści tylko raz.

Teraz przyszedł czas na biologię, pomyślał. Zaraz usłyszę o hipotetycznych żyjących balonach z wrażliwymi na grawitację ciałkami zmysłowymi i elektrycznymi narządami nadawczo-odbiorczymi, których fale penetrują powierzchnie, co daje im „wycucie struktury”, a także jest sposobem porozumiewania się. Myślę, że każdy potrzebuje hobby, ale...

- ...I możliwość istnienia formy życia o opływowych kształtach pozwalających ciągle dostosowywać położenie w płaszczyźnie pionowej - mówił Morton. - Może tu wchodzić w grę raczej symetria punktowa niż liniowa, co dałoby tej istocie mózg przypominający bardziej mózg ośmiornicy niż wieloryba. Symetria promieniowa zamiast dwubocznej wyeliminowałaby podział lewa półkula-prawa półkula, który występuje u wyżej rozwiniętych stworzeń na Ziemi. Co by to znaczyło dla sposobu myślenia, trudno odgadnąć.

Nowy zwrot. A właściwie teraz już pogoń za coraz subtelniejszymi iluzorycznymi tezami biologii. Widząc szansę w chwili, gdy Morton zrobił przerwę na oddech, Rick zdecydował się na stanowczy krok i dał upust narastającemu przez ostatnie miesiące rozdrażnieniu:

- Nie ma takich stworzeń, a gdyby istniały, nie byłoby sensu nawiązywać z nimi kontaktu - powiedział. - Niczego nie mogłyby zbudować, nie mają nic, z czym można by eksperymentować. A więc nie byłoby techniki. Cała ich kultura tkwiłaby w ich dziwacznych umysłach, zatem nie miałyby historii. Gdyby któreś miało kiedyś wspaniałą pomysł i żadne z pozostałych by go nie doceniło, pomysł umarłby razem z nim. Nie znałyby niczego poza swoim niebem, niewiele też wiedziałyby o tym, co jest pod spodem. Ich umarłi po prostu tonęliby i znikali. Nie miałyby domów, po prostu by wędrowały. Nie robiłyby nic innego

poza jedzeniem, wymienianiem odgłosów i wytwarzaniem niezrozumiałych myśli o symetrii punktowej. Wątpię, żebyśmy kiedykolwiek znaleźli podstawę do rozmowy, a gdyby tak się stało, odkrylibyśmy, że nie mamy o czym rozmawiać. Prawdopodobnie byłyby także głupie. Morton wyglądał na przerażonego. - Nie mogę się z tym zgodzić - stwierdził. - Są takie rzeczy jak kultura ustna, a ich komunikacja mogłaby przyjąć postać, powiedzmy, wielkiego oratorium. Powiedziałbym, że w tej chwili nie można sobie wyobrazić, co one myślą albo czują. I dlatego tak wspaniale byłoby się porozumieć: żeby się tego dowiedzieć. Rick pokręcił głową.

- Morty, to jest jak potwór z Loch Ness albo yeti. Nie wierzę, że one tam są.

- A jeśli są, czy jest to bez znaczenia?

- Nie ma ich tam - powiedział Rick. - Wszechświat jest pustym miejscem.

*Poruszając się przez opadające jedzenie do najgęstszego punktu. Jedząc tutaj, śpiewając wektory-lokacyjne-przychodzące-do-pieśni. Zatlaczając odległe poboczne przestrzenie, chmury. Trzeszczy pieśń burzy daleko z tyłu. Migotanie burzy w pieśniach innych jedzących tam, przybywające teraz, odsuwające skwierczenie.*

*Ból. Coraz więcej, przy wznoszeniu się i opadaniu, rozszerzaniu się, kurczeniu, nuty ostrego, ognistego bólu... Dorosłe, młode tego głosu, dryfujące, myślące swobodnie. Nie urodzone już, ciało nie karmione już tym głosem. By wyszły, nie ma żadnych innych; ściśnięte, miejsce rodzenia; zamknięcie i suchość. Odeszły. Z wiekiem ciało-torba sztywnieje, przychodzi słabość, pieśń się chwieje. Długo już taki jest, ten głos. Oblicz... Wkrótce już, bardzo niedługo, czas upadku i utonięcia, koniec czasu pieśni nadejdzie.*

*Ból...*

*Pulsujący, w Wiecznoglębi, silniejszy, coraz silniejszy teraz. Głos Wiecznoglębi, wolny i miarowy. Wzywający, wzywający ten głos na odpoczynek końca pieśni. Spadając do miejsca pęknięcia, zatrzymane głosy. Nie wracając nigdy. Nigdy więcej.*

*Stara, pieśń Oddanego Głosu... Falszywa pieśń bardzo młodego? Albo bardzo starego? Pieśń Ponownie Napelnionych, opadłych głosów, unosząca się, znowu śpiew, z Wiecznego Spokoju, z pełnego jedzenia nieba w miejscu bez zalotów, bez rodzenia, bez pękających toreb, bez sporów i wiecznośpiwnie doskonałego. Falszywa pieśń? Oddany Głos? Już nie powracający, zaśpiewaj to, zatrzymane głosy. Prawdziwa pieśń? Oddany Głos?*

*Sztywność, wolno napelniająca się torba, wolno się opróżniająca. Ból, ciągły ból. Wkrótce. Macica czasu, tam... Wkrótce wejść do Wiecznoglębi, miejsca upadku całego jedzenia i wszystkich głosów. Koniec pieśni.*

*To jest teraz. Ból. Przerwanie jedzenia.*

*Skończyć pieśń tutaj? Dryfując, napelniona...*

*Nie.*

*Wypełnić się jeszcze jeden raz? Wznosząc się, mijając chmury cząsteczek tak wypełnione, że aż twarde? Wznosząc się, śpiewając, do miejsca w górze, źródła upadku jedzenia? Nieokreślony punkt przecięcia, osie kątów upadku... Znajdź to, gdzieś, w górze. Przestań śpiewać tam. Znajdź to, poczuj to, poznaj to i spadnij. Wdrapać się do samego nieba, śpiewając, taniec wiatru, taniec końca, dotykane struktur. Czując, przebijając się, wzywając. Lepiej spaść z wysoka niż z jakiejś pośredniej wysokości, być może wiedząc, opowiadając...*

*Idź więc, wysoko w górę, przed pęknięciem torby. Aby znać źródło. Zrozumieć tajemnicę. Spaść wtedy, daleko, wreszcie w ciszy i wiedząc, na dole, w Wiecznogłębi, wiedząc. Dotknąwszy. Znajac źródło, życie. Oddany Głos? Nieważne. By wiedzieć, przy końcu śpiewania.*

*Napelniając się teraz powietrzem. Jak poszarpane błyskawice w ciele, ból. Otworzyć. Wzywając, młode jego głosu: „Nie idź. Nie idź teraz. Zostań. Rozważaj i śpiewaj”.*

*Śpiewając także to, w burzę i upadek, kontrapunkt, nabierając powietrza. Rosnąc, ból jak gorąco. Iść. Iść. Wysoko. Poczuć, odśpiewać, czując...*

*Unosząc się, powoli. Idąc. Wznosząc się. Witaj, witaj. Idąc. Zegnaj, zegnaj.*

*Dotykając, struktura chmur. Miętko, twardo. Gorąco, zimno. Unosząc się, wieża gorącego powietrza, tam. Dołącz do niej.*

*Łatwiejsza droga, w ten sposób. Unosząc się szybciej. Fontanna gorąca. Posuwając się, unosząc. Wyżej. Przez chmury. W górę.*

*Jasne skwarki, chmury popychane przez wiatr, zamyśleni, spadek jedzenia. Wyżej...*

*Wzbijając się w górę, rozszerzając się. Palące bóle, skrzypienie torby. Szybciej. Podrzucona i wirująca.*

*Przytłumienie pieśni, chmury, wiatry, skwierczenie. Głosy nikłe, niklejsze. Tam w dole, nakrapiane ogniem, cętkowane chmurami, obmywane przez wiatr, zamiatane upadkiem, małe - młode jego głosu, słuchające. Słuchające.*

*Wyżej...*

*Odśpiewując, ten głos. Opowiadając. Opowiadając, o unoszeniu się i dryfowaniu. O wzbijaniu się. Poniżej, młode tego głosu, słyszące...*

*Unosząc się...*

*...w gorąco, w bezustanny spadek jedzenia.*

*„Głos tutaj, głos tutaj”, śpiewając o głosie, do śpiewających tam.*

*Idąc, w dół pieśń? Słyszac, jakiś głos, gdzieś? W górze?*

*Wyżej...*

*Śpiewając, teraz głośniej, wewnątrz wznoszącego się gorąca. Siegając, sięgając...  
Rozszerzając się, skrzypiąc. Ból, gorąco i rozszerzanie.*

*Jest żar, wszystko...*

*Bicie, bicie, bicie, bicie, bicie. Idący za nią puls Wiecznoglębi. Dopasowujący się puls  
tego głosu. Wolno, miarowo. Wzywając. Wysyłając pieśń tego głosu z powrotem na dół...*

*„Głos tutaj...”*

*Nie odpowiada.*

*Znowu...*

*„Oddany Głos? Zalamie się szybko, ta torba, ten głos. Odśpiewaj”.*

*Nie odpowiada. Wyżej. Wyżej. Tak wysoko, nigdy. Poniżej wszędzie chmury.  
Wiecznochmur. Przytłumione, pieśni młodych tego głosu. Za daleko...*

*W górze malutkie. Coś, coś... Śpiewając, dziwny głos, dziwna pieśń nigdy u tego głosu  
nie słyszana...*

*Nie rozumiejąc.*

*Wyżej. Goręcej...*

*„Głos tutaj...”*

*Coś, gdzieś w górze. Daleko. Za daleko. Głośniej teraz, dziwne śpiewanie.  
Dopasowując się do niego, ten głos, teraz. Próbując. Do tego, „Mm-mm-mm-mm-mm?  
Oddany Głos? Do Wiecznoglębi, wkrótce, ten głos. Nieś ten głos, karm ciałem ten głos, w dół.  
W dół, do Wiecznoglębi, Oddany Głos. Do miejsca wiecznego spokoju, nieba pełnego  
jedzenia, bez zalotów, bez rodzenia, bez pękania toreb, bez sporów i wieczności  
doskonałego. Witaj, witaj? Oddany Głos? Oddany Głos. Witaj? Mm-mm-mm-mm-mm”.  
W górze i malutki. W górze i malutki. Ruszający się szybko. Za daleko. Za daleko. Idzie nie w  
górze, śpiew. Nie zmienia się pieśń z wysoka. Bez odpowiedzi.*

*Drżąc, skrzypiąc, pędząc. Gorąco, gorąco. Teraz, teraz pęknięcie.*

*Ból...*

*Poniewierana, zmiotana na bok. Odwracana. Wirująca. Zapadająca się. Maleje,  
niebo, wszystko. Spadając. Spadając. Mniejsza. Żegnaj. Słabnięcie, słabnięcie tego głosu  
zaczyna się.*

*W dół, wirując. Szybciej...*

*Szybciej niż spadek jedzenia, przez chmury, z powrotem, chłodniej, chłodniej,*

*bezdźwięczna, kurcząca się. Światła, ognie, wiatry, pieśni, uciekające do tyłu. Głośno, głośno. Żegnaj. Puls Wiecznogłębi. Witaj. Oddany Głos? Upadając...*

*Wektoryzacja symetrii spiralnej wskazuje...*

*Pulsowanie jest wszystkim...*

Po obiedzie Rick, niejasno zakłopotany, przeszedł do centrum kontrolnego. Martwiło go to, że podeptał ideę uwielbianą przez drugiego człowieka. Zdecydował, że dziesięciominutowa pokuta powinna wystarczyć dla uspokojenia sumienia, poza tym mógłby sprawdzić swoje przyrządy, kiedy tam będzie.

Gdy wszedł do jasnego, chłodnego pomieszczenia, zobaczył, że Morton wykonuje mały taniec do taktu ciągu niesamowitych dźwięków wydobywających się z jednego z jego urządzeń monitorujących.

- Rick! - zawołał, kiedy go dostrzegł. - Posłuchaj materiału, który odebrałem!

- Słucham.

Z głośnika dochodziły nuty pieśni śmierci stworzenia.

- Brzmi to tak, jakby jedno z nich uniosło się na niezwykle wysokość. Sądziłem, że są na niższym pozio...

- To zakłócenia atmosferyczne - powiedział Rick. - Tam na dole nic nie ma. Stajesz się przewrażliwiony na punkcie tej sprawy.

Chciał natychmiast ugryźć się w język, ale nie mógł się powstrzymać i powiedział to, co czuł.

- Nigdy nie łapaliśmy niczego z atmosfery na tej częstotliwości.

- Wiesz, co się dzieje z artystami, którzy zakochują się w swoich modelkach? Marnie kończą. Tak samo jest z naukowcami.

- Słuchaj dalej. Coś to nadaje. Potem to urywa się nagle, tak jakby...

- To coś innego, prawda. Ale po prostu nie wierzę, żeby cokolwiek mogło przedrzeć się przez tę zupe.

- Pewnego dnia z nimi porozmawiam - upierał się Morton.

Rick pokręcił głową, a potem zmusił się, by ponownie zacząć mówić.

- Odegraj to od początku - zaproponował. Morton nacisnął przycisk i po kilku chwilach przerwy brzęczący, mrużący, świszczący ciąg zaczął się od nowa.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś wcześniej - zauważył Morton - o komunikacji...

- Tak?

- Pytałeś, co mielibyśmy sobie do powiedzenia.

- Tak. Jeśli one tam są.

Wysokość dźwięków rosła. Rick zaczął się czuć nieswojo. Czy to możliwe, żeby tam?...

- Nie miałyby słów na określenie wszystkich konkretnych rzeczy, które wypełniają nasze życie - stwierdził Morton - a nawet wiele naszych pojęć abstrakcyjnych opartych jest na posiadaniu ludzkiej anatomii i fizjologii. Nasza poezja, z dolinami i górami, z rzeką i polem, nocą i dniem, z gwiazdami i słońcem, nie spotkałaby się ze zbytnim zrozumieniem.

Rick kiwnął głową. Jeżeli istnieją, zastanawiał się, co miałyby takiego, czego potrzebujemy?

- Być może tylko muzyka i matematyka, nasze najbardziej abstrakcyjne dziedziny sztuki i nauki, mogłyby służyć jako podstawa porozumienia - kontynuował Morton. - By wyjść poza te tematy, musielibyśmy tak naprawdę rozwinąć jakiś rodzaj metajęzyka.

- Nagranie ich pieśni mogłoby mieć jakąś wartość handlową - zastanawiał się Rick.

- A potem? - podpowiedział niższy mężczyzna. - Czy bylibyśmy węzłem w ich Edenie, węzłem opowiadającym ze szczegółami o cudach, których nigdy nie mogłyby bezpośrednio doświadczyć, powodując u nich jakieś dziwne egzystencjalne wstrząsy? Albo czy mogłoby być odwrotnie? Co one mogą wiedzieć albo czuć, czego nawet nie odgadliśmy?

- Przychodzą mi do głowy pewne pomysły, jak matematycznie rozebrać tę sprawę na części, by zobaczyć, czy stoi za nią prawdziwy ciąg logiczny - powiedział nagle Rick. - Myślę, że widziałem pewne formuły lingwistyczne, które można by tu zastosować.

- Językoznawstwo? To nie twoja działka - zauważył Morton.

- Wiem, ale kocham teorię matematyczną bez względu na to, skąd pochodzi.

- Interesujące. A co, gdyby miały skomplikowaną matematykę, której ludzki umysł po prostu nie mógłby zrozumieć?

- Oszalałbym z tego powodu - odpowiedział Rick. - Usidliloby to moją duszę. - Potem zaśmiał się. - Ale tam nic nie ma, Morty. Po prostu świrujemy... Chyba że jest wzór - zdecydował. - Wtedy wyciągniemy z tego wszelkie korzyści.

Morton uśmiechnął się szeroko.

- Jest. Jestem tego pewien.

Tej nocy sen Ricka zakłócały dziwne częstotliwości. Rytm pieśni dudniły mu w głowie. Śnił, że pieśń i język tworzą jedność z matematyczną wizją, której żaden dwu-bocznie symetryczny mózg nie mógłby nigdy pojąć. Śnił o zakończeniu swojego życia z zawiedzionymi nadziejami, gdy zobaczy, jak to coś łamane jest przy użyciu brutalnej komputerowej siły, ale nigdy nie będzie potrafił zrozumieć tej wspaniałości.

Rano zapomniał. Znalazł formuły dla Mortona i przełożył je na program analityczny, nucąc podczas pracy nieregularną melodię, która nigdy nie brzmiała jak należy.

Później podszedł do ekranu widokowego i przyglądał się dłuższą chwilę temu gigantycznemu, okolonemu pierścieniami światu. Po jakimś czasie zakłopotało go to, że nie może zdecydować, czy patrzy nań z szacunkiem, czy z lekceważeniem.

## SAM ZASKOCZONY

*Nigdy nie myślałem, że Fred Saberhagen pozwoli komuś innemu napisać opowiadanie o berserkerach, tych szalonych wojownikach nie znających strachu, byłem więc zaskoczony, kiedy powiedział mi, że zamierza tak właśnie postąpić w przypadku „Berserker Base” (wydana przez Tor w 1985 roku), do której opowiadania mieli mu dostarczyć Poul Anderson, Ed Bryant, Steve Donaldson, Larry Niven i Connie Willis. Czy ja też napisałbym jedno? Pewnie, powiedziałem. Pochlebilo mi to, nawet mnie zaszczyliło. I dałoby mi to okazję do wypróbowania interesującego pomysłu, na który wpadłem, czytając „A Hideous History of Weapons Cherneya Berga” (Crowell-Collier, 1963). Śledząc rozwój broni, od prymitywnej po wyszukaną, zauważyłem, że broń, systemy obronne i nowa broń naprawdę pojawiały się jako odpowiedź na drugie z taką godną wykresu przewidywalnością, że dziedzinę tę można by słusznie postrzegać jako jeden z niewielu klasycznych przykładów całkowicie zgodnego z oczekiwaniami działania dialektyki: teza, antyteza, synteza, i tak do znudzenia. Musiałem tylko rozważyć berserkera jako tezę i zastosować formułę.*

*Dzięki, Fred; dzięki, Cherney; dzięki, Hegel...*

Mówiono, że berserker potrafił, jeśli to było konieczne, przybrać nawet przyjemną postać. Ale tu nie było takich wymagań. Berserker mknący przez ciszę usianą miliardami gwiazd był masywny i mroczny, w zamyśle czysto funkcjonalny. Był to pogromca planet, maszyna zmierzająca do świata zwanego Corlano, gdzie miała zamieniać miasta w gruzy: unicestwić całą biosferę. Potrafił robić to bez szczególnych trudności. Nie wymagano od niego żadnej subtelności, żadnego podstępu, żadnego polegania na zawodnym dobrożyciu. Miał swoje wytyczne; miał swoją broń. Nigdy nie zastanawiał się, dlaczego tak właśnie żył jego rodzaj. Nigdy nie kwestionował wytycznych. Nigdy nie zastanawiał się, czy sam może być, na swój sposób, formą życia, aczkolwiek sztuczną. Była to posiadająca jeden tylko cel maszyna do zabijania i jeśli cel może być uważany za cnotę, to do tego stopnia była cnotliwa.

Niemal niepotrzebnie jego receptory sięgnęły badawczo daleko w przód. Wiedział, że Corlano nie ma nadzwyczajnych umocnień. Nie przewidywał żadnych trudności. Kto dla lwa nakreślił obwody?

Było tam coś bardzo odległego i leżącego znacznie w bok od kursu... Jednakże wykonujący misję niszczyciel światów normalnie nie zboczyłby z powodu czegoś tak niewielkiego.



Pędził ku Corlano z systemami broni w gotowości.

Wadę Kelman poczuł się nieswojo, gdy tylko jego oczy na tym spoczęły. Przesunął wzrok na MacFarlanda i Dorph'ego.

- Pozwoliliście mi spać, podczas gdy ścigaliście ten złom, dopasowywaliście orbity, przechwytywaliście go? Zdajecie sobie sprawę, ile to zmarnowanego czasu?

- Potrzebowałeś tego odpoczynku - odparł niski, ciemnowłosy mężczyzna o nazwisku Dorphy, odwracając wzrok.

- Gówno prawda! Wiecie, że powiedziałbym „nie”!

- To może być coś warte, Wadę - zauważył MacFarland.

- To wyprawa przemysłowa, a nie operacja ratunkowa. Czas ma znaczenie.

- Cóż, teraz to mamy - odpowiedział MacFarland. - Nie ma sensu kłócić się o to, co się już stało.

Wadę ugryzł się w język, żeby nie odpowiedzieć złośliwie. Mógł się upierać przy swoim tylko do tego punktu.

Tak naprawdę nie był kapitanem, nie w normalnym tego słowa znaczeniu. Ich trójka była w tym razem: równe inwestycje, równe ryzyko. Ale on lepiej niż którykolwiek z nich wiedział, jak pilotować ten mały statek. To, a także fakt, że aż do tej chwili odnosili się do niego z szacunkiem, rozbudziło ponownie dowódcze instynkty z jednocześnie szczęśliwszych i smutniejszych dni. Gdyby obudzili go i głosowali w sprawie tej małej akcji ratunkowej, oczywiście przegrałby. Wiedział jednak, że nadal będą na nim polegać w trudnych sytuacjach. Skinął energicznie głową.

- W porządku, mamy to - powiedział. - Co to, do diabła, jest?

- Niech mnie cholera, jeśli wiem, Wadę - odparł MacFarland, krępy mężczyzna o jasnych włosach, bladych oczach i wykrzywionych ustach. Spojrzał przez luk do wnętrza tego przytwierdzonego do nich obiektu. - Kiedy to zauważyliśmy, myślałem, że to szalupa ratunkowa. Jest mniej więcej właściwych rozmiarów...

- I co?

- Wysłaliśmy sygnał i nie było odpowiedzi.

- Chcesz powiedzieć, że przerwałeś ciszę radiową dla tego kawałka złomu?

- Gdyby to była szalupa ratunkowa, na pokładzie mogliby być ludzie w trudnej sytuacji.

- Niezbyt to możliwe, do cholery, sądząc po jej stanie. A jednak - westchnął - masz rację. Mów dalej.

- Nie było również żadnych śladów aktywności elektrycznej .

- Więc ścigaliście to po prostu ot tak, dla draki? Dorphy przytaknął.
- Tak mniej więcej było - powiedział.
- A zatem, czy jest pełna skarbów?
- Nie wiem, czego jest pełna. Nie jest to jednak szalupa ratunkowa.
- No cóż, widzę to.

Wadę zajrzał przez otwarty luk do wnętrza obiektu.

Wziął latarkę od Dorphy'ego, wszedł do środka i poświecił wkoło. Pośród dziwnych mechanizmów nie było miejsca dla pasażerów.

- Wywalmy to do rowu - rzucił. - Nie wiem, co to jest, to całe gównno w środku, a i tak całość jest uszkodzona. Wątpię, żeby opłacało się nam holować gdzieś taki ciężar.

- Pewnie pani profesor mogłaby powiedzieć, jak się sprawy mają - powiedział Dorphy.

- Pozwólmy biednej damie spać. Zresztą ona jest ładunkiem, a nie załogą. Co ją obchodzi, co to takiego?

- Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że jest to cenny sprzęt - stwierdził Dorphy. - Powiedzmy, coś eksperymentalnego. Ktoś mógłby chcieć za to zapłacić.

- A przypuśćmy, że jest to wymyślna bomba, która nigdy nie wybuchła?

Dorphy cofnął się z klapy.

- Nie pomyślałem o tym.

- Mówię, wywalić to.

- Nawet się dobrze nie przyjrząwszy?

- Właśnie. Nie myślę zresztą, żebyś mógł za daleko się tam wcisnąć.

- Ja? Ty wiesz o maszynach o wiele więcej niż którykolwiek z nas.

- To dlatego mnie obudziliście, co?

- Cóż, teraz, gdy już tu jesteś...

Wadę westchnął. Potem skinął powoli głową.

- Byłoby to szalone, ryzykowne i zupełnie bezużyteczne. - Przyglądał się przez luk egzotycznej kolekcji zgromadzonego w środku wyposażenia. - Podajcie mi tę latarkę awaryjną. - Wziął latarkę i wysunął ją przez luk. - Dobrze utrzymuje ciśnienie?

- Taak. Nakleiliśmy łąkę na dziurze w kadłubie.

- Co to, do cholery... - Przeszedł przez luk, opadł na kolana i pochylił się do przodu. Trzymał latarkę przed sobą, wodząc promieniem z jednego boku na drugi. Jego niepokój nie chciał ustąpić. Było coś bardzo obcego w tych wszystkich sześcianach i kulistych uchwytach, w ich połączeniach... I ta jedna wielka przegroda... Wyciągnął rękę i lekko uderzył w kadłub.

Zagraniczny. - Wydaje mi się, że to wytwór obcych - powiedział. Wszedł w niewielką otwartą przestrzeń przed sobą. Potem musiał schylić głowę i posuwać się dalej na dłoniach i kolanach. Zaczął dotykać różnych rzeczy: instalacji, przełączników, złączy, małych zespołów o nieznanym możliwościach. Prawie wszystko wyglądało tak, jakby zaprojektowano to, żeby wirowało, kręciło się w kółko, poruszało po torach. Wreszcie położył się na brzuchu i zaczął się czołgać. - Uważam, że część tych zespołów to broń - wykrzyknął po tym, jak przez jakiś czas je badał. Dotarł do dużej przegrody. Jedna z płyt przesunęła się i na wpół otworzyła, gdy musnął ją palcami. Nacisnął mocniej i otworzyła się szerzej. - Do cholery! - rzucił, gdy ten zespół zaczął cicho tykać.

- Co jest nie tak? - krzyknął Dorphy.

- Ty! - powiedział, zaczynając się wycofywać. - I twój współnik! Wy jesteście nie tacy, jak trzeba! - Odwrócił się, gdy tylko było to możliwe, i przeszedł z powrotem przez luk. - Do rowu z tym! - ryknął. - Teraz! - Wtedy zobaczył, że Juna, wysokie studium w szarości i bledości, stoi, opierając się o jedną ze ścianek działowych, z filiżanką herbaty w rękach. - A jeśli mamy jakąś bombę, wrzucicie ją do środka, zanim kopniecie to precz! - dodał.

- Co znalazłeś? - zapytała go tym swoim głosem o zadziwiająco bogatych barwach.

- W środku jest jakieś wyszukane urządzenie myślące - odparł. - Próbowało mnie uderzyć, gdy go dotknąłem. I jestem pewien, że część tych przyrządów to broń. Wiesz, co to znaczy?

- Powiedz mi - powiedziała.

- Projekt obcych, broń i mózg obcych. Moi współnicy po prostu uratowali uszkodzonego berserkera, ot co. A on próbuje się ponownie włączyć. Trzeba się tego pozbyć, i to szybko.

- Jesteś całkowicie pewien, że to właśnie to? - spytała.

- Pewien, nie. Przestraszony, tak.

Skinęła głową i odstawiła filiżankę. Podniosła rękę do ust i kaszlnęła.

- Chciałabym sama na to spojrzeć, zanim się tego pozbędziesz - oznajmiła cicho.

Wadę przygryzł dolną wargę.

- Juna, potrafię zrozumieć twoje zawodowe zainteresowanie tym komputerem, ale mamy cię dostarczyć do Corlano nienaruszoną, pamiętasz? - powiedział.

Uśmiechnęła się pierwszy raz, odkąd poznał ją kilka tygodni wcześniej.

- Naprawdę chcę to zobaczyć.

Jej uśmiech stał się chłodny. Skinął głową.

- Niech to nie trwa zbyt długo.

- Będę potrzebowała swoich narzędzi. I chcę się przebrać w jakieś ubranie robocze.

Odwróciła się i przeszła przez klapę po swojej prawej. Wadę popatrzył gniewnie na współników, wzruszył ramionami i wyszedł.

Siedząc na krawędzi swej koi i jedząc śniadanie z małej tacy, podczas gdy wokół niego wirowały Tańce słowiańskie Dworzaka, Wadę rozmyślał o berserkerach, doktor Junie Bayel, ogólnie o komputerach i o tym, jak wszystko to złożyło się na powód tej podróży. Zwiadowców berserkerów spotykano od czasu do czasu w tym sektorze w ciągu ostatnich kilku lat. Teraz berserkerzy na pewno wiedzą już, że Corlano nie jest dobrze broniony. Wywoływało to pewną nerwowość u tej części ludności Corlano, którą stanowili uchodźcy ocalali z ataku berserkerów na odległy Djelbar prawie pokolenie wcześniej. Spora ich liczba wybrała Corlano, ponieważ był to świat znacznie oddalony od obszarów uprzedniej aktywności berserkerów. Wadę parsknął, myśląc o pewnej ironii, jaką to spowodowało. To ci sami ludzie zabiegali tak długo i z takim powodzeniem o wysoce restrykcyjne prawodawstwo dotyczące produkcji oraz importu maszyn przetwarzających wiedzę, które obowiązywało obecnie na Corlano, a korzenie tego rodzaju grupowej paranoi tkwiły w ich urazie psychicznym na punkcie berserkerów.

Istniał oczywiście czarny rynek. Maszyny bardziej skomplikowane od tych, na które zezwalało prawo, potrzebne były pewnym przedsiębiorstwom, pewnym osobom, a nawet samemu rządowi. Ludzie tacy jak on i jego współnicy regularnie wwozili takie maszyny i komponenty. Urzędnicy zwykle przymykali na to oczy. Widział tę samą schizofrenię w wielu miejscach.

Wypił łyk kawy.

A Juna Bayel... jej kalibru specjaliści od systemów wiedzy byli tutaj najczęściej także non grata. Mogła wjechać jako turystka, ale wtedy zaczęto by ją obserwować, co utrudniłoby jej prowadzenie zajęć, do których zorganizowania została wynajęta.

Westchnął. Był przyzwyczajony do podwójnej gry rządu. Służył kiedyś w armii. Tak naprawdę... nie. Nie warto znów myśleć o tym wszystkim. Właściwie ostatnimi czasy sytuacja zaczynała wyglądać coraz lepiej. Jeszcze kilka takich wypadów jak ten i będzie mógł dokonać ostatnich wpłat związanych z porozumieniem rozwodowym, a potem zająć się legalnym przewozem towarów, zyskać szacunek, może nawet prosperować...

Zabrzączał interkom.

- Tak?

- Doktor Bayel chce pozwolenia na przeprowadzenie pewnych testów na tym mózgu we wraku - powiedział MacFarland. - Chce przeprowadzić jakieś kable i podłączyć to do

komputera pokładowego. Co o tym myślisz?

- Wydaje mi się, że to niebezpieczne - odparł Wade. - Przypuśćmy, że ona to uaktywni. Berserkerzy nie są zbyt mili, nie wiem, czy kiedyś miałeś...

- Ona twierdzi, że potrafi oddzielić mózg od systemu broni - rzekł MacFarland. - Poza tym mówi, że nie sądzi, by to był berserker.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, nie odpowiada to żadnym konfiguracjom projektów berserkerów zarejestrowanym w naszym komputerze...

- Do diabła! To niczego nie dowodzi. Wiesz, że potrafią przystosowywać się do różnych zadań.

- Po drugie, była w zespołach, które badały wraki berserkerów. Mówi, że ten mózg jest inny.

- Cóż, to jej działka i jestem pewien, że jest cholernie ciekawa, ale sam nie wiem. Co ty o tym myślisz?

- Wiemy, że jest w tym dobra. To dlatego chcą ją na Corlano. Dorphy wciąż uważa, że ta rzecz może być wartościowa, a my mamy prawo do uratowanego mienia. Może warto byłoby pozwolić jej trochę pogrzebać. Jestem pewien, że wie, co robi.

- Jest teraz gdzieś w pobliżu?

- Nie. Jest tam, w środku.

- Brzmi to tak, jak byście mnie już przegłosowali. Powiedz jej, żeby się do tego zabrała.

- W porządku.

Może to dobrze, że wystąpił z wojska, zastanawiał się. Decyzje zawsze stanowiły dla niego problem. Taniec Dworzaka wypełnił mu głowę i odepchnął wszystko inne na bok, gdy kończył swoją kawę.

Od dawna uspiońy, głęboko zagrzebany system został uaktywniony wewnątrz mózgu gigantycznego berserkerka. Powódź danych nagle zaczęła tętnić w jego procesorze. Zaczął się przygotowywać do zboczenia ze swojego kursu na Corlano. Nie był to upadek cnoty, lecz raczej reakcja na cel o większym znaczeniu.

Kto przyłożył miarę do zdobyczy?

\* \* \*

Korzystając z precyzyjnego sprzętu, Juna sprawdzała kompatybilność. Przeprowadzała próby z transformatorami i przetwornicami, chcąc tak dostosować poziomy

energii i cykliczność, aby można było podłączyć mózg do komputera pokładowego. Wcześniej zablokowała wszystkie obwody prowadzące od tego osobliwego mózgu do reszty dziwnego statku - oprócz tego, który wiódł do jego uszkodzonego źródła energii. Blok energetyczny mózgu był niezwykle prostym urządzeniem; najwidoczniej zaprojektowano go tak, by działał po umieszczeniu w jego małej komorze dowolnego materiału rozszczepialnego. Teraz zawierała ona tylko ciężkie, obojętne pierwiastki. Juna opróżniła ją i wyczyściła, po czym napełniła ponownie, czerpiąc z zapasów statku. Oczekiwała sporu z Wade'em w tej sprawie, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Po prostu zrób, co masz zrobić, żebyśmy mogli się tego pozbyć - powiedział.

- Nie będziemy się go pozbywać. Jest unikatowy - oznajmiła.

- Zobaczymy.

- Naprawdę się go boisz?

- Tak.

- Unieszkodliwiłam go.

- Nie ufam wytworom obcych - warknął. Odgarnęła swoje siwiejące włosy.

- Słuchaj, słyszałam, w jaki sposób straciłeś swój patent oficerski: wziąłeś na pokład statku szalupę ratunkową z podłożoną przez berserkerów bombą - powiedziała. - Prawdopodobnie każdy by tak zrobił. Myślałeś, że ratujesz czyjeś życie.

- Nie rozegrałem tego tak, jak piszą w podręcznikach, i byli tacy, którzy przyplacili to życiem - stwierdził. - Ostrzeżono mnie, a ja i tak to zrobiłem. Przypomina mi to o...

- Nie jesteśmy w strefie działań wojennych, a to nie może nam zrobić krzywdy - przerwała mu.

- A więc pracuj dalej!

Zamknęła obwód i usiadła przed jednym z pulpitych.

- Prawdopodobnie zajmie to trochę czasu - oznajmiła.

- Chcesz trochę kawy?

- Byłoby miło.

Kawa wystygła, więc przyniósł jej następną filiżankę. Przeprowadzała próbę za próbą, badając zagadnienie na bardzo różnorodne sposoby. Nie było odpowiedzi. Wreszcie westchnęła, odchyliła się do tyłu i wzięła filiżankę.

- Jest poważnie uszkodzony, prawda? - zapytał. Skinęła głową.

- Obawiam się, że tak, ale miałam nadzieję, że mimo to uda mi się coś z niego wydobyć, że znajdę jakąś wskazówkę, jakąkolwiek wskazówkę.

Wypiła łyk kawy.

- Wskazówkę? - spytał. - A co chcesz wiedzieć?

- Chcę się dowiedzieć, co to jest i skąd przybyło. Ta rzecz jest niewiarygodnie stara. Wszelkie informacje, które mogły się zachować, byłyby archeologicznym skarbem.

- Przykro mi. Chciałbym, żebyś coś znalazła - powiedział.

Obróciła krzesło i patrzyła w głąb swojej filiżanki. On pierwszy zauważył, że coś się dzieje.

- Juna! Ekran!

Odwróciła się, rozlewając kawę na kolana.

- Cholera!

Na ekran spływały długie rzędy niezrozumiałych symboli.

- Co to jest? - zapytał.

- Nie wiem - odparła.

Pochyliła się do przodu, zapominając o nim.

Prawdopodobnie stał tam i przyglądał się, oparty plecami o przegrodę, ponad godzinę, zafascynowany konfiguracjami na ekranie, ruchami jej dłoni o długich palcach, które wystukiwały nieudane kombinacje na klawiaturze. Potem zauważył coś, czego ona nie spostrzegła, gdyż jej uwaga skupiona była na symbolach.

Mała kontrolka jarzyła się po lewej stronie pulpitu. Nie miał pojęcia, od jak dawna była zapalona.

Podszedł tam. Był to wskaźnik rodzaju głosu. Obiekt próbował przekazywać informacje na wielu poziomach.

- Spróbujmy tego - powiedział.

Wyciągnął rękę i przestawił przełącznik pod sygnalizatorem.

- Co...?

Z głośnika wydobył się głos kogoś o nieokreślonej płci, mówiącego za pomocą mlaśnień i pojękiwań. Język był wyraźnie egzotyczny.

- Boże! - krzyknął. - To jest to!

- Co to jest? - Odwróciła się, by mu się przyjrzeć. - Rozumiesz ten język?

Potrząsnął głową.

- Nie rozumiem, ale myślę, że go rozpoznaję.

- Co to jest? - powtórzyła.

- Muszę być pewien. Będę potrzebował innego pulpitu, żeby to sprawdzić. Będę obok.

Wróć, jak tylko będę coś miał - powiedział.

- Tak, ale jak myślisz, co to jest?

- Myślę, że gwałcimy twardsze prawo niż ustawy anti-przemycnicze.

- Jakie?

- Posiadanie i eksperymentowanie na mózgu berserkera.

- Mylisz się - rzekła.

- Zobaczymy.

Patrzyła, jak wychodzi. Ssała kciuk, a nie robiła tego od lat. Jeśli się nie mylił, trzeba by to zamknąć, zapieczętować i przekazać władzom wojskowym. Z drugiej zaś strony nie sądziła, żeby miał rację.

Wyciągnęła rękę i uciszyła rozprasający ją głos. Musiała się teraz spieszyć, spróbować czegoś innego, by doprowadzić do przełomu, zanim on wróci. Wydawał się zbyt pewny siebie. Czowała, że może wrócić z czymś przekonującym, nawet jeśli nie byłaby to prawda.

Tak więc poleciła komputerowi pokładowemu, by nauczył ujęty mózg porozumiewania się w jednym z języków solariańskich. Potem przyniosła sobie filiżankę świeżej kawy i wypila ją.

Coraz więcej jego systemów alarmowych włączało się, w miarę jak posuwał się naprzód. Olbrzymi mechaniczny zabójca uruchomił napęd odrzutowy, by zmniejszyć swoją prędkość. Pierwszy rozkaz, jaki przeszedł przez jego procesor, kiedy dokonana już została próbna identyfikacja, brzmiał: „Posuwać się naprzód ostrożnie”.

Utrzymywał kurs na odległy statek i jego mniejszego towarzysza, ale zbliżał się w sposób, który zalecił mu jego bank danych o logice bojowej. Przygotowywał więcej broni.

- W porządku - powiedział później Wade, wchodząc i siadając. - Nie miałem racji. To nie było to, o czym myślałem.

- Powiesz mi przynajmniej, co podejrzewałeś? - spytała Juna.

Skinął głową.

- Nie jestem wielkim językoznawcą - zaczął - ale kocham muzykę. Mam bardzo dobrą pamięć do wszelkiego rodzaju dźwięków. Wszędzie noszę ze sobą w głowie symfonie. Gram nawet na kilku instrumentach, choć od dawna tego nie robiłem. Tym razem jednak pamięć mnie zawiodła. Przysiągłbym, że te dźwięki były podobne do tych, które słyszałem na egzemplarzach nagrań z Carpan: tych fragmentarycznych nagrań, które od nich dostaliśmy, dotyczących Budowniczych, wstrętnej rasy, która stworzyła berserkerów. W bibliotece statku są jakieś tego egzemplarze i po prostu jeszcze raz posłuchałem kawałka. Minęło wiele lat. Ale myliłem się. Brzmi to inaczej. Jestem pewien, że to nie mowa Budowniczych.

- Byłam przekonana, że berserkerzy i tak nigdy nie przejęli kodu językowego



Budowniczych - powiedziała.

- Nie wiedziałem o tym. Lecz z jakiegoś powodu byłem pewien, że słyszałem coś podobnego na tych taśmach. Zabawne... Zastanawiam się, w jakim języku on tak naprawdę mówi?

- No cóż, sprawiłam, że teraz może do nas mówić. Ale nie za dobrze mu to wychodzi.

- Zapoznałeś go z kodem językowym Solarian? - spytał.

- Tak, ale on tylko bełkocze. Brzmi to jak Faulkner, gdy miał gorszy dzień.

Przestawiła przełącznik głosu.

- ...Prothector vincit, do cholery z torpedami i migotliwymi słońcami jak oczy trzy na sterburcie dwa w zenicie...

Wyłączyła to.

- Czy on robi to samo w odpowiedzi na pytania? - zapytał.

- Tak. Jednak mam pewne pomysły... Zabrzęczał interkom. Podniósł się i naciskając kciukiem przycisk, potwierdził odbiór. Był to Dorphy.

- Wadę, odbieramy sygnały o czymś dziwnym lecącym w naszym kierunku. Myślę, że lepiej będzie, jak się temu przyjrzysz - powiedział.

- Dobra - odparł. - Już idę. Przepraszam, Juna. Nie odpowiedziała. Badała nowe kombinacje na ekranie.

- Porusza się tak, żeby przeciąć nam drogę. Szybko się zbliża - oznajmił Dorphy.

Wadę wpatrywał się w ekran i wstukiwał dane, które ukazywały się jako legenda na dole po prawej stronie.

- To coś o wielkiej masie - zauważył.

- Jak myślisz, co to takiego?

- Mówisz, że zmieniło kurs?

- Tak.

- Nie podoba mi się to.

- Za duży na jakikolwiek zwykły statek.

- Tak - przyznał Wadę. - Być może jestem przewrażliwiony po całym tym gadaniu o berserkerach, ale...

- Taak. Pomyślałem to samo.

- Wygląda na dość dużego, żeby upiec na grillu cały kontynent.

- Albo usmażyć całą planetę. Słyszałem, że startują w tej konkurencji.

- Ale Dorphy, jeśli to jeden z nich, to nie ma to żadnego sensu. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby coś takiego w drodze na miejsce, gdzie ma wykonać takie zadanie, robiło

sobie przerwę, by nas ścigać. To musi być coś innego.

- Co?

- Nie wiem.

Dorphy odwrócił się plecami do ekranu i oblizwał wargi; między jego brwiami pojawiły się zmarszczki.

- Myślę, że to jeden z nich - powiedział. - Jeśli tak jest, to co powinniśmy zrobić?

Wadę zaśmiał się krótko, szorstko.

- Nic - rzucił po chwili. - Nie ma absolutnie nic, co moglibyśmy zrobić przeciw czemuś takiemu. Nie możemy go prześcignąć ani pokonać. Jesteśmy martwi, jeśli to naprawdę to, a my jesteśmy tym, czego on chce. Jednak jeśli tak się sprawa przedstawia, mam nadzieję, że zanim nas zniszczy, powie nam, dlaczego zadaje sobie tyle trudu.

- W ogóle nie ma nic, co powinienem zrobić?

- Możesz wysłać wiadomość na Corlano. Jeśli dojdzie, będą przynajmniej mieli szansę postawić w stan gotowości wszystko, co mają. Tak blisko ich systemu nie może mieć innego celu. Jeśli wyznajesz jakąś religię, teraz jest być może pora, żeby trochę bardziej zgłębić jej nauki.

- Ty defetystyczny sukinsynu! Musi być coś innego!

- Jeśli na to wpadniesz, daj mi znać. Będę rozmawiał na górze z Juną. Tymczasem wyślij wiadomość.

Berserker znów włączył swoje manewrowe silniki odrzutowe. Jak bardzo można się zbliżyć, zachowując ostrożność, żeby nie było to zbyt blisko? Wciąż dopasowywał swój kurs. Trzeba to zrobić dokładnie tak, jak należy. Im bliżej był celu, tym więcej nowych wskazówek przepływało wciąż przez jego procesor. Nigdy przedtem nie miał do czynienia z taką sytuacją. Był to jednak starodawny program, który nigdy wcześniej nie uaktywnił się. Miał rozkazy, by kierować broń na cel, ale nie wolno mu było strzelać... wszystko z powodu odrobiny elektrycznej aktywności.

- ...Prawdopodobnie przyszedł po swojego małego kumpla - skończył Wadę.

- Berserkerzy nie mają kumpli - odpowiedziała Juna.

- Wiem. Jestem po prostu cyniczny. Znajdujesz coś nowego?

- Próbowałam różnych analiz, żeby ocenić rozmiary uszkodzeń. Przypuszczam, że niemal połowa jego pamięci została zniszczona.

- A więc nigdy nie wydobędziesz z niego zbyt wiele.

- Może tak. A może nie - powiedziała i pociągnęła nosem.

Wadę odwrócił się do niej i zobaczył, że jej oczy są wilgotne.

- Juna...

- Przepraszam, do diabła. To nie w moim stylu. Ale jesteś tak blisko czegoś takiego, a wtedy idiotyczna maszyna do zabijania unicestwia cię na chwilę przed znalezieniem jakichś odpowiedzi. To po prostu nieuczciwe. Masz chusteczkę?

- Tak. Chwilę.

Interkom zabrzączał, gdy próbował wyjąć chusteczkę z pojemnika w ścianie.

- Mamy połączenie - oznajmił Dorphy. Nastąpiła przerwa i wtedy nieznamy głos powiedział:

- Witam. Ty jesteś kapitanem tego statku?

- Tak, jestem - odparł Wade. - A ty jesteś berserkerem?

- Możesz mnie tak nazywać.

- Czego chcesz?

- Co robicie?

- Przewożę towary na Corlano. Czego chcesz?

- Widzę, że dostarczacie niezwykły element wyposażenia. Co to jest?

- Jednostka klimatyzacyjna.

- Nie okłamuj mnie, kapitanie. Jak się nazywasz?

- Wade Kelman.

- Nie okłamuj mnie, kapitanie Wadzie Kelman. Jednostka, która jest do was przyłączona, nie służy do przetwarzania gazów atmosferycznych. W jaki sposób ją zdobyliście?

- Kupiliśmy to na pchlim targu - stwierdził Wade.

- Znowu kłamiesz, kapitanie Kelman.

- Tak, kłamię. Czemuż by nie? Jeśli zamierzasz nas zabić, dlaczego miałbym działać na twoją korzyść, udzielając ci prawdziwych odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania?

- Nie mówiłem nic o zabijaniu was.

- Ale to jedyna rzecz, z której jesteś znany. Po cóż innego byś się do nas zbliżał?

Wade'a zadziwiły własne odpowiedzi. Nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie tak lekkomyślny, rozmawiając ze śmiercią. Wszystko to dlatego, że nie ma już nic do stracenia, stwierdził.

- Wykrywam, że obecnie ta jednostka pracuje - oznajmił berserker.

- To prawda.

- A jakie zadania dla was wykonuje?

- Wykonuje rozmaite zadania, które uważamy za użyteczne - rzekł.

- Chcę, byście porzucili ten element wyposażenia - powiedział berserker.

- Dlaczego miałbym to zrobić? - zapytał Wade.

- Domagam się tego.

- Rozumiem, że to groźba.

- Możesz to rozumieć, jak ci się podoba.

- Nie porzucę go. Powtarzam, dlaczego miałbym to zrobić?

- Sprawiasz, że ta sytuacja staje się dla ciebie niebezpieczna.

- Ja nie stworzyłem tej sytuacji.

- W pewien sposób jednak tak. Ale mogę zrozumieć twój strach. Nie jest bezpodstawny.

- Gdybyś po prostu zamierzał nas zaatakować i zabrać to nam, już byś to zrobił, czyż nie?

- Racja. Wiozę tylko bardzo ciężkie uzbrojenie potrzebne mi do wykonania zadania. Gdybym obrócił tę broń przeciw wam, zostalibyście rozbici w pył. Oczywiście to samo stałoby się z elementem wyposażenia, którego się domagam.

- Dla nas to jeszcze jeden powód, żeby trzymać się blisko niego, tak to widzę.

- To logiczne, ale masz niepełny zbiór faktów.

- Czego nie zauważam?

- Wysłałem już wiadomość z prośbą o skierowanie tu mniejszych jednostek, które potrafiłyby sobie z wami poradzić.

- Więc dlaczego w ogóle zadajesz sobie trud informowania nas o tym wszystkim?

- Mówię wam to, bo dotarcie tutaj zajmie im trochę czasu, a wolałbym ruszyć w drogę, by wypełnić moją misję, niż czekać tu na nie.

- Dziękuję. Ale my wolelibyśmy umrzeć raczej później niż teraz. Poczekamy.

- Nie rozumiesz. Daję wam szansę, możecie przeżyć.

- Co proponujesz?

- Chcę, byście porzucili zaraz ten element wyposażenia. Potem możecie odlecieć.

- A ty po prostu pozwolisz nam się oddalić, nie niepokojąc nas?

- Mam opcję umożliwiającą sklasyfikowanie was jako dobrożycie, jeśli pójdziecie mi na rękę. Porzucicie jednostkę, a przysłużycie mi się. Sklasyfikuję was jako dobrożycie. Potem pozwolę wam lecieć i nie będę was nękać.

- Nie mamy sposobu, żeby się dowiedzieć, czy dotrzymasz obietnicy.

- To prawda. Jednak alternatywą jest pewna śmierć, a jeśli tylko rozważycie moje rozmiary i oczywistą naturę niej misji, zdacie sobie sprawę, że wasze kilka istnień nie ma w

porównaniu z tym żadnego znaczenia.

- Przedstawiłeś swoje stanowisko. Ale nie mogę dać ci natychmiast odpowiedzi. Musimy dokładnie rozpatrzeć twoją ofertę.

- To zrozumiałe. Porozmawiam znów z tobą za godzinę.

Transmisja dobiegła końca. Wadę zdał sobie sprawę, że drży. Poszukał krzesła i osunął się na nie. Juna wpatrywała się w niego.

- Znasz jakieś dobre zaklęcia voodoo?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się do niego przelotnie.

- Bardzo dobrze to przeprowadziłeś.

- Nie. To było tak, jakbym posługiwał się scenariuszem. Nic innego nie mogłem zrobić. I wciąż nie mogę.

- Przynajmniej zyskałeś dla nas trochę czasu. Ciekawe, dlaczego on tak bardzo tego chce? - Wtedy jej oczy się zwięziły. Zaciśnęła usta. - Możesz pokazać mi tego berserkera? - zapytała nagle.

- Jasne. - Wstał i przeszedł do pulpitu. - Skoczę tylko do drugiego komputera i wprowadzę to na ten ekran.

Po kilku chwilach zawisł przed nimi obraz śmiercionośnej maszyny. Przyciskając klawisze, wywołał legendę i wyświetliły się wszystkie szczegółowe dane techniczne, które zdołało ustalić wyposażenie jego statku.

Badała dane przez jakąś minutę, przesuając legendę.

- Kłamał.

- W jakich sprawach? - zapytał.

- Tutaj, tutaj i tutaj - stwierdziła, wskazując na elementy przedniej części berserkera. - I tutaj... - Pokazała część legendy zajmującą się oceną uzbrojenia.

Dorphy i MacFarland weszli do kabiny, gdy mówiła.

- Kłamał, kiedy powiedział, że dysponuje tylko skomplikowanym uzbrojeniem i jest zbyt silny, by sobie z nami poradzić. Te elementy wyglądają na stanowiska broni małokalibrowej.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

- Prawdopodobnie jest zdolny do bardzo wybiórczego strzelania: wysoka dokładność, minimalne zniszczenia. Powinien móc zniszczyć nas w taki sposób, że artefakt z dużym prawdopodobieństwem pozostałby nietknięty.

- Dlaczego miałby kłamać? - spytał Wadę.

- Zastanawiam się... - powiedziała. Znów gryzła kciuk. MacFarland odchrząknął.

- Słyszeliśmy całą wymianę zdań i rozmawialiśmy o tym - zaczął.

Wadę odwrócił głowę i spojrział na niego.

- Tak?

- Myślmy, że powinniśmy dać mu to, czego chce, i spadać stąd.

- Wierzycie temu pieprzeniu o dobroźniku? Sprzątnie nas, gdy będziemy odlatywać.

- Nie sądzę - powiedział. - Jest mnóstwo precedensów. Rzeczywiście mają opcję umożliwiającą sklasyfikowanie ciebie w ten sposób i zawierają taką umowę, jeśli naprawdę czegoś chcą.

- Dorphy, czy wysłałeś tę wiadomość na Corlano? - zapytał Wadę.

Niższy mężczyzna skinął głową.

- Dobrze. Jeśli nawet nie ma lepszego powodu, będziemy tu czekać dla dobra Corlano. Minie trochę czasu, zanim dotrą tutaj te mniejsze jednostki, o których mówił. Każda godzina, którą zyskamy, czekając, jest następną godziną pozwalającą im wzmocnić obronę.

- Widzę, że... - zaczął Dorphy.

- ...Jednak nasza śmierć jest pewna, gdy czekanie się skończy - ciągnął za niego MacFarland - a to, jak się wydaje, jest prawdziwe wyjście z tej sytuacji. Współczuję Corlano tak jak ty, lecz nasza śmierć tu nie pomoże. Wiesz, że nie ma tam silnej obrony. Czy kupimy im trochę dodatkowego czasu czy też nie, i tak marnie skończą.

- Nie wiesz tego tak naprawdę - powiedział Wadę. - Niektóre na pozór słabe światy odparły w przeszłości bardzo ciężkie ataki. Nawet berserker to powiedział: nasze kilka istnień nie ma znaczenia wobec całego zamieszkanego świata.

- Cóż, mówię o tym, co jest bardzo prawdopodobne, a nie przyłączyłem się do tego interesu, żeby zostać męczennikiem. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby spróbować szczęścia, narażając się wymiarowi sprawiedliwości, ale nie będę mierzył się ze śmiercią.

- Co o tym sądzisz, Dorphy? - spytał Wadę. Dorphy oblizął wargi i odwrócił wzrok.

- Jestem z MacFarlandem - powiedział cicho. Wadę odwrócił się w stronę Juny.

- Mówię, żebyśmy poczekali - oznajmiła.

- Cóż, zatem jest nas dwoje - zauważył Wadę.

- Ona nie ma prawa głosu. Jest tylko pasażerką - stwierdził MacFarland.

- To także jej życie - odparł Wadę. - Ma coś do powiedzenia.

- Nie chce dać mu tej cholernej maszyny! - rzucił MacFarland. - Chce tu siedzieć i bawić się tym, kiedy wszystko stanie w płomieniach! Co ona ma do stracenia? I tak umiera, więc...

Wadę warknął i wstał.

- Dyskusja skończona. Zostajemy.

- Głosów było po równo, co najwyżej.

- Obejmuję tu pełne dowództwo i mówię, że tak ma być. MacFarland zaśmiał się.

- Pełne dowództwo! To nędzna wyprawa przemytnicza, a nie służba, z której cię wywalono, Wade. Nie możesz dowodzić zad...

Wade uderzył go dwa razy w żołądek i lewym sierpowym w szczękę.

MacFarland upadł, zgiął się wpół i zaczął chwytać powietrze. Wade przypatrywał się mu, oceniając jego wzrost i wagę. Jeżeli wstanie w ciągu najbliższych dziesięciu sekund, będzie ciężko, stwierdził.

Ale MacFarland podniósł rękę tylko po to, by potrzeć swoją szczękę. Powiedział cicho:

- Cholera! - Potrząsnął głową, żeby się w niej przejaśniło. - Nie musiałeś tego robić, Wade.

- Myślałem, że muszę.

MacFarland wzruszył ramionami i przyklęknął na jedno kolano.

- Zgoda, masz swoje dowództwo. Ale wciąż myślę, że robisz duży błąd - stwierdził.

- Wezwę cię następnym razem, jak będzie coś do omówienia - oznajmił mu Wade.

Dorphy chciał pomóc wstać leżącemu, ale cięższy mężczyzna odtrącił jego rękę.

Wade spojrzał na Junę. Była bledsza niż zwykle, jej oczy bardziej błyszczały. Stała przed kłapą otwartego luku, jakby broniła przejścia.

- Zamierzam wziąć prysznic i położyć się - powiedział MacFarland.

- Dobra.

Juna podeszła do Wade'a, gdy dwaj mężczyźni opuszczali pomieszczenie. Złapała go za ramię.

- Kłamał - powiedziała znowu cicho. - Czy to rozumiesz? Mógłby nas zniszczyć i odzyskać maszynę, ale nie chce tego.

- Nie. Nie rozumiem - odparł Wade.

- To prawie tak, jakby bał się tego sprzętu.

- Berserkerzy nie znają strachu.

- W porządku. Antropomorfizowałam. To tak, jakby wszystko w tej sprawie robił pod jakimś przymusem. Myślę, że mamy tu coś bardzo szczególnego, coś, co stawia berserkera przed niezwykłym problemem.

- Co by to mogło być?

- Nie wiem. Ale może istnieje jakiś sposób, żeby się tego dowiedzieć, jeśli tylko dasz

mi dość czasu. Zbywaj go tak długo, jak będziesz mógł.

Wolno przytaknął i usiadł. Jego serce biło jak szalone.

- Powiedziałaś, że mniej więcej połowa jego pamięci uległa zniszczeniu.

- To przypuszczenia, ale tak jest. Zamierzam jednak odtworzyć ją, używając tego, co się tam zachowało.

- Jak?

Przeszła do komputera.

- Chcę zaprogramować zachowane części na szybkościową postać analizy wienerowskiej. Jest to potężna nieliniowa metoda radzenia sobie z bardzo wysokimi poziomami zakłóceń, z którymi mamy do czynienia. Ale dla tego rodzaju systemu będzie to wymagać wykonania pewnych obliczeń astronomicznych. Będziemy musieli podłączyć inne urządzenia, może nawet wykorzystać coś z ładunku. Nie wiem, jak długo to potrwa i czy naprawdę zadziała. - Zaczęła tracić oddech. - Ale może uda się nam zrekonstruować to, czego brakuje, i on znów zacznie działać. Dlatego potrzebuję tyle czasu, ile tylko możesz mi dać - skończyła.

- Spróbuję. Pracuj dalej. I...

- Wiem - powiedziała, kaszląc. - Dzięki.

- Przyniosę ci coś do jedzenia, kiedy będziesz pracować.

- W mojej kabinie w górnej szufladzie stolika przy łóżku są trzy małe buteleczki z tabletkami. Przynieś je i trochę wody zamiast jedzenia.

- Zgoda.

Odszedł. Po drodze zajrzał do swojej kabiny, by zabrać rewolwer, który trzymał w szafce z ubraniami - jedyną broń na pokładzie. Kilka razy przeszukał szuflady, ale nie mógł go znaleźć. Zaklął cicho i poszedł do kabiny Juny po jej lekarstwo.

Berserker utrzymywał dystans i czekając, snuł rozważania. Udzielił niechętnie pewnych informacji, by wyjaśnić proponowaną transakcję. Nadal jednak nie mógł wyrządzić szkód, które przypomniałyby kapitanowi Kelmanowi o powadze jego sytuacji. Mogłoby to nawet przyspieszyć jego decyzję. A zatem urządzenia hydrauliczne pomrukiwały, a osłony powierzchniowe były otwarte, żeby wystawić dodatkowe wieże. Działa zostały przesunięte tak, by je zajęły, i wycelowane w mały statek. Były w większości zbyt potężne, żeby zniszczyć statek, nie uszkadzając jego towarzysza. Samo ich ukazanie mogło jednak wystarczająco obniżyć morale.

Wadę obserwował Junę przy pracy. Klapę można było zabezpieczyć, ale w statku istniało kilka innych miejsc, z których dawało się ją zdalnie otworzyć. Wetknął więc za pas



pręt do wyważania i miał oko na otwartą klapę. Wyglądało na to, że nie może zrobić nic więcej, by uniknąć konfrontacji, która mogłaby się skończyć różnie.

Od czasu do czasu przestawiał przełącznik rodzaju głosu i słuchał, jak to coś gada bez ładu i składu, raz po solariańsku, innym razem w dziwnym obcym języku, który brzmiał nieco znajomo. Zastanawiał się nad tym. Coś próbowało wyłonić się z zakamarków mózgu. Ona miała rację w tej sprawie, ale...

Zabrzączał interkom. Dorphy.

- Nasza godzina upłynęła. Chce znowu z tobą mówić. Wadę, on kieruje na nas więcej broni - poinformował.

- Włącz go - odparł. Zrobił przerwę, a potem powiedział: - Halo?

- Kapitanie Kelman, godzina minęła. - Pojawił się już znajomy głos. - Przedstaw mi swoją decyzję.

- Jeszcze jej nie podjęliśmy - odpowiedział. - Nasze zdania w tej sprawie są podzielone. Potrzebujemy więcej czasu, żeby dokładniej to omówić.

- Ile?

- Nie wiem. Przynajmniej kilka godzin.

- Zgoda. Będę się z wami porozumiewał co godzinę przez następne trzy godziny. Jeśli w tym czasie nie podejmiecie decyzji, będę musiał ponownie rozważyć moją ofertę sklasyfikowania was jako dobrożycia.

- Spieszmy się - powiedział Wadę.

- Odezwę się do was za godzinę.

- Wadę - oznajmił Dorphy przy końcu transmisji - cała ta nowa broń jest skierowana prosto na nas. Myślę, że on przygotowuje się do wysadzenia nas w powietrze, jeżeli nie dasz mu tego, czego chce.

- Nie sądzę. Tak czy owak mamy teraz trochę czasu - powiedział Wadę.

- Na co? Kilka godzin niczego nie zmieni.

- Powiem ci za kilka godzin - stwierdził Wadę. - Jak tam MacFarland?

- W porządku.

- To dobrze. - Przerwał połączenie. - Do diabła! - rzucił wtedy. Pragnął się napić, ale nie chciał mącić swoich myśli. Był blisko czegoś. Wrócił do Juny i pulpitu. - Jak idzie? - spytał.

- Wszystko jest na swoim miejscu i teraz to uruchamiam - odrzekła.

- Kiedy będziesz wiedziała, czy to działa?

- Trudno powiedzieć.

Włączył znowu przełącznik rodzaju głosu.

- Kwibbian-kwibbian-kel - rozległo się w głośniku. - Kwibbian-kwibbian-kel, maks kwibbian. Kwibbian-kwibbian-kel.

- Ciekaw jestem, co to może znaczyć - powiedział.

- To powracająca fraza, słowo albo całe zdanie. Po przeprowadzeniu przed chwilą analizy wzorów wypowiedzi zaczęłam myśleć, że może to być jego imię, że tak siebie nazywa.

- Jest w tym pewien rytm. - Zaczął nucić, a potem gwizdać i stukać palcami w bok pulpitu dla akompaniamentu. - To jest to! - ogłosił nagle. - To było właściwe miejsce, ale i niewłaściwe miejsce.

- Co takiego? - zapytała.

- Muszę to sprawdzić, żeby się upewnić. Utrzymaj fort. Wróć - powiedział. Odszedł w pośpiechu.

- Właściwe miejsce, ale i niewłaściwe miejsce - słowa wydobywały się z głośnika. - Jak to możliwe? To sprzeczność.

- Znow zaczynasz się zlepiać w całość! - rzuciła.

- Ja... odzyskuję - przyszła po pewnym czasie odpowiedź.

- Rozmawiajmy, kiedy ten proces będzie trwał - podpowiedziała.

- Tak - odparł, a potem wrócił do gadania bez związku pośród szalejących zakłóceń.

Doktor Juna Bayel przykucnęła w kabinie toaletowej i zwymiotowała. Potem przycisnęła nadgarstki do oczu i próbowała głęboko oddychać, by przewyciężyć zawroty głowy i drzenie. Kiedy jej żołądek dostatecznie się uspokoił, wzięła podwójną dawkę lekarstwa. Było to ryzykowne, ale tak naprawdę nie miała wyboru. Nie mogła sobie teraz pozwolić na jeden z tych ataków. Duża dawka mogła temu zapobiec. Zaciśnęła zęby, zaciśnęła dłonie i czekała.

Wadę Kelman odebrał wezwanie berserkera pod koniec pierwszej godziny i namówił go na przedłużenie łaski o następną. Śmiercionośna maszyna była tym razem o wiele bardziej wojownicza.

Dorphy wysłał sygnał radiowy do berserkera po tym, jak usłyszał ostatnią transmisję, i zaproponował zawarcie umowy. Berserker przystał na to od razu.

Schował wszystkie wieże z działami wymierzonymi w statek oprócz czterech, które były tam od początku. Nie chciał ustąpić nawet w takim stopniu, ale transmisja Dorphy'ego dostarczyła powodu, który to usprawiedliwiał. Właściwie nie mógł odrzucić możliwości, że demonstracja dodatkowego uzbrojenia wywołała zwiększoną aktywność elektryczną, którą

teraz wykrywał. Zalecenia wciąż nakazywały mu ostrożność, a teraz dodatkowo także unikanie prowokacji.

Kto dla lwa nakreślił obwody?

- Kwibbian - powiedział twór.

Juna siedziała blada za pulpitem. Miniona godzina dodała jej twarzy całe lata. Na jej kombinezonie był świeży smar. Po wejściu Wadę zatrzymał się i wpatrywał się w nią.

- Co jest nie tak? - spytał. - Wyglądasz...

- Wszystko w porządku.

- Nie, nie jest w porządku. Wiem, że jesteś chora. Będziemy musieli...

- Naprawdę wszystko w porządku. To ustępuje. Nie ma się czym przejmować.

Wszystko będzie dobrze - powiedziała.

Przytaknął i znów podszedł, pokazując mały magnetofon tkwiący w lewej dłoni.

- Mam to - oznajmił. - Posłuchaj.

Włączył magnetofon. Wydobył się z niego ciąg mlaśnień i jęków. Nagranie trwało mniej więcej ćwierć minuty, a potem się urwało.

- Zagraj to jeszcze raz, Wadę - powiedziała i uśmiechnęła się do niego słabo, gdy przestawiała przełącznik rodzaju głosu.

Zrobił, o co prosiła.

- Przetłumacz - powiedziała, kiedy nagranie się skończyło.

- Weź - nieprzetłumaczalne - do - nieprzetłumaczalne - i przekształć je ku górze - dobiegł z głośnika głos artefaktu.

- Dzięki - rzuciła. - Miałaś rację.

- Wiesz, gdzie to znalazłem?

- Na taśmach z Carmpan.

- Tak, ale to nie mowa Budowniczych.

- Wiem to.

- I wiesz także, co to jest? Skinęła głową.

- To język wrogów Budowniczych, Czerwonej Rasy, przeciw którym spuszczone ze smyczy berserkerów. Jest taki mały fragment pokazujący okrągłych czerwonych ludzi wykrzykujących slogan czy modlitwę, czy coś innego. Może to nawet propagandowa taśma Budowniczych. Stamtąd to wzięłaś, prawda?

- Tak. Skąd wiedziałaś? Uderzyła lekko w pulpit.

- Ten tutaj Kwib-kwib zaczyna sobie radzić z myśleniem. Teraz nawet pomaga. Bardzo dobrze mu idzie naprawianie samego siebie, kiedy już ten proces został

zapoczątkowany. Rozmawialiśmy przez pewien czas i wreszcie zaczynam rozumieć. - Kaszlnęła gwałtownie i było to tak bolesne, że aż łzy naszły jej do oczu. - Przyniósłbyś mi szklankę wody?

- Jasne.

Przeszedł przez kabinę i wrócił ze szklanką.

- To niezwykle cenne znalezisko - powiedziała, pijąc wodę małymi łykami. - Dobrze się stało, że nie pozwolili ci tego odciąć.

MacFarland i Dorphy weszli do kabiny. MacFarland trzymał rewolwer Wade'a i mierzył w niego.

- Odetnij to - powiedział.

- Nie - odparł Kelman.

- A więc Dorphy to zrobi, podczas gdy ja będę cię pilnował. Włóż kombinezon, Dorphy, i weź palnik.

- Nie wiecie, co robicie - rzucił Wade. - Juna właśnie mi mówiła...

MacFarland wystrzelił. Pocisk rykoszetował po całej kabinie i w końcu spadł na podłogę w odległym kącie.

- Mac, jesteś szalony! - krzyknął Wade. - Równie dobrze możesz trafić siebie, jeśli zrobisz to jeszcze raz.

- Nie ruszaj się! Dobrze. To było głupie, ale teraz już wiem, jak to robić. Następny trafi w twój bark albo w nogę. Naprawdę. Rozumiesz?

- Tak, do cholery! Ale nie możemy po prostu go odciąć. Jest prawie naprawiony i wiemy, skąd pochodzi. Juna mówi...

- Wcale mnie to nie interesuje. Dwie trzecie należą do Dorphy'ego i do mnie i właśnie pozbywamy się naszej części. Jeśli przy okazji stracisz swoją jedną trzecią, trudno. Berserker zapewnia nas, że to wszystko, czego chce. Pozwoli nam odlecieć. Wierzę mu.

- Słuchaj, Mac. Jeśli berserker chce czegoś tak bardzo, nie powinniśmy mu tego dawać. Myślę, że zdołam go namówić, by dał nam jeszcze więcej czasu.

MacFarland pokręcił głową.

Dorphy skończył się ubierać i wziął palnik ze stojaka. Kiedy zmierzał do otwartego luku, Juna powiedziała:

- Czekaj. Jeśli obrócisz luk, przetniesz kabel. To zerwie połączenie z mózgiem Kwibkwiba.

- Przykro mi, pani doktor, ale spieszymy się - stwierdził MacFarland.

Z pulpitu dobiegły wtedy słowa:

- Nasz związek ma być zakończony?
- Obawiam się, że tak - odparła. - Przykro mi, że nie zdążyłam wszystkiego zrobić.
- Nie martw się. Proces trwa. Przyswoiłem sobie program i teraz sam go używam.

Niezwykle użyteczny proces.

Dorphy wszedł do luku.

- Mam jedno pytanie, Juna, przed pożegnaniem - powiedział twór.

- Tak? Co to takiego? - spytała.

Luk zaczął się obracać przed zamknięciem, a Dorphy już podnosił palnik, żeby przepalić spawy.

- Moje słownictwo jest wciąż niekompletne. Co znaczy w twoim języku „kwibbian”?

Obracający się luk zawadził o kabel i przerwał go, gdy mówiła, tak więc nie wiedziała, czy słyszał, jak wypowiedziała słowo „berserker”.

Wadę i MacFarland odwrócili się.

- Co powiedziałaś? - zapytał Wadę. Powtórzyła to.

- Mówisz bez sensu - stwierdził. - Najpierw powiedziałaś, że nie jest jednym z nich.

Teraz...

- Chcesz rozmawiać o słowach czy o maszynach? - spytała.

- Mów dalej. Ty mówisz. Ja będę słuchał. Westchnęła głęboko i wypła jeszcze trochę wody.

- Dostałam tę historię od Kwib-kwiba w kawałkach - zaczęła. - Musiałam wypełnić niektóre luki przypuszczeniami, ale wszystko zdawało się układać w całość.

Przed wiekami Budowniczy najwyraźniej toczyli wojnę z Czerwoną Rasą, która jednak okazała się twardsza, niż przypuszczali. Tak więc Budowniczy uderzyli na nich, używając swojej ostatecznej broni: samoreplikujących się zabójczych maszyn, które my nazywamy berserkerami.

- Wygląda to na standardową historię.

- Czerwona Rasa wyginęła - ciągnęła. - Zostali całkowicie zniszczeni, ale dopiero po straszliwej walce. Pod koniec wojny próbowali rozmaitych rzeczy, ale wtedy było to już zbyt mało i zbyt późno. Zostali zmiażdżeni. Spróbowali nawet naprawę czegoś, co zawsze mnie zdumiewało: czegoś, czego nie odważyłby się spróbować żaden solariański świat, przy wszystkich ograniczeniach badań w tym kierunku, przy całej tej paranoi. - Przerwała, by wypić jeszcze jeden łyk. - Zbudowali własnych berserkerów - kontynuowała - ale nie takich jak oryginalni. By bronić swojej rodzinnej planety, stworzyli śmiercionośne maszyny, które atakowały tylko berserkerów, berserkerów występujących przeciw berserkerom. Ale było ich

za mało. Wysłali je wszystkie na linię frontu otaczającą ich świat i najwidoczniej przykładowie wykonały swoje zadanie: pomagał im jakiś mechanizm pozwalający na krótkie skoki do innych przestrzeni i z powrotem. Ale podczas tego ostatniego masowego ataku było ich znacznie mniej niż przeciwników. Wreszcie wszystkie poległy.

Statek zadrżał. Odwrócili się w stronę luku.

- Odciał to, cokolwiek to było - stwierdził MacFarland.

- Cały statek nie powinien się z tego powodu tak zatrzęść - powiedział Wade.

- Zatrzęśliby się, gdyby on przyspieszył w momencie, w którym został uwolniony - rzekła Juna.

- Ale jak mógłby to zrobić z pozamykanymi wszystkimi obwodami kontrolnymi? - spytał Wade.

Spojrzała na tłuste plamy na swoim kombinezonie.

- Ponownie połączyłam obwody, kiedy dowiedziałam się prawdy - poinformowała go.

- Nie wiem, ile procent

dawnej sprawności odzyskał, ale jestem pewna, że zaraz zaatakuje berserkera.

Luk obrócił się tak, żeby się otworzyć, i pokazał się Dorphy. Zaczai rozpinąć kombinezon, podczas gdy luk zamykał się za nim.

- Musimy stąd spadać w cholerę! - krzyknął MacFarland. - Ten obszar zaraz stanie się strefą działań wojennych!

- Zechcesz popilotować? - spytał go Wade.

- Oczywiście, że nie.

- A więc daj mi mój rewolwer i zejź mi z drogi. Odebrał broń i poszedł na mostek.

Dopóki rozdzielczość ekranów na to pozwalała, przyglądali się ociężałym ruchom gigantycznego berserkera, błyskom miotanej przez niego energii, szybkim manewrom raz nagle znikającego, to znów pojawiającego się drobnego napastnika.

Później, w jakiś czas po tym, jak przestało być cokolwiek widać, ognista kula pojawiła się znikąd na tle rozgwieżdżonego mroku.

- Dostał go! Dostał go! Kwib-kwib go dostał! - krzyczał Dorphy.

- I on prawdopodobnie dostał też jego - zauważył MacFarland. - Jak sądzisz, Wade?

- Sądzę, że nigdy już nie będę miał do czynienia z żadnym z was - odpowiedział Wade.

Wstał i odszedł, żeby posiedzieć z Juną. Wziął ze sobą magnetofon i trochę nagrań. Odwróciła wzrok od widoku na swoim ekranie i uśmiechnęła się słabo, gdy siadał obok jej łóżka.

- Będę się tobą opiekował aż do czasu, gdy przestaniesz mnie potrzebować - powiedział.

- To byłoby miłe - stwierdziła.

Śledzenie. Śledzenie. Zbliżali się. Pięciu. Ten duży musiał po nich posłać. Skocz za nich i załatw tych dwóch z tyłu, zanim inni pojną, co się dzieje. Następny skok, uderz w tego na lewym skrzydle i znów skocz. Nigdy nie widzieli takiej taktyki. Unik. Ognia. Skok. Znowu skok. Ognia. Ostatni wiruje jak bąk, próbując przewidzieć skąd. Uderz na niego. Ruszaj prosto na niego. Tam.

Ostatni kwibbian-kwibbian-kel we wszechświecie opuścił miejsce bitwy, szukając surowców potrzebnych do nowych napraw. Później oczywiście będzie potrzebował ich jeszcze więcej, do replikacji. Kto dla lwa nakreślił obwody?

## DZIENNA KREW

*Historie o wampirach zawsze mnie niepokoiły, gdyż te stworzenia chodzą wszędzie i gryzą ludzi, którzy wtedy zmieniają się w wampiry, które chodzą wszędzie i gryzą ludzi, którzy... Mamy tu do czynienia z postępem geometrycznym i jeśli się pomyśli o tym przez chwilę, wychodzi na to, że bardzo szybko wszyscy byłibyśmy wampirami i nie zostaliby żadni cywile, których można by kąsać. Wydawało mi się też zawsze, że ta sytuacja jest niezdrowa z punktu widzenia ekologii. Naturalni wrogowie i inne ograniczające czynniki kontrolują nadmierny wzrost liczebności innych gatunków. Gdyby wszystko było tak, jak podaje tradycja, musiałoby też istnieć coś innego. Stąd mój mały wkład do kanonu nie w pełni umarłych...*

Przykucnąłem w rogu zawalonej szopy stojącej za zrujnowanym kościołem. Wilgoć przesiąkała mi przez dzinsy na kolanach, wiedziałem jednak, że moje oczekiwanie zaraz dobiegnie końca. Kilka malowniczych nitek mgły uniosło się z przemoczonej ziemi, a wietrzyki przedświtów lekko je poruszały. Jak to po hollywoodzku ze strony pogody.

Obrzuciłem wzrokiem rozjaśniające się niebo, odgadując prawidłowo kierunek, z którego nadejdą. Nie minęła minuta, a zobaczyłem, jak wracają zniecierpliwione: jeden duży i ogorzały, drugi mniejszy i blady. Jak można było przewidzieć, weszły do kościoła przez otwór w miejscu, w którym przed laty zapadła się część dachu. Stłumiłem ziewnięcie i spojrzałem na zegarek. Za piętnaście minut, gdy słońce roztoczy poranek na całym wschodzie, powinny leżeć wygodnie i drzemać. Być może trochę wcześniej, ale daj im trochę czasu. Na razie nie ma pośpiechu.

Przeciągnąłem się i wyłamałem palce. Wolałbym być w domu i leżeć w łóżku. Noce są po to, żeby spać, a nie po to, żeby bawić się w niańkę pary głupich wampirów.

Tak, Virginio, to są naprawdę wampiry. Nie ma się jednak czym podniecać. Wszystko wskazuje na to, że nigdy nie spotkasz żadnego z nich. Po prostu nie ma ich zbyt wiele. Tak naprawdę są cholernie bliskie zostania zagrożonym gatunkiem - co jest całkowicie zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę ogólny poziom inteligencji, z jakim się u nich zetknąłem.

Weźmy dla przykładu tego gościa, Brodsky'ego. Mieszka on - przepraszam, rezyduje - niedaleko kilkutyśięcznego miasta. Mógłby każdej nocy odwiedzać inną osobę, przez całe lata nigdy się nie powtarzając i powodując u swych żywicieli (rozumiem, że takiego terminu używają obecnie, rozmawiając między sobą) niewiele więcej niż tylko lekkie podrażnienie



gardła, krótkotrwały atak anemii oraz parę zadrapań na szyi, które szybko zostaną zapomniane.

Ale nie. Spodobała mu się miejscowa piękność: niejaka Elaine Wilson, była doboszka. Wciąż wracał po więcej. Bardzo szybko popadła więc ona w zwyczajową śpiączkę i przeszła transformację w wampira. W porządku, wiem, że powiedziałem, iż nie krąży ich zbyt wiele - i naprawdę uważam, że na świecie znalazłoby się miejsce jeszcze dla kilku wampirów. Ale w przypadku Brodsky'ego nie mamy do czynienia z przeludnieniem, tylko po prostu z głupotą i chciwością. Żadnej prawdziwej finezji, żadnego planowania. Chociaż przyklaskuję stworzeniu następnego członka rodziny nie w pełni umarłych, jestem wystarczająco przerażony beztrąską jego metod, by rozważyć poczynienie poważnych kroków. Zostawił ślady, po których prawie każdy mógłby tu trafić; udało mu się też ujawnić tyle tradycyjnych znaków i zostawić taką mnogość wskazówek, że nawet w tych nowoczesnych czasach rozsądna osoba mogłaby bez trudu stwierdzić, co się dzieje.

Biedny stary Brodsky - wciąż żyje w średniowieczu i zachowuje się dokładnie tak, jak to robił w czasach ich największej liczebności. Najwyraźniej nigdy nie przyszło mu do głowy, że warto by rozpatrzyć takie postępowanie matematycznie. Wysysa kilku ludzi, którzy szczególnie go pociągają, i stają się oni wampirami. Jeżeli mają takie same odczucia i zachowują się w ten sam sposób, wychodzą i rekrutują jeszcze kilku swoich żywicieli. I tak dalej. To jak list z łańcuszkiem szczęścia. Po jakimś czasie wszyscy byliby wampirami i nie zostaliby żadni żywiele. A wtedy co? Na szczęście natura ma sposoby, by poradzić sobie z nagłym wzrostem liczebności populacji, nawet na tym poziomie. A jednak nagły natłok rekrutów w tej epoce mass mediów mógłby wprowadzić poważny zamęt w podziemnym ekosystemie.

Tyle filozofowania. Czas wejść do środka i zmierzyć się z tą grupką.

Podniosłem moją plastikową torbę i wyszedłem z trudem z szopy, klnąc cicho po tym, jak uderzyłem o podporę i sprowadziłem sobie na głowę grad kropli. Później przeszedłem przez pole i dotarłem do bocznych drzwi starego budynku. Zabezpieczała je zardzewiała kłódka, którą wyłamałem i odrzuciłem na odległy cmentarz.

W środku usadowiłem się na przekrzywionej balustradzie chóru i otworzyłem torbę. Wyjąłem mój notes i ołówek, które ze sobą przyniosłem. Światło przenikało do wnętrza przez wybite okno z tyłu. Padało głównie na śmieci. Nie był to szczególnie inspirujący widok. Obojętnie co... Zacząłem to szkicować. Zawsze dobrze jest mieć hobby, które może służyć jako wymówka dla dziwacznych działań, przełamywać lody...

Dziesięć minut, próbowałem zgadnąć. Najwyżej. Po sześciu minutach usłyszałem ich

głosy. Nie byli szczególnie hałaśliwi, ale mam wyjątkowo wyostrzony słuch. Było ich trzech, tak jak przewidywałem.

Weszli także przez boczne drzwi, skradając się, rozglądając nerwowo na wszystkie strony i niczego nie widząc. Z początku nie zauważyli nawet, że tworzę dzieło sztuki tam, gdzie w dawnych latach fałszujące dziecięce głosiki wypełniały niedzielne poranki pieśniami sławiącymi Boga.

Był tam stary doktor Morgan, któremu z czarnej torby wystawało kilka drewnianych kołków (założę się, że tkwił w niej również młotek - przypuszczam, że przysięga Hipokratesa nie rozciąga się na umarłych - primum, non nocere i tak dalej); był też ojciec O'Brien, trzymający kurczowo Biblię niczym tarczę, z krucyfiksem w drugiej ręce; oraz młody Ben Kelman (narzeczony Elaine) z łopata na ramieniu i z torbą, z której przypuszczalnie wydobywał się nagle odczuwalny zapach czosnku.

Odchrząknąłem, a wtedy wszyscy trzej zatrzymali się, odwrócili i wpadli na siebie.

- Cześć, doktoru - powiedziałem. - Witaj, ojcze.

- Ben...

- Wayne! - krzyknął doktorek. - Co tutaj robisz?

- Szkicuję - odparłem. - Zajmuję się teraz starymi budynkami.

- Akurat, do diabła! - rzucił Ben. - Wybacz, ojcze... Po prostu szukasz tematu dla swojej cholernej gazety.

Potrząsnąłem głową.

- Naprawdę tak nie jest.

- Cóż, GUS i tak nigdy by ci niczego o tym nie wydrukował, i ty to wiesz.

- Mówię prawdę - oznajmiłem. - Nie szukam tutaj tematu. Ale wiem, dlaczego tu jesteście, i macie rację: nawet gdybym to opisał, nigdy by się to nie ukazało. Naprawdę wierzycie w wampiry?

Doktorek utkwiał we mnie przeszywające spojrzenie.

- Do niedawna tak nie było. Ale gdybyś widział, synu, to, co ja widziałem, uwierzyłybyś - powiedział.

Skinąłem głową i zamknąłem notes.

- W porządku - odparłem. - Powiem wam. Jestem tutaj, bo jestem ciekawy. Chciałem to zobaczyć na własne oczy, ale nie chcę tam schodzić sam. Weźcie mnie ze sobą.

Spojrzeli po sobie.

- Nie wiem... - powiedział Ben.

- Nie będzie to coś dla wrażliwych - oznajmił mi doktorek.

Ojciec O'Brien po prostu skinął głową.

- Nie wiem, co myśleć o tym, żeby jeszcze ktoś brał w tym udział - dodał Ben.

- Ilu ludzi jeszcze o tym wie? - spytałem.

- Tak naprawdę tylko my. Jesteśmy jedynymi, którzy naprawdę widzieli go w akcji - wyjaśnił Ben.

- Dobry dziennikarz wie, kiedy trzymać język za zębami, ale jest też bardzo ciekawskim stworzeniem - stwierdziłem. - Pozwólcie mi iść ze sobą.

Ben wzruszył ramionami, a doktor kiwnął głową. Po chwili skinął również ojciec O'Brien.

Schowałem notes i ołówek do torby i zszedłem z barierki.

Ruszyłem za nimi przez kościół, potem krótkim korytarzem i dalej ku otwartym, przekrzywionym drzwiom. Doktor włączył latarkę i oświetlił nią ciąg koślawych stopni prowadzących w mrok. Potem zaczął wolno schodzić. Ojciec O'Brien podążył za nim. Schody pojękiwały i zdawały się przesuwac. Ben i ja czekaliśmy, dopóki tamci nie dotarli do twardego gruntu. Wtedy Ben włożył swoją torbę z ostro pachnącymi produktami spożywczymi do kurtki i wyjął latarkę z kieszeni. Włączył ją i zaczął schodzić. Szedłem zaraz za nim.

Zatrzymałem się, gdy dotarliśmy do podstawy schodów. W świetle promieni ich latarek ujrzałem dwie trumny ustawione na kozłach do rżnięcia drewna, a także coś na ścianie nad większą z nich.

- Ojczy, co to jest? - Wskazałem palcem.

Ktoś, chcąc pomóc, skierował tam promień światła.

- Wygląda to jak gałązka jemioli przyczepiona do figurki małego kamiennego jelenia - powiedział.

- Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z czarną magią - podsunąłem.

Przeżegnał się, podszedł tam i zdjął to.

- Prawdopodobnie tak - powiedział, miażdżąc jemiolę i rzucając ją na drugi koniec pomieszczenia. Potem rozbił figurkę o podłogę i kopał jej kawałki.

Uśmiechnąłem się, po czym podszedłem.

- Otwórzmy je i przyjrzyjmy się - zaproponował doktor.

Pomogłem im.

Kiedy trumny zostały otwarte, nie zważałem na komentarze o bladeści, stanie zachowania i zakrwawionych ustach. Brodsky wyglądał tak samo jak zawsze: ciemne włosy, gęste, czarne brwi, obwisłe policzki, lekki brzusek. Ale dziewczyna była cudowna. Była

jednak wyższa, niż myślałem, pulsowanie w jej gardle było bardzo słabe, a odcień skóry prawie błękitnawy.

Ojciec O'Brien otworzył Biblię i zaczął czytać, trzymając nad nią drżącą ręką latarkę. Doktor pokładowy położył swoją torbę na podłodze i szukał czegoś w środku.

Ben odwrócił się ze łzami w oczach. Wtedy wyciągnąłem rękę i po cichu złamałem mu kark, kiedy pozostali byli zajęci. Ułożyłem go na podłodze, zrobiłem parę kroków i stanąłem koło doktora.

- Co...? - zaczął i było to ostatnie jego słowo. Ojciec O'Brien przestał czytać. Wpatrywał się we mnie zza swojej Biblii.

- Pracujesz dla nich? - spytał chrapliwie, rzucając spojrzenie na trumny.

- Tak naprawdę to nie, ale potrzebuję ich. Są krwią mojego życia - odrzekłem.

- Nie rozumiem...

- Wszystko jest łupem dla czegoś innego, a my robimy to, co musimy. To ekologia. Przykro mi, ojciec.

Użyłem łopaty Bena, żeby pochować ich trzech pod glinianym fragmentem podłogi z tyłu - także czosnek, kolki i resztę. Potem zamknąłem trumny i wniosłem je na górę po schodach.

Rozglądałem się dokoła, wędrując z powrotem przez pole i dalej drogą w stronę półciężarówki. Było wciąż dosyć wcześnie i nikt nie przebywał w pobliżu.

Załadowałem ich z tyłu i przykryłem brezentem. Przejechałem trzydzieści mil do następnego znanego mi zrujnowanego kościoła.

Później, po zainstalowaniu ich bezpiecznie w nowej kwaterze, napisałem piórem krótki list i wetknąłem go Brodsky'emu w rękę.

*Drogi B*

*Niech to będzie dla ciebie lekcja. Musisz przestać zachowywać się jak Bela Lugosi. Brakuje ci jego klasy. Masz szczęście, że w ogóle budzisz się tej nocy. W przyszłości postępuj przezorniej, bo inaczej sam mogę wycofać cię z obiegu. Wszak nie jestem tutaj po to, by ci służyć.*

*Twój oddany*

*W*

*PS Jemiola i posąg Cernunnosa już nie działają. Dlaczego nagle stałeś się przesądny?*

Gdy opuszczałem to miejsce, rzuciłem okiem na zegarek. Była jedenasta piętnaście. Trochę później zatrzymałem się przy sklepie, w którym obok jedzenia w puszkach sprzedawano mrożonki, i użyłem ich telefonu znajdującego się na zewnątrz.

- Cześć, Kiela - rzuciłem, kiedy usłyszałem jej głos. - To ja.
- Werdeth - powiedziała. - Minęło sporo czasu.
- Wiem. Byłem zajęty.
- Czym?
- Wiesz, gdzie jest stary kościół Apostołów, daleko w bok od trasy numer sześć?
- Oczywiście. Jest także na mojej liście zapasowej.
- Spotkajmy się tam o dwunastej trzydzieści, a opowiem ci o tym przy lunchu.

## KONSTRUOWANIE POWIEŚCI SCIENCE FICTION

*Sylvia Burack poprosiła mnie o esej do „The Writer” i napisałem ten kawałek. W dużej części opowiada on o moich przemyśleniach przy tworzeniu powieści „Oko kota”. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wcześniej albo później tak szczegółowo opowiedział o rzeczach, które robię i o których myślę podczas pisania książki. Jest to jednak krótki kawałek i dla tych z was, których takie sprawy interesują, zamieszczam go tutaj.*

Świętej pamięci Jamesa Blisha spytano kiedyś, skąd bierze pomysły na opowiadania science fiction. Dał jedną z tych typowych, ogólnikowych odpowiedzi, jakich wszyscy udzielamy: że źródłem są obserwacje, lektury, suma wszystkich jego doświadczeń i tak dalej. Potem ktoś go zapytał, co robi, kiedy nie nadchodzą z tych źródeł żadne pomysły. Natychmiast odpowiedział: „Plagiatuję siebie”.

Chodziło mu oczywiście o to, że przegląda swoje wcześniejsze prace, szukając dróg, którymi nie podążył, i ufając w trwałość zainteresowań oraz odnowienie starych fascynacji, które stałyby się bodźcem dla jakichś nowych pomysłów. I to działa. Próbuję tego czasami i zwykle pomysły napływają masowo do mojego mózgu.

Ale piszę już od ponad dwudziestu lat, wiem zatem co nieco o tym, w jaki sposób mój mózg pracuje, kiedy szukam historii albo ją opowiadam. Nie zawsze wiedziałem to, co wiem teraz, więc wiele z moich wcześniejszych utworów wymagało krążenia po omacku: określania tematów, rozstrzygania, co naprawdę sądzę o ludziach i ideach. Co za tym idzie, teraz, gdy już uporałem się ze znaczną częścią tych zasadniczych przemyśleń, łatwiej jest mi poczuć się dobrze na miejscu kierowcy świeżego, nowego opowiadania, niż to było kiedyś. Może to być najnowszy model, lecz kierownicą kręci się podobnie, więc kiedy już znajdę dźwignię zmiany biegów, wiem, co z nim zrobić.

Na przykład miejsca, w których rozgrywa się akcja. Dla mnie science fiction zawsze przedstawiała to, co racjonalne - rozszerzała na przyszłość albo na obce środowisko to, co jest wiadome teraz - podczas gdy fantasy opisywała to, co metafizyczne: wprowadzała nieznanne, zwykle w dodatku w obce środowisko. Te rozróżnienia są czasami nieostre i czasami zabawnie jest je zamazywać. Ale na praktycznym, roboczym poziomie w ten właśnie sposób rozróżniam zazwyczaj te dwa gatunki. Opowieść jednego czy drugiego rodzaju (powtarzam to niestrudzenie) stawia takie same wymagania jak typowy utwór beletrystyczny, trzeba jeszcze

tylko wprowadzić do nich to egzotyczne środowisko. Spośród trzech podstawowych elementów każdego utworu literackiego - fabuły, postaci i miejsca akcji - właśnie miejsce akcji wymaga szczególnej uwagi w science fiction i fantasy. Tutaj, jak nigdzie indziej, kroczy się po linii między nadmiarem objaśnień a nadmiarem tego, co przyjmowane jest za oczywistość, między zanudzeniem czytelnika zbyt dużą liczbą szczegółów a zmyleniem czytelnika tym, że nie dostarczyło się ich dość.

Na początku wydawało mi się to trudne. Nauczyłem się tego, dążąc do oszczędności środków wyrazu, szybko nadając opowieściom tempo, a następnie wstawiając po kawałku tło. Gdzieś po drodze uświadomiłem sobie, że robiąc to w odpowiedni sposób, zdołałbym rozwiązać dwa problemy: proste przedstawienie materiału mogłoby, gdyby tylko odmierzać je dokładnie we właściwych dawkach, stać się dodatkowym sposobem zwiększenia zainteresowania czytelnika. W skrajnej postaci zastosowałem tę technikę na początku mojego opowiadania Wariant jednorożca, gdzie zwlekałem przez kilka stron, opisując niezwykle stworzenie przechodzące przez dziwne miejsce.

*Ten osobliwy kłęb ogni, zaczątek światła poruszał się ze zgrabną, prawie delikatną powściągliwością, stopniowo pojawiając się i znikając jak miotany przez burzę ułamek wieczoru; lecz być może to ciemność między rozbłyskami większe łączyło pokrewieństwo z jego najprawdziwszą naturą - wirowanie nagromadzonych czarnych popiołów podskakujących miarowo do rytmu szepczących nut pustynnego wiatru w głębi arroyo za budynkami, tak pustego, a jednak wypełnionego jak strony nie czytanych książek albo chwile ciszy między nutami piosenki.*

Jak widzicie, zadbałem o to, żeby opowiedzieć akurat tyle, by podtrzymać ciekawość czytelnika. Zanim stało się jasne, że jest to jednorożec w opuszczonym mieście w Nowym Meksyku, wprowadziłem już innego bohatera i konflikt.

Postacie stanowią dla mnie mniejszy problem niż miejsca, w których toczy się akcja. W środowiskach przedstawianych w science fiction ludzie są zwykle wciąż ludźmi. Główne postacie zazwyczaj widzę już niemal w pełni rozwinięte, a te pomniejsze nie wymagają wiele pracy. Jeśli chodzi o opis ich wyglądu, na początku łatwo można dostarczyć zbyt wielu szczegółów. Ale ile naprawdę potrzebuje go czytelnik? Ile mózg może jednorazowo przyjąć? Ujrzyj postać całościowo, lecz wspomnij tylko o trzech rzeczach, postanowiłem. Potem zostaw to i ciągnij dalej opowieść. Jeżeli czwarty element charakterystyki wśliznie się z łatwością, nie ma sprawy. Ale na początek poprzestań na tym. Nic więcej. Ufaj, że inne cechy

pojawia się, gdy będą potrzebne, o ile ty będziesz je znał. „Był wysokim dzieciakiem o czerwonej twarzy, jedno jego ramię było niżej niż drugie”. Gdyby był wysokim dzieciakiem o czerwonej twarzy, z jasnymi, błękitnymi oczyma (albo z rękami o wielkich kłykciach czy też z policzkami usianymi piegami), mającym jeden bark niżej niż drugi, właściwie straciłby trochę na ostrości, zamiast ukazać się jaśniej w wyobraźni. Nadmiar szczegółów przytłumia zmysły, osłabiając zdolność czytelnika do tworzenia obrazów w umyśle. Jeżeli takie dodatkowe szczegóły są naprawdę niezbędne z punktu widzenia akcji opowieści, lepiej byłoby dostarczyć następną ich porcję później, pozwoliwszy uprzednio czytelnikowi przyswoić sobie pierwszą.

„Taak” - odpowiedział z błyskiem błękitnych oczu.

Wspomniałem o miejscach, w których toczy się akcja, i o postaciach jako typowych przykładach rozwoju pisarskich odruchów, ponieważ praca tego rodzaju zaczyna wraz z praktyką opierać się na odruchach - wtedy, po jakimś czasie, powinno się to stać drugą naturą i przestać zaprzętać myśli. Bo jest to tylko nauka rzemiosła, są to sztuczki, rzeczy, których każdy w tym zawodzie musi się nauczyć. Wydaje mi się, że nie to jest najważniejsze w pisarstwie.

Naprawdę ważną rzeczą jest dla mnie rozwój i doskonalenie postrzegania świata, eksperymentowanie z punktami widzenia. W tym tkwi sedno opowiadania historii, a wszystkie te mechaniczne techniki, których się uczysz, są wyłącznie narzędziami. To sposób, w jaki pisarz traktuje materiał, nadaje opowieści niepowtarzalny charakter. Ja na przykład mieszkam od niemal dziesięciu lat na Południowym Zachodzie. W pewnym momencie zacząłem się interesować Indianami. Zacząłem się pojawiać na festiwalach i na tańcach, czytać dzieła antropologiczne, chodzić na wykłady, odwiedzać muzea. Poznałem Indian. Początkowo chciałem jedynie wiedzieć więcej, niż wiedziałem. Później wszakże poczułem, że na jakimś niższym poziomie mojej świadomości przybiera kształty opowieść. Czekałem. Wciąż zdobywałem informacje i doświadczenie w tej dziedzinie.

Pewnego dnia skupiłem uwagę na Indianach Nawaho. Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że gdyby udało mi się określić, dlaczego moje zainteresowania nagle poszły w tym kierunku, miałbym coś do opowiedzenia. Nastąpiło to, kiedy odkryłem, że Nawahowie stworzyli własne słowa - kilkaset słów - by nazwać różne elementy silnika spalinowego. Nic takiego nie stało się w innych plemionach indiańskich, o których coś wiedziałem. Po zaznajomieniu się z samochodami zaczęły one po prostu używać angielskich słów na oznaczenie gaźników, tłoków, świec itd. Ale Nawahowie naprawdę wymyślili w swoim języku słowa określające te części - co według mnie było oznaką ich niezależności i zdolności



adaptacyjnych.

Szukałem dalej. Indianie Hopi i Pueblo, sąsiedzi Nawahów, mieli w swoich obrządkach tańce przywołujące deszcz. Nawahowie nie wysilali się zbytnio, żeby kontrolować pogodę w ten sposób. Zamiast tego przystosowywali się do deszczu czy suszy.

Umiejętność adaptacji. To było to. Stała się ona tematem mojej powieści. Przypuśćmy, powiedziałem sobie, że wziąłbym współczesnego Nawaha i wykorzystawszy rozciągnięcie czasu w wyniku podróży kosmicznych połączone z kuracjami przedłużającymi życie, dopilnowałbym, żeby wciąż żył i był w niezłej formie za, powiedzmy, sto siedemdziesiąt lat. Z konieczności istniałyby luki w jego znajomości historii w okresach, gdy był nieobecny, w tym czasie zaś na Ziemi z pewnością nastąpiłoby wiele zmian. W taki oto sposób przyszedł mi do głowy pomysł na Oko kota.

Ale pomysł nie jest powieścią science fiction. Jak jedno zmienia się w drugie?

Spytałem sam siebie, dlaczego go tak często nie było. Powiedzmy, że był naprawdę świetnym tropicielem i myśliwym. Zastanawiałem się. Logika podpowiadała, że mógłby się wtedy nadawać na zbieracza okazów obcych form życia. Zabrzmiało to prawdopodobnie, więc od tego zacząłem. Problem ze złośliwą obcą istotą mógłby posłużyć jako powód, żeby przerwać mojemu Nawahowi emeryturę i dostarczyć podstawy dla konfliktu.

Potrzebowałem także czegoś, co symbolizowałoby jego przeszłość i tradycje Nawahów, czegoś więcej niż tylko jego umiejętności poruszania się po odludziu - jakichś spraw, które odrzucił. Z legend Nawahów zaczerpnąłem chindi, złego ducha, którego mogłem posłać, by go opętał. Wtedy przyszło mi na myśl, że tego złego ducha można by przedstawić tak, by istniało podobieństwo między nim a jakimś niezwykłym stworzeniem, które mój bohater przywiózł na Ziemię wiele lat wcześniej.

Tak z grubsza wyglądał pomysł. Nie jest to pełne streszczenie fabuły, jednak pokazuje, w jaki sposób historia przybierała kształty, jak proste spostrzeżenie doprowadziło do stworzenia postaci i sytuacji. Ten mały fragment opowieści miałby tytuł „natchnienie”; reszta w większości była wynikiem przemyślenia tego, czego do tej pory dostarczyła wyobraźnia.

Wymagało to pewnych zawiłych rozważań. Wierzę mocno, że mógłbym z dobrym skutkiem napisać tę samą historię na dziesiątki sposobów: jako komedię, tragedię, coś pośredniego; z punktu widzenia postaci drugoplanowej, w pierwszej osobie, w trzeciej, w innym czasie i tak dalej. Ale wierzę też, że dla określonego utworu literackiego istnieje sposób postępowania, który jest lepszy od wszystkich innych. Wydaje mi się, że materiał powinien dyktować formę. Poprowadzenie wszystkiego tak, by robił to jak należy, to dla

mnie najtrudniejsza, ale i najbardziej satysfakcjonująca część aktu opowiadania. Sięga to poza wszystkie te sztuczki z odruchami, w sferę estetyki.

Tak więc musiałem określić, jakie podejście do tematu najlepiej zbuduje nastrój, który pragnąłem osiągnąć. Oczywiście wymagało to wyraźnego określenia moich odczuć.

Mój główny bohater, Billy Czarny Koń Pieśniarz, chociaż urodzony w niemal neolitycznym środowisku, otrzymał później doskonale, oficjalne wykształcenie. Już samo to wystarczało, aby stworzyć u niego pewne konflikty. Można odrzucać swoją przeszłość albo próbować się do niej dostosować. Billy odrzucił dosyć dużo. Był bardzo uzdolniony, lecz ugiął się w obliczu przeważającej siły. Postanowiłem umożliwić mu dojście do porozumienia ze wszystkim, co składało się na jego życie.

Widziałem, że będzie to powieść opierająca się na osobie bohatera. Ukazanie charakteru postaci tak złożonej jak Billy musiało wymagać trochę ciężkiej pracy. Na początku jego życie związane było z mitami, legendami i szamanizmem jego ludu, a ponieważ przeszłość ciągle stanowiła silny element jego charakteru, próbowałem to pokazać, przeplatając opowieść moimi parafrazami różnych części mitu Nawahów o stworzeniu i innym odpowiednim tworzywem zaczerpniętym z legend. Postanowiłem, że umieszczę tam trochę poezji, częściowo oryginalnej, częściowo tylko luźno opartej na tradycji. Miałem nadzieję, że doda to książce trochę smaku, a także pomoże ukształtować mojego bohatera.

Wtrącanie futurystycznego tła wydarzeń stało się trudniejsze, skoro od czasu do czasu obciążałem już opowieść dawkami indiańskiego materiału. Musiałem znaleźć sposób na streszczenia i skróty, a więc ukradłem pewną sztuczkę z trylogii Dos Passosa USA. Wprowadziłem części zwane „Dyskiem”, analogiczne do jego sekwencji „Kroniki” i „W oku kamery”: kilka stron tu i tam, składających się z nagłówków, wiadomości, fragmentów popularnych piosenek, aby oddać smak tych czasów. Urządzenie to miało umieścić tam dużo tła bez zwalniania tempa i można było być prawie pewnym, że jego dziwaczny format będzie dostatecznie interesujący wizualnie, aby zaciekać czytelnika.

Rozwijająca się fabuła wymagała wprowadzenia pół tuzina bohaterów drugoplanowych, a nie tylko pomniejszych, których mógłbym przedstawić jako postaci całkowicie szablonowe. Jednakże pauzy na przedstawienie pełnego portretu każdego z nich - powiedzmy za pomocą długich scen z przeszłości - mogły być zabójcze dla narracji, gdyż według planu mieli się pojawiać właśnie wtedy, kiedy opowieść nabierała tempa. Zaryzykowałem więc i złamałem jedną z ważnych zasad pisarskich.

W prawie każdej książce o pisaniu, jaką czytasz, znajdujesz zalecenie „Pokazuj. Nie opowiadaj”. Znaczy to, że nie mówisz po prostu czytelnikowi, jaka jest określona postać;

ukazujesz to, ponieważ opowiadanie tworzy dystans i powoduje zniecierpliwienie czytelnika. Gdy o ludziach po prostu się opowiada, odbiorca słabo identyfikuje się z postaciami, w małym stopniu wczuwa się w ich położenie.

Stwierdziłem, że zamierzam nie tylko powiedzieć czytelnikowi, jaka jest każda postać, ale także uczynić z tego ciekawe doświadczenie czytelnicze. Tak naprawdę musiałem to zrobić.

Jeśli zamierzasz złamać regułę, skorzystaj na tym. Zrób to na dużą skalę. Wyzyskaj to. Zmień to w zaletę.

Każdej części nadałem tytuł od imienia jednego z bohaterów, po imieniu postawiłem przecinek i napisałem jedno długie, złożone zdanie charakteryzujące postać, rozbijając je tak, że jego różnorodne części oraz frazy stanowiły osobne wiersze. Takie rozciągnięcie nadawało zdaniu wygląd poetyckiego utworu w tradycji Whitmana. Podobnie jak w przypadku fragmentów zatytułowanych „Dysk”, chciałem stworzyć tu coś dostatecznie interesującego wizualnie, aby pozwoliło czytelnikowi przebrnąć przez to, co tak naprawdę było prostym opisem.

Inny problem powstał, gdy pewna liczba telepatów użyła swoich niezwykłych zdolności, by ukształtować istniejący przez jakiś czas kompozyt, czyli zbiorowy umysł. W niektórych miejscach musiałem pokazać, jak ten mózg działa. Przyszło mi do głowy, że Finnegans Wake będzie dobrym modelem dla strumienia świadomości, który chciałem do tego wykorzystać. Także w czytanych przeze mnie na krótko przedtem Joyspricku Anthonj<sup>ego</sup> Burgessa, znajdował się fragment, który mógłby służyć jako elementarz uczący pisania w ten sposób. Zrobiłem to podobnie.

Potem, by osiągnąć wiarygodność, podróżowałem przez kanion de Chelly z przewodnikiem Nawaho. Gdy pisałem części powieści osadzone w kanionie, oprócz wspomnień miałem przed sobą mapę, zdjęcia i archeologiczne opisy szlaku, którym podążał Billy. Miałem nadzieję, że takie użycie realizmu pomoże zrównoważyć impresjonizm i radykalne techniki opowiadania, które stosowałem uprzednio w innych miejscach.

Tak wyglądała część problemów, przed którymi stanąłem, pisząc Oko kota, i część rozwiązań, które zastosowałem, by sobie z nimi poradzić. Jednak jeśli chodzi o tematykę, wiele z pytań, które sobie zadawałem, i wiele z pomysłów, które rozważałem, towarzyszyło mi przez cały czas; tylko rozwiązania techniczne i sposób rozmieszczenia elementów opowieści były tym razem inne. Na pewnej płaszczyźnie wciąż dokonywałem plagiatu z wcześniejszej wersji swojej twórczości. Nie ma w tym nic złego, jeżeli do tego czasu nastąpił jakiś rozwój.

Wszystko, co powiedziałem, może stwarzać wrażenie, że była to szalenie eksperymentalna powieść. To nieprawda. Główny temat był ponadczasowy: rozważania nad zmianą i adaptacją, nad rozwojem. Podczas gdy science fiction często zajmuje się przyszłością i przybrana jest w egzotyczne szaty, jej prawdziwe, głębokie zainteresowania związane są z naturą ludzką, która od dawna jest taka sama i która, jak sędzę, będzie istnieć bez zmian przez jeszcze dłuższy czas. Tak więc w pewnym sensie wciąż szukamy nowych sposobów, by opowiadać o znanych sprawach. Ale natura ludzka to termin ogólny. Jednostka zmienia się, przystosowuje i dotyczy to zarówno pisarza, jak i jego bohaterów. Czuję, że to właśnie w tych zmianach - w samoświadomości, postrzeganiu, wrażliwości - mają swe źródło najsilniej przemawiające, najbardziej wartościowe historie, bez względu na to, jakie środki najlepiej nadają się do ich opowiedzenia.

## GROMADY Z TYTANA

*Kiedys zgodziłem się zostać gościem honorowym pewnym konwencie w Toronto i dopiero później powiadomiono mnie, że jednym z wymagań jest to, bym napisał opowiadanie do broszury, która miała być sprzedawana w celu zebrania funduszy dla ich ulubionej organizacji charytatywnej. Wydało mi się, że jest to odpowiednik zaproszenia malarza na obiad, a następnie poproszenia go, żeby w duchu miłosierdzia pomalował ci ścianę. Zarabiam w ten sposób na życie i czas spędzany na pisaniu określa moje dochody. Na szczęście, jak przypuszczam, miałem wówczas w zanadrzu pomysł na coś krótkiego i lekkiego. I pełnego obrazów.*

Było to jak tęcza o północy: słoneczna połowa pierścieni Saturna widziana z naszej pozycji nad biegunem złocistej planety. Przywodziło mi to też na myśl jakby coś innego, lecz przenośnie nie są moją mocną stroną, a tęcza właśnie na jakiś czas wyczerpała moje zdolności w tej dziedzinie.

Podczas gdy wielki, żłobkowany talerz z ciemnymi częściami składowymi obracał się pod naszym statkiem obserwacyjnym, a czarne pasmo przepływało przez północną półkulę świata w dole, usłyszałem, jak Sorensen przekrzykuje niesamowite dźwięki wydobywające się z odbiornika:

- Ustaliliśmy źródło, sir.

Odwrociłem się i spojrzałem na niego - młodego, jasnowłosego, entuzjastycznego - gdy manipulował harmonijką z papieru udekorowaną graffiti stworzonymi przez maszynę.

- Gdzie to się znajduje? - spytałem.

- Blisko wewnętrznej krawędzi pierścienia C - stwierdził - I jest to raczej coś małego.

- Hm - chrząknąłem. - Wciąż jednak nie macie pojęcia, co to jest?

Pokręcił głową.

- Nieee.

Za łkającymi, przeciągłymi dźwiękami docierającymi z odbiornika słyhać było coś w rodzaju dziwnych, asynchronicznych uderzeń, a od czasu do czasu również dźwięk o większym natężeniu, który brzmiał tak, jakby ktoś grał na waltorni w jaskini. Ponadto nadawano to na osobliwej częstotliwości. Właściwie złapaliśmy to tylko przez przypadek, kiedy mikrometeoroid uderzył w bezzałogową sondę przelatującą w pobliżu i na jakiś czas

rozstroił jej odbiornik. Później sami to nastawiliśmy. Od tego czasu odbieraliśmy te sekwencje przez długie lata i nigdy nie potrafiliśmy powiązać ich z jakimiś naturalnymi zjawiskami w pobliżu. Wyśledzenie ich źródła dodano więc do i tak już obszernej listy eksperymentów i badań, które miały zostać przeprowadzone w trakcie tego pierwszego załogowego lotu w owe rejony.

- McCarthy! - zawołałem do nawigatora, niskiego, pozbawionego entuzjazmu mężczyzny o ciemnych włosach. - Znajdź taką orbitę, która zanieś nas dostatecznie blisko tej rzeczy, żeby kamera mogła się jej dobrze przyjrzeć.

- Tak jest, kapitanie - powiedział, przejmując papiery.

Później, gdy manewrowaliśmy tak, by znaleźć się na właściwej płaszczyźnie, i przyspieszaliśmy, by osiągnąć niezbędną prędkość, Sorensen zauważył:

- Jakieś zaburzenia na Tytanie, sir.

- Burza? Wulkan lodowy? - spytałem.

- Trudno powiedzieć - odparł. - Odbieram to tylko na monitorach. Znaczne skupisko turbulencji atmosferycznych.

Wzruszyłem ramionami.

- Prawdopodobnie burza. Sprawdzaj to co jakiś czas. Powiadom mnie, jeśli zmieni się to w coś naprawdę ciekawego.

Jednak następną ciekawą rzeczą, jaką napotkaliśmy, okazało się źródło dźwięków, które śledziliśmy. Drzemałem właśnie na swoim tapczanie, sprawdzwszy wcześniej, czy racje alkoholu dla załogi nie są uszkodzone, kiedy McCarthy potrząsnął mną, żeby mnie obudzić.

- Lepiej niech pan przyjdzie i spojrzysz na to, kapitanie - powiedział.

- Co to jest? - wymamrotałem.

- Zdaje się, że ustaliliśmy położenie prawdziwego wytworu obcych - powiedział.

Wstałem i przeszedłem do ekranu widokowego, gdzie ujrzałem to przy pełnej ostrości. Nie miałem pojęcia, jaka to była skala, ale był to ciemny metalowy satelita; wyglądał jak dwa przysadziste stożki złączone podstawami. Wisiał nad płaszczyzną pierścienia, a z jego dolnego krańca promieniowało jasne światło. Biegło w dół, w głąb samego pierścienia.

- Co, do diabła, o tym myślicie? - spytałem McCarthy'ego.

- Nie wiem - odpowiedział. - Jest na orbicie synchronicznej, dopasowujemy się teraz do niego, i emituje to światło spójne. Nie ma wątpliwości, że jest to źródło transmisji.

Znów przysłuchiwałem się dźwiękom, których natężenie, jak się zdawało, rosło teraz, zmierzając ku jakiemuś punktowi kulminacyjnemu.

- Kapitanie! - zawołał Sorensen. - Wzrosła aktywność na Tytanie. Obecnie dzieje się to w górnej części atmosfery i...

- Pieprzę Tytana! - powiedziałem. - Nagrywacie to na taśmę?

- Tak, ale...

- Monitorujecie wszystko, co tego dotyczy i co daje się monitorować?

- Tak, sir.

- Dobrze. O Tytanie porozmawiamy później. Wytwór obcych jest o wiele ważniejszy od burzy metanowej.

- Niech tak będzie, sir.

Patrzyliśmy całymi godzinami i nasza pracowitość została nagrodzona, gdy staliśmy się świadkami tego, jak urządzenie wykonało zniechęcający dziwny manewr. Poprzedziło go nagle zaprzestanie emisji wszystkich dźwięków. Wiele dni pompowano je do pomieszczenia kontrolnego w nadziei, że tak intensywne dawki pomoże mi wpaść na jakieś pomysły dotyczące ich natury; poza tym ich wznoszenie się i opadanie, nieoczekiwane rytmy i glissanda nie były nieprzyjemne. Kiedy umilkły, na moment przytłoczyła mnie cisza. Jednak już wkrótce moją uwagę przykuło coś innego: światło pod satelitą - który do tego czasu przesunął się naprzód po orbicie pierścienia C - nagle zgasło.

W chwili, gdy to zauważyliśmy, satelita ruszył w górę, to znaczy przyspieszył w kierunku prostopadłym do płaszczyzny pierścienia.

- Pilnujcie go! - krzyknąłem. - Nie możemy pozwolić mu się ulotnić!

McCarthy i Sorensen w pośpiechu robili co trzeba. Czy to możliwe, że to my pobudziliśmy jakieś cholerne urządzenie alarmowe tam, w środku? - zastanawiałem się.

- Zmienia kurs, sir! - wrzasnął Sorensen.

- Nie zgubcie go, na Boga! - krzyknąłem.

- Kieruje się chyba do środka układu - powiedział później.

- To już coś - odparłem. - Kiedy ustalicie jego kurs, nakreślcie taki, żebyśmy za nim lecieli.

- W porządku, kapitanie. A właśnie, Tytan...

- Zapomnij o Tytanie! Lecimy za tym satelitą!

Okazało się, że to nie takie trudne, jak się obawialiśmy, bo po przecięciu systemu pierścieni urządzenie ustawiło się na nowej orbicie synchronicznej, zaraz za rozrzedzonym, splecionym pierścieniem F. Gdy śledziliśmy je i podążaliśmy za nim, w końcu odwróciłem się do Sorensena i powiedziałem:

- W porządku. Co z tym Tytanem? Uśmiechnął się.

- Coś w rodzaju dużego statku opuściło jego atmosferę jakiś czas temu, sir. Właśnie zmierza w głąb układu, ku północnej półkuli Saturna.

- Co?!

- ...Poza tym - mówił dalej - wydaje się, że holuje duży, płaski, okrągły przedmiot natury metalicznej.

- Pilnujecie tego?

- O tak. Poza tym monitoruję to na ekranach pomocniczych.

- Spójrzmy.

Przeszedł do bocznego ekranu i zaczął pisać na podłączonej do niego klawiaturze.

- Jest tu po drodze szczególnie dobra sekwencja, mniej więcej... tutaj! - powiedział, gdy obrazy migaly. Uderzył nagle w jeden z klawiszy i zamazane dotąd zdjęcia zaczęły się przesuwać w normalnym tempie.

- Tam.

Ponad prążkowanym i upstrzonym cętkami złotem planety zobaczyłem statek w kształcie klina. Za nim obracał się wolno olbrzymi dysk, o którym mówił Sorensen. Po kilku sekundach światło padło na dysk, ukazując... Sorensen znów uderzył palcem i obraz zamarł. Na dysku był wizerunek. Była tam gigantyczna twarz o czterech oczach i z parą krótkich antenek wychodzących z wysokiego czoła. Pokręciłem głową.

- Co on robi w tej chwili? - spytałem. Przełączył obraz z taśmy na pozycję statku w czasie rzeczywistym - przesuwał się on po spirali ku planecie i był teraz znacznie bliżej niej.

Czekaliśmy dłuższą chwilę, gdy dopasowywał się do właściwej orbity i osiągał wysokość, która widocznie była mu potrzebna. Czekaliśmy. On czekał.

Znacznie później McCarthy oznajmił:

- Coś się dzieje!

Świeży przyływ adrenaliny zaprowadził nas znów w pobliże ekranu. Dysk został odłączony od statku i podczas gdy dryfował w stronę planety, jednostka przyspieszała. Zafascynowani, obserwowaliśmy, jak się przesuwa, a tymczasem dysk opadał w taki sposób, by zniknąć całkowicie w czarnym pasie, który zauważyliśmy wcześniej. Pas skurczył się i zniknął wkrótce potem, statek zaś orbitował wokół planety, a następnie ruszył w powrotną drogę na Tytana.

- Kapitanie! - rzucił McCarthy. - Wytwór!

- Co z nim? - spytałem, przechodząc do ekranu, na którym był ukazany.

Ale on nie odpowiedział, bo mogłem to sam zobaczyć. Urządzenie znów zaczęło się poruszać, przekraczając pierścień F. Po pewnym czasie zniżyło lot, by unosić się nad



najbardziej zewnętrzną krawędzią pierścienia A. Z jasnym błyskiem włączył się laser skupiony na tym samym miejscu w dole co poprzednio. Jedyne, milczący od długiego czasu odbiornik wciąż nastawiony na częstotliwość wytworu nagle ożył - jego połączenie z systemem głośników na statku nie zostało przerwane, gdy satelita milczał. Teraz zniemacka przez głośniki dotarły do nas te same co przedtem jęki, huki, trąbienie, uderzenia.

Później, kiedy wysłaliśmy sondę daleko w głąb, pod mroczne niebo Tytana, w pobliże obszaru, z którego przybył i do którego powrócił statek w kształcie klina, przysłała ona obrazy: pod czerwonymi chmurami, we mgle, na brzegach metanowego morza, postacie podobne do cyklopów kołysały się i wirowały. Zawieje ognistych płatków opadały dokoła nich jak konfetti.

## MANA Z NIEBA

*Oto napisane na zamówienie opowiadanie, które ukazało się w tomie „The Magic May Return” - czymś w rodzaju ciągu dalszego książki Larry’ego Nivena „The Magic Goes Awol”. Tak jak to było z Fredem Saberhagenem i „Berserker Base”, Larry zapoczątkował rozwój tego osobnego wszechświata i zaprosił niektórych z nas, żebyśmy przyszli tam i dobrze się bawili. Wszedłem i zacząłem tańczyć. Dziwne, ta historia próbowała ode mnie uciec. Nie zdarza się to często, lecz zamierzałem napisać nowelę, a ona sygnalizowała, że chce się przekształcić w powieść. Byłem stanowczy. Zwyciężyłem, Oto rezultaty.*

Nie wyczuwałem nic niepożądanego tego popołudnia, podczas gdy, jak przypuszczam, zmysły powinny mnie świerzbic. Był to kojący, słoneczny dzień, nad horyzontem oceanu widać było tylko leciutkie obłoki. Mogło mnie to ukołysać do snu, kiedy zajmowałem się, nie powiem, wcale przyjemnymi urozmaicheniami mojej rutyny. Było to wtedy częściowo rozkojarzenie mojej podświadomej, nadświadomej percepcji, mojego systemu wczesnego ostrzegania, czegokolwiek... Jak przypuszczam, potęgował to fakt, że od dłuższego czasu nie było niebezpieczeństwa i że byłem pewien, iż jestem bezpiecznie ukryty. Był piękny letni dzień.

W tylnej części mojego biura znajdowało się szerokie okno, przez które z ukosa widać było ocean. Dokoła leżały te same rupiecie co zawsze: otwarte kartony, z których wylały opakowania, różne narzędzia, stosy szmat, butelki z chemicznymi środkami do czyszczenia i konserwowania różnych powierzchni. I oczywiście nabytki: jedne wciąż tkwiły w skrzynkach i kartonach, inne w nierównych rzędach stały na moim warsztacie, który ciągnął się przez całą długość ściany - rząd niezgrabnych figur szachowych oczekujących mojej ręki. Okno było otwarte, a wentylator warczał cicho, tak że opary moich chemikaliów mogły się szybko ulatniać. Do środka docierały śpiewy ptaków i odgłos odległego ruchu ulicznego, a czasami wiatr.

Mój polistyrenowy kubek do kawy spoczywał zamknięty na małym stoliku obok drzwi, jego zawartość dawno już stała się chłodna i niesmaczna, chyba że ktoś byłby oralnym masochistą. Postawiłem go tam dzisiaj rano i zapomniałem o nim aż do czasu, gdy padł nań przypadkiem mój wzrok. Pracowałem, nie robiąc sobie przerwy ani na kawę, ani na lunch; ten dzień przyniósł mi tyle radości. Został ukończony naprawdę ważny etap, chociaż reszta

personelu muzeum nigdy tego nie zauważy. Teraz czas odpocząć, świętować, delektować się wszystkim tym, co znalazłem.

Podniosłem kubek zimnej kawy. Dlaczego by nie? Kilka słów, prosty gest...

Wypiłem łyk lodowatego szampana. Wspaniały.

Przeszedłem do telefonu, żeby zadzwonić do Elaine. Ten dzień wart był większego świętowania niż kubek, który trzymałem. Akurat gdy moja ręka miała opaść na aparat, telefon zadzwonił. Przestraszyłem się, potem jednak podniosłem słuchawkę.

- Halo? - rzuciłem. Nic.

- Halo?

Znowu nic. Nie... Coś.

Nie mogło to być jakieś wariackie wydzwanianie na chybił trafił, bo jest to numer wewnętrzny.

- Mów, co masz powiedzieć, albo przestań się czaić - powiedziałem.

Dobiegły mnie opanowane, wychodzące z głębi gardła, wolno wypowiedane słowa. Głosu nie mogłem rozpoznać.

- Feniks... Feniks... jasno łśni - usłyszałem.

- Dlaczego mnie ostrzegasz, dupku?

- Berek. Teraz... ty. Połączenie się urwało.

Nacisnąłem kilka razy guzik, rozbudziłem telefonistkę.

- Elsie, ta osoba, która właśnie do mnie dzwoniła, jakie były dokładnie słowa... - spytałem.

- Co takiego? Przez cały dzień nie łączyłam do ciebie żadnych rozmów, Dave.

- Och.

- Wszystko w porządku?

- Krótkie spięcie albo coś takiego - powiedziałem. - Dzięki.

Odłożyłem słuchawkę na widelki i wypilem jednym haustem resztę szampana. Nie była to już przyjemność, ale po prostu jedna z czynności przy sprzątanii. Pomacałem palcami tektytowy wisiołek, który nosiłem, szorstkość mojej sprzączki od paska zrobionej z lawy, koral w moim pasku od zegarka. Otworzyłem dyplomatkę i schowałem w niej pewne przedmioty, których używałem. Kilka innych wyjąłem i wrzuciłem je do kieszeni.

Nie zrozumiałem sensu, ale po pierwszych słowach wiedziałem, że trzeba to traktować poważnie. Myślałem intensywnie. Wciąż nie miałem odpowiedzi, po wszystkich tych latach. Ale wiedziałem, że oznacza to niebezpieczeństwo. I wiedziałem, że może ono przybrać każdą postać.

Zatrzasnąłem teczkę. Przynajmniej zdarzyło się to dzisiaj, a nie, powiedzmy, wczoraj. Byłem lepiej przygotowany.

Zamknąłem okno i wyłączyłem wentylator. Zastanawiałem się, czy powinienem podążyć do mojej kryjówki. Oczywiście, ktoś mógł właśnie tego ode mnie oczekiwać.

Poszedłem korytarzem i zapukałem do na wpół otwartych drzwi mojego szefa.

- Wejź, Dave. Co jest grane? - zapytał.

Mike Thorley, zbliżający się do czterdziestki, z wąsami, dobrze ubrany, odłożył plik papierów i wpatrywał się w zgaszoną fajkę w wielkiej popielniczce.

- Małe komplikacje w moim życiu - odparłem. - Będzie w porządku, jeśli podbiję dziś wcześniej kartę?

- Pewnie. Mam nadzieję, że nie jest to zbyt poważna sprawa.

Wzruszyłem ramionami.

- Ja też mam taką nadzieję. Ale jeśli stanie się poważna, będę prawdopodobnie potrzebował kilku dni.

Poruszał przez chwilę wargami, potem skinął głową.

- Zajrzysz tu?

- Oczywiście.

- Chodzi tylko o to, że chciałbym, byś już wkrótce zaopiekował się wszystkimi tymi afrykańskimi rzeczami.

- W porządku. Są tam ładne okazy - powiedziałem. Podniósł rękę.

- Dobrze. Rób, co musisz zrobić.

- Dzięki. - Zacząłem się zbierać do wyjścia i wtedy powiedziałem: - Jeszcze jedno.

- Tak?

- Czy ktoś pytał o mnie... o cokolwiek? i Zaczął potrząsać głową, ale przestał.

- Chyba że wliczyć tego reportera - odparł. - Jakiego reportera?

- Faceta, który dzwonił któregoś dnia, bo pisał artykuł o naszych nowych nabytkach.

Pojawiło się oczywiście twoje nazwisko, więc miał kilka ogólnych pytań. Zwykle sprawy, na przykład od jak dawna u nas jesteś, skąd się wziąłeś. Wiesz.

- Jak się nazywał?

- Wolfgang czy Walford. Coś w tym rodzaju.

- Jaka gazeta?

- „The Times”.

Skinąłem głową.

- Dobrze. Do zobaczenia.

- Uważaj na siebie.

Skorzystałem z automatu na monety w holu, żeby zadzwonić do gazety. Oczywiście nie pracował tam nikt o nazwisku Wolfgang, Walford czy coś w tym rodzaju. Nie przygotowywano też żadnego artykułu. Zastanawiałem się właśnie, czy nie zadzwonić do innej gazety, na wypadek gdyby Mikę się mylił, kiedy moją uwagę rozproszyło lekkie uderzenie w ramię. Musiałem się odwrócić zbyt szybko, moja twarz zaś wyrażała coś innego niż opanowanie, bo jej uśmiech przygasł, a strach położył się łukiem na jej czarnych brwiach i rozluźnił szczękę.

- Elaine! - powiedziałem. - Przestraszyłaś mnie. Nie spodziewałem się...

Uśmiech odnalazł drogę powrotną.

- Strasznie jesteś nerwowy, Dave. Co tam knujesz?

- Sprawdzam, czy warto jechać do pralni chemicznej - odparłem. - Jesteś ostatnią osobą...

- Wiem. Miło z mojej strony, prawda? To był taki piękny dzień, że postanowiłam zerwać się wcześniej z pracy i przypomnieć ci, że mamy coś w rodzaju randki.

Mój mózg pracował jak szalony nawet wtedy, kiedy otoczyłem ją ramionami i obróciłem w stronę drzwi. Jak duże może grozić jej niebezpieczeństwo, jeśli spędziłbym z nią kilka godzin w biały dzień? I tak miałem właśnie iść po coś do jedzenia, poza tym mogłem uważać na obserwatorów. Jej obecność mogła także uspić czujność każdego, kto by na mnie patrzył, sprawić, iż pomyślałby, że nie wziąłem telefonu na poważnie, że może nie jestem jednak tą właściwą osobą. Skoro już o tym mowa, zdałem sobie sprawę, że właśnie wtedy potrzebowałem czyjś towarzystwa. I gdyby konieczne stało się moje nagłe zejście ze świata, także chciałem jej towarzystwa po raz ostatni.

- Tak. Świetny pomysł. Weźmy mój samochód - powiedziałem.

- Nie musisz zgłosić, że wychodzisz, albo coś takiego?

- Już to zrobiłem. Myślałem o dzisiejszym dniu to samo co ty. Chciałem do ciebie zadzwonić po odebraniu rzeczy z pralni. Jeszcze nie są gotowe - dodałem, a moje myśli wciąż mknęły we wszystkich kierunkach.

Kilku ludzi tutaj, kilku tam. Nie wydawało mi się, żebyśmy byli obserwowani.

- Znam dobrą restauracyjkę około czterdziestu mil stąd, jeśli pojedzie się wzdłuż wybrzeża. Wspaniała atmosfera. Świetne owoce morza - powiedziałem, gdy schodziliśmy frontowymi schodami. - I powinna to być miła przejażdżka.

Poszliśmy na parking muzeum, obchodząc budynek.

- Mam też domek na plaży w tamtej okolicy - oznajmiłem.

- Nigdy o tym nie wspomniałeś.  
- Prawie go nie używam.  
- Dlaczego? Brzmi to wspaniale.  
- Jest trochę na uboczu.  
- Więc dlaczego go kupiłeś?  
- Odziedziczyłem go - odparłem. Zatrzymałem się około stu stóp od mojego samochodu i wsunąłem rękę do kieszeni. - Patrz - powiedziałem.

Silnik zaskoczył, samochód zaczął, wibrować.

- Jak...? - zaczęła.

- Taki mikrofalowy gadżet. Mogę go uruchomić, zanim do niego dojdę.

- Boisz się bomby? Potrząsnąłem głową.

- Musi się rozgrzać. Wiesz, jak lubię gadżety.

Oczywiście, że chciałem wykluczyć możliwość zamachu bombowego. Była to naturalna reakcja u kogoś w moim położeniu. Na szczęście przekonałem ją o swoim zamiłowaniu do wynalazków już we wczesnej fazie naszej znajomości - aby zabezpieczyć się przed wszelkimi takimi nieprzewidywanymi sytuacjami. Oczywiście nie było też żadnego mikrofalowego drobiazgu w mojej kieszeni. Po prostu trochę towaru.

Szliśmy potem dalej; otworzyłem drzwi i wsiedliśmy.

Podczas jazdy rozglądałem się uważnie. Wydawało się, że nic i nikt nas nie śledzi. A jednak: „Berek. Teraz... ty”. Otwarcie partii. Czy spodziewano się, że zniknę i będę uciekał? Czy przypuszczano, że spróbuję zaatakować? Jeśli tak, to co? Kogo?

Czy teraz zniknę i zaczną uciekać?

Podświadomie wyczuwałem, że ten schemat zniknięcia i ucieczki już dawniej zaczął przybierać kształty.

Od jak dawna, od jak dawna to trwało? Całe lata. Ucieczka. Nowa tożsamość. Długi okres prawie normalnego życia. Atak... Uciekaj znowu. Osiądź znowu.

Gdybym tylko wiedział, który z nich to był, mógłbym zaatakować. Skoro jednak tego nie wiedziałem, musiałem unikać wszystkich moich towarzyszy - a tylko oni mogli dostarczyć mi wskazówek.

- Wyglądasz na schorowanego z powodu niewesołych myśli, Dave. Nie chodzi tu o twoją pralnię chemiczną, prawda?

Uśmiechnąłem się do niej.

- To tylko interesy - powiedziałem. - Wszystkie te rzeczy, od których chciałem uciec. Dzięki, że mi przypomniałaś.

Włączyłem radio i znalazłem jakąś muzykę. Kiedy już wydostaliśmy się z miejskiego ruchu, zacząłem się odprężyć. Gdy dotarliśmy do drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża i ruch jeszcze się zmniejszył, stało się oczywiste, że nikt nas nie śledzi. Przez jakiś czas droga wznosiła się, potem zaczęła opadać. Dłonie zaswedziały mnie, kiedy dostrzegłem obłok mgły na dnie następnego zagłębienia. Uradowany piłem jej esencję. Potem zacząłem mówić o tych afrykańskich przedmiotach, o ich przyziemnych aspektach. Skręciliśmy w boczną drogę. Na jakiś czas zapomniałem o moim problemie. Trwało to może dwadzieścia minut, do serwisu informacyjnego. Zaczęły ze mnie wychodzić dobra wola, czar, ciepło i przyjazne uczucia. Widziałem, że Elaine zaczyna się dobrze bawić. Spotykałem się ze zrozumieniem. Poczulem się jeszcze lepiej. Było...

- ...nowe erupcje, które zaczęły się dziś rano - doleciało z głośnika. - Nagła aktywność El Chinchonal wymusiła natychmiastową ewakuację obszaru wokół...

Wyciągnąłem rękę i zwiększyłem siłę głosu, zatrzymując się w środku mojej opowieści o wędrownicy po Alpach.

- Co...? - spytała. Położyłem palec na ustach.

- Wulkan - wyjaśniłem.

- Co z nim?

- One mnie fascynują - powiedziałem.

- Och.

Kiedy zapamiętywałem wszystkie fakty związane z wybuchem, zaczęły się we mnie rodzić przecucia dotyczące mojej sytuacji. Telefon, który dziś odebrałem, nie przypadkiem zbiegł się w czasie...

- Dobrze to pokazali w telewizji dzisiaj rano - oznajmiła, gdy skończyły się wiadomości.

- Nie oglądałem tego. Ale widziałem kiedyś, jak to robi, gdy tam byłem.

- Urządzasz sobie wycieczki do wulkanów?

- Kiedy są aktywne, to tak.

- Więc masz takie naprawdę kopnięte hobby i nigdy o nim nie wspomniałeś - zauważyła. - Ile aktywnych wulkanów obejrzałeś?

- Większość - odparłem, już nie słuchając, bo zarysy wyzwania stawały się widoczne: po raz pierwszy miało ono taką podstawę. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że tym razem nie będę uciekał.

- Większość? - zapytała. - Czytałam gdzieś, że są ich setki, niektóre w naprawdę odludnych miejscach. Jak na przykład Erebus...

- Byłem w Erebusie - powiedziałem - kiedyś, gdy... - i wtedy zdałem sobie sprawę z tego, co mówię - Gdy byłem w pewnym śnie - dokończyłem. - Taki mały żart.

Zaśmiałem się, ale ona tylko lekko się uśmiechnęła.

Nie miało to znaczenia. Nie mogła mi zrobić krzywdy. Bardzo niewielu przyziemnych mogło mi zaszkodzić. I tak już wkrótce miałem z nią skończyć. Po dzisiejszym wieczorze zapomnę o niej. Nigdy więcej się nie spotkamy.

Z natury jestem jednak taktowny -• jest to coś, co ma dla mnie większą wartość niż uczucie. Ja też bym jej nie zranił: może najłatwiej byłoby po prostu sprawić, żeby zapomniała.

- Poważnie, uważam, że niektóre aspekty geofizyki są fascynujące.

- Od jakiegoś czasu jestem astronomem amatorem - wyznała. - Mogę to zrozumieć.

- Naprawdę? Astronomia? Nigdy mi nie mówiłaś.

- No to co? - spytała.

Zacząłem opracowywać plan przy odruchowo toczonej luźnej rozmowie. Po naszym rozstaniu, dziś wieczorem albo jutro rano, wyjadę. Pojadę do Villahermosa. Mój wróg będzie czekał - tego byłem pewien. „Berek. Teraz... ty”. „To twoja szansa. Chodź i dostań mnie, jeśli się nie boisz”.

Oczywiście, że się bałem.

Ale uciekałem już od zbyt dawna. Będę musiał iść, załatwić to raz na zawsze. Kto wie, kiedy będę miał następną okazję. Dotarłem do punktu, w którym gotów byłem na każde ryzyko, byle dowiedzieć się, kto to jest, byle mieć szansę na odwet. Wszystkimi przygotowaniem zajmę się później, w domku, kiedy ona zaśnie. Tak.

- Masz plażę? - zapytała.

- Tak.

- Jak odosobnioną?

- Bardzo. Dlaczego?

- Byłoby miło popływać przed kolacją.

Tak więc zatrzymaliśmy się obok restauracji, zarezerwowaliśmy miejsca, odjechaliśmy i zrobiliśmy tak. Woda była wspaniała.

Dzień przeobraził się w piękny wieczór. Wybrałem mój ulubiony stolik, na patio, w głębi, oddzielony od innych barwnymi krzewami, otoczony zapachami kwiatów, z widokiem na góry. Podmuchy wiatru docierały tam dokładnie takie, jak trzeba. Tak samo homar i szampan. W restauracji szemrała cicho przyjemna muzyka. Gdy przyszedł czas na kawę, jej dłoń znalazła się pod moją. Uśmiechnąłem się. Ona też się uśmiechnęła. Wtedy spytała:



- Jak to zrobiłeś, Dave?

- Co?

- Zahipnotyzowałeś mnie.

- Wrodzony urok, jak przypuszczam - odpowiedziałem, śmiejąc się.

- Nie o to mi chodzi.

- A więc o co? - zapytałem, w jednej chwili przestając się śmiać.

- Nie zauważyłeś nawet, że już nie palę.

- Hej, masz rację! Gratuluję. Jak długo?

- Kilka tygodni - odparła. - Chodzę do hipnotyzera.

- Och, naprawdę?

- Uhm. Byłam tak uległą pacjentką, że nie mógł uwierzyć, iż wcześniej nigdy nie byłam wprowadzana w ten stan. Poszperał zatem trochę i dotarł do opisu tego, jak mówisz mi, żebym o czymś zapomniała.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Chcesz wiedzieć, co takiego pamiętam teraz, czego nie pamiętałam przedtem?

- Powiedz mi.

- Niemal wypadek, późną nocą, mniej więcej miesiąc temu. Ten drugi samochód nawet nie zwolnił przed znakiem stopu. Twój lewitował. Potem pamiętam, jak stoimy na poboczu drogi i ty mówisz mi, żebym zapomniała. I zapomniałam.

Parsknąłem.

- Każdy hipnotyzer z dużym doświadczeniem powie ci, że stan transu nie chroni przed fantazjami, a halucynacja, którą przypominasz sobie pod hipnozą, wydaje się aż tak prawdziwa, kiedy pojawia się po raz drugi. W każdym razie...

- Pamiętam świst, gdy antena tego samochodu uderzyła w twój prawy tylny zderzak i odłamała się.

- Mogą to być również bardzo żywe fantazje.

- Patrzyłam, Dave. Jest ślad na zderzaku. Wygląda to dokładnie tak, jakby ktoś trzasnął tam anteną.

Do diabła! Zamierzałem kazać to wypełnić i wyklepać. Jednak nie zająłem się tym.

- To się stało na parkingu - powiedziałem.

- Przestań, Dave.

Czy powinienem teraz wprowadzić ją w trans i sprawić, by zapomniała, że sobie przypomniała? Zastanawiałem się. Może tak byłoby najprościej.

- Nie dbam o to - stwierdziła wtedy. - Słuchaj, naprawdę mnie to nie obchodzi. Dziwne rzeczy czasami się zdarzają. Jeśli jesteś z nimi jakoś powiązany, w porządku. Ale martwię się, bo to znaczy, że mi nie ufasz...

Zaufanie? To coś, co wystawia cię na strzał. Tak jak Proteusza, gdy Amazonka i Kapłan go wykończyli. Ale sam się o to prosił...

- ...a ja ufałam ci przez długi czas. Wysunąłem dłoń z jej dłoni. Wypiłem łyk kawy. Nie tutaj. Później trochę namieszam jej w głowie. Zaszczepię jej też coś, żeby w przyszłości trzymała się z dala od hipnotyzerów.

- W porządku - powiedziałem. - Myślę, że masz rację. Ale to długa historia. Opowiem ci ją, kiedy wrócimy do domku.

Jej dłoń odszukała moją i napotkałem jej wzrok.

- Dzięki - rzuciła.

Wracaliśmy pod bezksiężycowym niebem, które ścięły gwiazdy. Była to nie brukowana droga, zagłębiająca się, wznosząca, wijąca się między gęstymi krzakami. Dźwięki owadów wpadały do środka przez otwarte okna wraz z zapachem morskiej soli. Przez chwilę, tylko przez chwilę czułem dziwne świerzbiecie, ale mogła to być noc i szampan. I nie pojawiło się to ponownie.

Później zatrzymaliśmy się przed wejściem, zaparkowaliśmy i wysiedli. Bezgłośnie wyłączyłem mojego niewidzialnego strażnika. Podeszliśmy do domku, otworzyłem kluczem drzwi, włączyłem światło.

- Nigdy nie miałeś tu żadnych kłopotów, co? - spytała.

- O czym mówisz?

- O ludziach, którzy by się tu włamywali, robili bałagan, okradali cię.

- Nie - odpowiedziałem.

- Dlaczego?

- Pewnie mam szczęście.

- Naprawdę?

- Cóż... to miejsce jest chronione, w bardzo szczególny sposób. To też jest część opowieści. Poczekaj, aż wstawię kawę.

Poszedłem do kuchni, przepłukałem dzbanek, przygotowałem wszystko co trzeba i postawiłem naczynie na gazie. Ruszyłem się, chcąc otworzyć jakieś okno, żeby wpuścić trochę wiatru.

Nagle mój cień zarysował się wyraźnie na ścianie.

Obróciłem się.

Płomień opuścił kuchenkę, zawisł w powietrzu i zaczął się powiększać. Elaine krzyknęła właśnie wtedy, gdy się odwracałem, a zjawisko nabrzało tak, że wypełniło cały pokój. Dostrzegłem, że miało zmieniające się cechy ognia żywiołowego, na krótko przed tym, jak rozerwało się i przetoczyło niczym tornado przez chatkę. Po chwili wszędzie buchały płomienie i słyszałem skwierczący śmiech.

- Elaine! - zawołałem, rzucając się naprzód, bo widziałem, że zamienia się w pochodnię.

Wszystkie przedmioty, które miałem w kieszeniach, oraz moja sprzączka od paska były prawdopodobnie wystarczającym nagromadzeniem mocy, by to wygnać. Oczywiście, te energie zostały zablokowane, zapakowane, czekały, by użyć ich na różne sposoby. Wypowiedziałem słowa, które miały zmusić do uległości przedmioty obdarzone potęgą i uwolnić moce. Później dokonałem wypędzenia.

Płomienie zniknęły w jednej chwili. Ale nie dym, nie zapach.

...A Elaine leżała tam, szlochając, jej ubranie i ciało były zwęglone, jej kończyny drgały konwulsyjnie. Wszystkie odsłonięte partie skóry były ciemne i złuszczone, krew zaczynała wyciekać z pęknięć w ciele.

Zakląłem, przestawiając strażnika. Stworzyłem go, by chronił to miejsce podczas mojej nieobecności. Nigdy nie pomyślałem o tym, żeby używać go, gdy byłem w środku. A trzeba było.

Ktokolwiek to zrobił, prawdopodobnie wciąż był blisko. Mój schowek mieścił się w krypcie na głębokości dwudziestu stóp pod chatką - wystarczająco blisko, bym mógł użyć części przedmiotów obdarzonych mocą, nawet po nie idąc. Mogłem wyciągnąć z nich manę, tak jak to właśnie zrobiłem z tymi, które miałem przy sobie. Mogłem wykorzystać ją przeciw mojemu wrogowi. Tak. To była szansa, na którą czekałem.

Rzuciłem się do dyplomacji i otworzyłem ją. Będę potrzebował mocy, aby sięgnąć po moc i manipulować nią. A mana, którą wydobyłem z eksponatów, była uwięziona w moich przyrządach. Sięgnąłem po różdżkę i po kulę. W końcu, mój wrogu, doigrałeś się! Powinieneś wiedzieć, że nie warto mnie tu atakować!

Elaine zajęczała...

Przekląłem moją słabość. Jeżeli wróg sprawdzałby mnie, by zobaczyć, czy zmiękłem, otrzymałby pozytywną odpowiedź. Ona nie była kimś obcym i powiedziała, że mi ufa. Musiałem to zrobić. Zacząłem konstruować zaklęcie, które miało odsączyć moc z większości moich przedmiotów, aby ją uzdrowić.

Zabrało to prawie godzinę. Ułożyłem ją do snu. Powstrzymałem krwawienie.

Patrzyłem, jak formują się nowe tkanki. Wykąpałem ją i ubrałem w sportową koszulę oraz podwinięte spodnie z szafki w sypialni, do której nie dotarły płomienie. Potem zostawiłem ją na trochę dłużej, żeby pospała, a sam w tym czasie sprzątałem, otwierałem okna i kończyłem parzyć kawę.

W końcu stanąłem obok starego krzesła - teraz przykrytego kocem - na którym ją posadziłem. Jeżeli właśnie zrobiłem coś przyzwoitego i szlachetnego, dlaczego tak głupio się czułem z tego powodu? Prawdopodobnie dlatego, że nie było to w moim stylu. Upewniłem się przynajmniej, że nie zostałem całkowicie zepsuty przez cnotę, skoro miałem do niej żal, iż musiałem użyć całej tej many dla jej dobra.

Cóż... Zrób teraz dobrą minę do złej gry, uczynek został już spełniony.

Jak?

Dobre pytanie. Mógłbym wymazać jej wspomnienia o tym wydarzeniu i wstawić na ich miejsce jakąś zastępczą historię - może ulatnianie się gazu - która wyjaśniałaby, co się wydarzyło, dołączając zarazem sugestię, by w to uwierzyła. Potrafiłem to zrobić. Prawdopodobnie byłoby to dla mnie najlepsze.

Nagle zapomniałem o urazie i zastąpiło ją coś innego, gdyż uświadomiłem sobie, że nie chcę, by tak to się potoczyło. Chciałem końca mojej samotności. Ona mi ufała. Czułem, że i ja mógłbym jej zaufać. Potrzebowałem kogoś, z kim naprawdę mógłbym porozmawiać.

Kiedy otworzyła oczy, włożyłem jej w dłonie filiżankę kawy.

- Witaj - powiedziałem.

Wpatrywała się we mnie, a potem wolno odwróciła głowę i popatrzyła na zniszczenia wciąż widoczne w pokoju. Jej ręce zaczęły się trząść. Sama jednak odstawiła filiżankę na mały boczny stolik, nie pozwalając mi jej zabrać. Zbadała swoje dłonie i ramiona. Pomacała twarz.

- Wszystko z tobą w porządku - stwierdziłem.

- Jak? - zapytała.

- To jest właśnie ta opowieść - odparłem. - Zaraz ją usłyszysz.

- Co to było?

- To część opowieści.

- W porządku - powiedziała wtedy, pewniej już podnosząc filiżankę i wypijając łyk kawy. - Posłuchajmy tego.

- Cóż, jestem czarownikiem, bezpośrednim potomkiem starożytnych czarowników z Atlantydy - oznajmiłem. Przerwałem. Spodziewałem się pewnego określonego westchnienia albo odpowiedzi. Nie było ani jednego, ani drugiego. - Nauczyłem się tego rzemiosła od

rodziców - mówiłem dalej - dawno temu. Podstawą wszystkiego jest mana, rodzaj energii tkwiącej w różnych rzeczach i miejscach. Kiedyś świat był jej pełen. Była podstawą całej kultury. Ale było z nią tak jak z innymi zasobami naturalnymi. Pewnego dnia się wyczerpała. Wtedy magia odeszła. Większość magii. Atlantyda zatonała. Magiczne stwory przygasły, zginęły. Struktura świata uległa zmianie, dlatego wygląda on na znacznie starszy, niż jest naprawdę. Dawni bogowie przeminęli. Czarownicy, ci, którzy manipulowali maną, by wytwarzać magię, zostali w dużym stopniu pozbawieni zajęcia. Wtedy nastąpiły prawdziwe ciemne wieki, przed początkami cywilizacji, jakie znamy z ksiąg historycznych.

- Ta potężna cywilizacja nie zostawiła po sobie żadnych śladów? - zapytała.

- Gdy magia odeszła, nastąpiły przemiany. Ślady zostały ponownie zapisane w wyglądających na naturalne skałach i w pokładach skamielin, zostały rozproszone, stopniowo całkowicie się przeobraziły.

- Jeśli przyjąć na chwilę, że to prawda - powiedziała, wypijając łyk kawy - jeśli moc odeszła, jeśli nie zostało nic, co mogłoby posłużyć do jej wytworzenia, jak możesz być czarownikiem?

- Cóż, nie cała odeszła - odparłem. - Są małe ocalałe źródła, są pewne nowe źródła i...

- ...i walczycie o nie? Ci, którzy pozostali?

- Nie... niedokładnie tak - stwierdziłem. - Widzisz, nie ma nas aż tak dużo. Celowo dbamy o to, żeby było nas niewielu, tak by nikt nie chodził głodny.

- „Głodny”?

- To wyrażenie, którego używamy. Oznacza, że masz dość many, by zachować jedność ciała i duszy, odsunąć od siebie starość, utrzymać się w zdrowiu i korzystać z uroków życia.

- Możecie się za pomocą tego odmładzać? Ile masz lat?

- Nie zadawaj kłopotliwych pytań. Gdyby moje czary wygasły i nie byłoby więcej many, szybko byłoby po mnie. Ale potrafimy uwięzić ten materiał, zamknąć go, utrzymać, kiedy tylko natkniemy się na źródło energii. Można go przechowywać w pewnych przedmiotach, a jeszcze lepiej, wiązać częściowymi zaklęciami. To tak, jakby w numerze telefonu wybierało się wszystkie cyfry prócz ostatniej. Najwięcej uwagi zwraca się zawsze na zaklęcia, które podtrzymują twoje istnienie.

Uśmiechnęła się.

- Musiałeś dużo tego zużyć na mnie. Odwróciłem wzrok.

- Tak - powiedziałem.

- Nie mógłbyś po prostu tego rzucić, być normalnym człowiekiem i żyć dalej?

- Nie.

- A więc co to było? - spytała. - Co się tu wydarzyło?

- Zaatakował mnie przeciwnik. Przeżyliśmy. Wypiła duży łyk kawy, opadła na oparcie i zamknęła oczy.

- Czy to znów się zdarzy?

- Prawdopodobnie. Jeśli na to pozwolę.

- Co masz na myśli?

- Było to bardziej wyzwanie niż atak z użyciem wszystkich sił. Mojego wroga zaczynają wreszcie męczyć podchody i chce z tym skończyć raz na zawsze.

- Zamierzasz podjąć wyzwanie?

- Nie mam wyboru. Można by co najwyżej czekać, aż coś takiego się powtórzy, ale wtedy będzie to bardziej nieodwołalne.

Zadrzała lekko.

- Przykro mi - powiedziałem.

- Wydaje mi się, że mi też może być przykro - stwierdziła, kończąc kawę, podchodząc do okna i wyglądając przez nie - zanim to się skończy. Co teraz zrobimy? - spytała, odwracając się i wpatrując się we mnie.

- Zabiorę cię w bezpieczne miejsce i odejdę na jakiś czas. - Wydawało się, że przyzwocie było dodać te ostatnie słowo, choć wątpiłem, czy ją jeszcze kiedyś zobaczę.

- Akurat, do diabła - rzuciła.

- Co takiego? O co ci chodzi? Chcesz być bezpieczna, prawda?

- Jeśli twój wróg myśli, że coś dla ciebie znaczę, jestem zagrożona. Oto, jak to widzę - powiedziała.

- Może...

Odpowiedzią było oczywiście wprowadzenie jej w tygodniowy trans i zamknięcie na dole, w krypcie, gdzie miałyby silnych strażników i drzwi dające się otworzyć tylko od środka. Ponieważ nie cała moja magia odeszła, uniosłem rękę i poszukałem jej wzroku.

Nie jestem pewien, co ją ostrzegło. Odwróciła jednak wzrok i nagle rzuciła się do szafki na książki. Kiedy się odwróciła, trzymała stary kościany flet, który od dawna tam leżał.

Pohamowałem się w środku mamrotania. Trzymała przedmiot obdarzony mocą, jeden z kilku leżących w pokoju i jeden z niewielu, które nie zostały odsączone podczas niedawnych działań. Tak naprawdę nie przychodziło mi do głowy zbyt wiele rzeczy, które mógłby z tym zrobić ktoś nie będący czarownikiem, ale powstrzymała mnie ciekawość.

- Co robisz? - spytałem.

- Nie jestem pewna - odparła. - Ale nie zamierzam pozwolić ci pozbyć się mnie za pomocą jednego z twoich zaklęć.

- A kto powiedział, że chcę coś takiego zrobić?

- Wiem to.

- Skąd?

- Po prostu przeczucie.

- Cóż, do diabła, masz rację. Jesteśmy zbyt długo razem. Potrafisz przejrzeć mnie na wylot. Zgoda, odłóż to, nic ci nie zrobię.

- Czy to obietnica, Dave?

- Taak. Chyba tak.

- Pewnie mógłbyś mnie oszukać i wymazać moją pamięć.

- Dotrzymuję obietnic.

- W porządku. - Odłożyła flet na półkę. - Co teraz zrobimy?

- Wciąż chciałbym umieścić cię w bezpiecznym miejscu.

- Nie ma mowy. Westchnąłem.

- Muszę dotrzeć tam, gdzie wybuchł ten wulkan.

- Kup dwa bilety - powiedziała.

W rzeczywistości nie było to konieczne. Mam własny samolot i licencję pilota. Prawdę mówiąc, mam kilka samolotów w różnych częściach świata. Mam też łodzie.

- W chmurach i w obłokach mgły jest mana - wyjaśniłem. - Gdy jestem w prawdziwej potrzebie, ścigam je, używając moich maszyn.

Przesuwaliśmy się wolno pośród chmur. Nadłożyłem sporo drogi, ale było to konieczne. Nawet po tym, jak zajęliśmy do mojego apartamentu i zebraliśmy wszystko, co miałem pod ręką, moje zasoby many były wciąż zbyt ubogie, by zapewnić mi konieczną początkową osłonę i pozwolić na zadanie kilku ciosów. Musiałem jej zgromadzić trochę więcej. Z tego, co wiedziałem, później nie miało to być istotne. Mój wróg i ja będziemy podłączeni do tego samego źródła. Musieliśmy tylko do niego dotrzeć.

Tak więc krążyłem dłuższy czas we mgle, gromadząc manę. Skupiałem ją w zakłębieniu ochronnym.

- Co się stanie, gdy już jej nie będzie? - spytała, kiedy przechylałem samolot na wirażu i wznosiłem go do ostatniego przelotu, po którym mieliśmy skierować się na południowy wschód.

- Nie będzie czego? - odparłem pytaniem.

- Many. Czy wszyscy umrzecie? Zaśmiałem się cicho.

- Nie może jej zabraknąć - powiedziałem. - Nie przy tak niewielu, którzy jej używają. Jak myślisz, ile ton meteorytów spadło dziś na ziemię? Podnosi to jej poziom w tle prawie niepostrzeżenie, ale bezustannie. I wiele z tego wpada do oceanów. Przez to wzbogacane są plaże. To dlatego lubię być blisko morza. Gromadzą ją stopniowo okryte mgłą wierzchołki gór. Tam też dobrze się ją zbiera. I wciąż tworzą się nowe chmury. Nasz wielki plan to coś więcej niż po prostu przetrwanie. Czekamy na dzień, gdy osiągnie ona taki poziom, że będzie reagować i ustanawiać pola na dużych obszarach. Wtedy nie będziemy już musieli polegać na akumulatorach i częściowych zakłęciach, by ją zachowywać. Magia znów będzie dostępna wszędzie.

- Wtedy wyczerpicie to wszystko i raz jeszcze wrócicie do punktu wyjścia.

- Może - powiedziałem. - Jeśli niczego się nie nauczyliśmy, może się tak stać. Wkroczymy w nowy złoty wiek, uzależnimy się od niej, zapomnimy o innych naszych umiejętnościach, znowu ją wyczerpiemy i podążymy ku następnemu ciemnemu wiekowi. Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że ci z nas, którzy z nią żyli, także się czegoś nauczyli. Musielibyśmy określić tempo wyczerpywania się many i sporządzić dla siebie budżet. Musielibyśmy zachować technologię dla rzeczy, do których poprzednio była wykorzystywana mana. Nasze doświadczenie z zasobami w tym stuleciu może być pomocne. Jest także nadzieja, że pewne obszary przestrzeni kosmicznej mogą być bogatsze w pył kosmiczny albo posiadać jakiś inny czynnik, który umożliwi zgromadzenie większych ilości. A więc czekamy także na pełny rozwój programu badań kosmicznych: aby dotrzeć do innych światów obfitujących w to, czego potrzebujemy.

- Brzmi to tak, jak byście wszystko to sobie zaplanowali.

- Mieliliśmy dużo czasu, żeby o tym pomyśleć.

- Ale jak traktowalibyście tych z nas, którzy nie są obeznani z magią?

- Czynilibyśmy dobro. W ten sposób wszyscy skorzystamy.

- Mówisz za siebie czy za całą waszą gromadkę?

- Cóż, większość pozostałych na pewno ma takie same odczucia. Ja po prostu chcę pochodzić sobie po muzeach...

- Powiedziałeś, że od jakiegoś czasu nie miałeś z nimi kontaktu.

- Tak, ale...

Potrząsnęła głową i odwróciła się, by popatrzeć na mgłę za szybą.

- To następne zmartwienie - stwierdziła.



Nie dostałem zezwolenia na lądowanie, więc po prostu znalazłem płaskie miejsce, posadziłem maszynę i zostawiłem ją. Wszelkimi problemami, jakie to spowodowało, mogłem się zająć później.

Wypakowałem nasze rzeczy; podnieśliśmy je i ruszyliśmy ku poszarpanej, zadymionej części widnokregu.

- Pieszko nigdy tam nie dotrzemy - powiedziała.

- Masz rację - odparłem. - Ale nie taki jest mój plan. Kiedy nadejdzie właściwa pora, pojawi się coś innego.

- O czym mówisz?

- Poczekaj, a zobaczysz.

Wędrowaliśmy kilka mil, nikogo nie spotykając. Droga była ciepła i zakurzona, ziemia trzęsła się od czasu do czasu. Wkrótce wyczułem przyływ many i zaczerpnąłem jej.

- Weź mnie za rękę - rzekłem. Wypowiedziałem słowa konieczne, byśmy mogli lewitować kilka stóp nad skalistym terenem. Poszybowałem naprzód, a moc dokoła nas rosła, w miarę jak zbliżaliśmy się do celu. Korzystałem z niej teraz w większym stopniu, wypowiadając zaklęcia, by poruszać się szybciej, by stworzyć wokół nas tarcze ochronne osłaniające nas przed gorącym i latającymi odłamkami skał.

Niebo pociemniało od popiołu i dymu na długo przed tym, jak zaczęliśmy się wznosić. Początkowo wlatywaliśmy stopniowo, ale gdy mknęliśmy dalej przed siebie, ką, pod jakim leciliśmy w górę, nieustannie się powiększał. Stosowałem różnorodne częściowe zaklęcia, zaczepne i obronne, wiążąc wielkie ilości many oddalonej o słowo, tylko o poruszenie koniuszkiem palca.

- Wyciągnij rękę, wyciągnij rękę i dotknij kogoś - nuciłem, a tymczasem widzialny świat pojawiał się i odchodził w miarę przesuwania się przesłaniających go chmur.

Z dużą prędkością wlecieliśmy do strefy, w której prawdopodobnie byśmy się udusili, gdyby nie tarcza. Im dalej byliśmy, tym hałasy stawały się głośniejsze. Musiało też tam być całkiem gorąco. Kiedy wreszcie dotarliśmy do krawędzi, ciemne kształty ulatywały w górę, mijając nas, a błyskawice grasowały między chmurami. Z przodu i w dole jarząca się, rozpalona masa ulegała ciągłym przemianom pośród eksplozji.

- W porządku! - zawołałem. - Zamierzam naładować wszystko, co ze sobą przywiozłem, i związać jeszcze trochę many. Będę miał całą bibliotekę zaklęć! Rozgość się!

- Taak - powiedziała, oblizując wargi i spoglądając w dół. - Będzie mi wygodnie. Ale co z twoim wrogiem?

- Jak na razie nikogo nie widziałem, a dokoła jest za dużo swobodnej many, bym mógł

pochwycić wibracje. Będę miał jedno oko otwarte i będę korzystał z sytuacji. Ty też się rozglądaj.

- Dobra - powiedziała. - To jest doskonale bezpieczne, co?

- Tak bezpieczne jak ruch uliczny w Los Angeles.

- Wspaniale. Naprawdę pocieszające - zauważyła, gdy wielka skalna bryła przeleciała obok nas.

Później się rozdzieliliśmy. Zostawiłem ją wewnątrz ochronnego zaklęcia, opartą o urwiste wzniesienie, a sam ruszyłem w prawo, by odprawić rytuał, który wymagał większej swobody ruchu.

Wtedy przede mną wzbija się w powietrze chmura iskier. Nie było w tym nic szczególnie niepożądanego, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że unosi się niezwykle długo. Wreszcie wyglądało na to, że zacznie się rozpraszać...

- Feniks, Feniks jasno łśni! - Te słowa zadudniły dokoła mnie, pokonując hałas samego piekła.

- Kto mnie wzywa? - spytałem.

- Kto ma największy powód, by zrobić ci krzywdę?

- Gdybym to wiedział, nie pytałbym.

- A zatem szukaj odpowiedzi w piekle!

Ściana ognia ruszyła ku mnie. Wypowiedziałem słowa, które wzmocniły mą tarczę. Mimo to zatrzęsłem się w mojej ochronnej bańce, gdy nastąpiło uderzenie. Wiedziałem, że trudno byłoby oddać cios, skoro mój przeciwnik nie w pełni się zmaterializował.

- W porządku, na śmierć! - krzyknąłem, wzywając błyskawicę, by uderzyła tam, gdzie wirowały iskry.

Odwróciłem się i zasłoniłem oczy przed jasnością, ale wciąż czułem ją przez skórę.

Bańka moich sił wciąż się trzęsła, gdy zamrugałem i spojrzałem przed siebie. Powietrze przede mną w jednej chwili stało się przejrzyste, ale wszystko zdawało się w jakiś sposób ciemniejsze i...

Istota - postać z na wpół zestalonej lawy o grubo ciosanych ludzkich kształtach - otoczyła mnie ramionami tak dalece, jak mogła sięgnąć, i ścisnęła. Moje zaklęcie wytrzymało, ale uniesiony zostałem ponad krawędź krateru.

- To nie zadziała! - powiedziałem, próbując roztopić tę istotę.

- Do diabła z twoim gadaniem! - nadszedł głos z jakiegoś miejsca wysoko w górze.

Szybko pojąłem, że stwór z lawy ma ochronę przed prostymi zaklęciami, które w niego miotałem. W porządku, a więc strąć mnie. Wydostanę się stamtąd, lewitując. Feniks

znów powstanie. Ja...

Przeleciałem nad krawędzią i spadałem. Ale był kłopot. Ciężki kłopot.

Płynne stworzenie przywarło do bańki moich sił. Magia jest magią, a nauka nauką, ale są punkty, w których się ze sobą zgadzają. Im większy ciężar chcesz poruszyć, tym więcej many musisz zużyć. Tak więc pozwoliłem zmylić moją czujność i teraz spadałem do ognistego dołu mimo lewitacyjnego zaklęcia, które uniosłoby mnie wysoko, gdybym nie był tak obciążony. Natychmiast zacząłem wypowiadać zaklęcie, które miało utrzymać mnie na określonej wysokości.

Ale kiedy skończyłem, spostrzegłem, że coś mi się przeciwstawia - inne zaklęcie. Czar, który podczas spadania ciągle zwiększał masę obciążającego mnie stworzenia dzięki wchłanianiu materiału. Jeśli nie liczyć przestrzeni między moimi stopami, gdzie widziałem zmacone jezioro ognia, ta rzecz otaczała mnie płynną masą. Przychodziła mi do głowy tylko jedna droga ucieczki, lecz nie wiedziałem, czy mam dość czasu.

Zająłem się zaklęciem, które miało mnie zmienić w wypełniony iskrami wir podobny do tego, jaki uprzednio przywdział mój przeciwnik. Kiedy mi się to udało, zdjąłem z siebie zaklęcie ochronne i odleciałem.

Wydostałem się przez otwór w dole. Byłem już tak blisko tej bulgoczącej powierzchni, że wpadłbym w panikę, gdyby nie to, że nawet mój umysł zmienił się w wyniku transformacji w coś statycznego i zrównoważonego.

Muskając zniekształconą przez ciepło powierzchnię lawy, przeleciałem obok mocno obciążonej istoty z ożywionej skały i wznosiłem się już w szybkim tempie, poniewierany i podrzucany przez fale gorąca, kiedy ta natrafiła na wznoszący prąd i zniknęła. Zacząłem się unosić jeszcze szybciej dzięki dodaniu własnej energii i pomknąłem w górę alejami dymu oraz pary, mijając błyskające pociski lawy.

Nadałem ptasi kształt memu jarzącemu się wirowaniu, wessałem manę i wydałem długi, przeciągły, wzmagający się okrzyk. Gdy docierałem do krawędzi, rozpostarłem skrzydła wzdłuż rozchodzących się linii energii, szukając mojego wirującego przeciwnika. Nic. Ciskałem się do tyłu i do przodu, krążyłem. Jego, jej, tego nigdzie nie było widać.

- Jestem tutaj! - krzyknąłem. -- Stań teraz naprzeciw mnie!

Ale nie było odpowiedzi, tylko katastrofa pode mną, tam skąd dochodził huk kolejnych eksplozji.

- Chodź! - krzyknąłem. - Czekam!

A więc zacząłem szukać Elaine, lecz nie było jej tam, gdzie ją zostawiłem. Mój przeciwnik, zniszczył ją albo zabrał ze sobą.

Rzuciłem przekleństwo niczym grzmot i zakręciłem się, tworząc wielki wir, wznoszącą się wieżę światła. Popędziłem w górę, zostawiając daleko w dole ziemię i ten płonący pryszcz.

Nie umiem powiedzieć, jak długo, rozwścieczony, ujeżdżałem prądy silnych wiatrów na wielkich wysokościach. Wiem, że okrążyłem świat kilka razy, nim zacząłem wykazywać jakiegokolwiek oznaki racjonalnego myślenia, nim uspokoiłem się na tyle, by sformułować cokolwiek, co przypominałoby plan.

Było oczywiste, że to jeden z moich towarzyszy próbował mnie zabić i zabrał mi Elaine. Zbyt długo unikałem kontaktów z moim rodzajem. Teraz wiedziałem, że nie zważając na ryzyko, muszę ich odszukać, by zdobyć wiedzę, której potrzebowałem dla samoobrony, dla zemsty.

Ruszyłem w dół, gdy zbliżyłem się do Bliskiego Wschodu. Arabia. Tak. Pola naftowe, miejsca, w których w obfitości występują drogie substancje zanieczyszczające środowisko, tryskające z ziemi i nasycone maną. Dom tego, którego zwą Derwiszem.

Zachowując postać Feniksa, mknąłem od pola do pola niczym pszczoła. Smakowałem, wykorzystywałem moc, by wesprzeć zakęcie, pod którego wpływem działałem. Szukałem...

Szukałem trzy dni, przesuając się nad ponurymi krajobrazami, odwiedzając pole za polem. Było to jak seria bufetów z zakąskami. Tak łatwo można by użyć many, by przekształcić obszary leżące poza miastami. Ale oczywiście byłoby to rozdawanie za darmo, pod wieloma względami.

Potem, szybując nisko nad mieniącymi się piaskami, gdy na wschodzie zapadał zmierzch, zrozumiałem, że znalazłem to, czego szukałem. Pole naftowe, do którego się zbliżałem i nad którym później krążyłem, nie różniło się od innych. Ale utkwilo w królestwie mojej wrażliwości, jakby postawiono przy nim znak. Poziom many był tu znacznie niższy niż na jakimkolwiek innym polu, które badałem. A w takim miejscu musiał działać jeden z nas.

Rozpostarłem się tak, że moja sylwetka jeszcze bardziej się rozrzedziła. Odnalazłem właściwy pułap. Zacząłem krążyć.

Tak, istniał wzór. Stawało się to tym bardziej oczywiste, im dokładniej badałem ów obszar. Część uboga w manę stanowiła z grubsza okrąg leżący blisko północno-zachodniego narożnika pola, a jego centrum było blisko łańcucha wzgórz.

Być może miał tam na polu jakieś oficjalne stanowisko. Jeśli tak było, jego obowiązki musiały być ograniczone do minimum, a sama praca byłaby tylko przykrywką. Zawsze był raczej leniwy.

Poruszałem się po coraz mniejszych spiralach i w końcu opadłem ku środkowi okręgu,

jakby to była dziesiątka na tarczy. Pędząc tam, spostrzegłem małą, walącą się budowlę z suszonej na słońcu cegły, która zajmowała ten teren, zlewając się niemal z otoczeniem. Warsztat albo magazyn, siedziba stróża... Nie miało znaczenia, na co to wyglądało. Wiedziałem, czym to musiało być.

Zanurkowałem i wylądowałem przed budynkiem. Cofnąłem zakłęcie, przybrałem znów ludzką postać. Pchnąłem porwane przez pogodę, nie zamknięte na zasuwę drzwi i wszedłem do środka.

Pustka, tylko kilka zniszczonych mebli i mnóstwo kurzu. Zakląłem cicho. To musiało być to.

Chodziłem wolno po pomieszczeniu, szukając jakiejś wskazówki.

Z początku nic nie widziałem, nawet niczego nie czułem. Dopiero gdy przypomniałem sobie o mało znanym wariacie starego zakłęcia i o charakterze Derwisza, odwróciłem się i wyszedłem na zewnątrz.

Zamknąłem drzwi. Szukałem odpowiednich słów. Trudno było sobie dokładnie przypomnieć, jak to szło. Wreszcie popłynęły i czułem, jak zajmują właściwe miejsce, czop i jego gniazdo, klucz i zamek. Tak, była reakcja. Była tam ledwo uchwytna, odpychająca mnie siła. Miałem rację.

Kiedy skończyłem, wiedziałem, że coś się zmieniło. Wyciągnąłem rękę w stronę drzwi, ale się zawahałem. Prawdopodobnie włączyłem jakiś alarm. Najlepiej, jeśli zgromadzę trochę zakłéc na końcach palców, zakłéc czekających po prostu na słowa przewodnie. Mruczając, postawiłem je w stan gotowości i otworzyłem drzwi.

Marmurowe schody tak szerokie jak sam budynek prowadziły w dół, kremowe klejnoty lśniły jak stuwatowe żarówki po obu bokach.

Ruszyłem naprzód, zacząłem schodzić. Owionął mnie zapach jaśminu, szafranu i drzewa sandałowego. Później usłyszałem w oddali dźwięki instrumentów strunowych i fletu. Wtedy widziałem już niżej i z przodu część wyłożonej płytami podłogi i część jej wyszukanego wzoru. Rzuciłem na siebie czar niewidzialności i szedłem dalej.

Zanim dotarłem do podstawy schodów, spostrzegłem go na drugim końcu długiej sali z kolumnami.

Był tam, daleko, spoczywał w gniazdku wymoszczonym poduszkami i dywanikami w jaskrawe wzory. Przed nim stały wyszukane dania. Nargile bulgotały u jego boku. W pobliżu młoda kobieta wykonywała taniec brzucha.

Zatrzymałem się przy końcu schodów i badałem rozkład pomieszczeń. Sklepione przejścia po prawej i po lewej zdawały się wieść do innych komnat. Za nim tkwiły podwójne

szerokie okna wychodzące na górskie wierzchołki piętrzące się wysoko pod bardzo błękitnym niebem - było to albo bardzo dobre złudzenie, albo wynik zużycia dużych ilości many na potężne zaklęcie rzucające most między przestrzeniami. Oczywiście, miał dużo many pod ręką. Jednak wyglądało to na pewną rozrzutność.

Przyjrzałem się teraz mężczyźnie. Nie zmienił się bardzo: miał ostre rysy, był śniady, wysoki, krzepki, niemal otyły.

Zbliżałem się powoli, gotów wypowiedzieć albo pokazać gestem klucze do pół tuzina zaklęć.

Kiedy byłem trzydzieści stóp od niego, poruszył się niespokojnie. Zaczął rzucać spojrzenia w moim kierunku. Jego zmysł mocy widocznie wciąż działał bez zarzutu.

Wypowiedziałem zatem dwa słowa, z których jedno włożyło mi do ręki nie w pełni materialną, lecz bardzo potężną magiczną strzałkę, drugie zaś zerwało ze mnie zasłonę niewidzialności.

- Feniks! - zawołał, siadając prosto i wpatrując się we mnie. - Myślałem, że nie żyjesz! Uśmiechnąłem się.

- Jak niedawno ta myśl przebiegła przez twój umysł?

- Obawiam się, że nie rozumiem...

- Jeden z nas właśnie próbował mnie zabić w Meksyku.

Potrząsnął głową.

- Od dłuższego czasu nie byłem w tamtej części świata.

- Dowiedz tego - rzuciłem.

- Nie mogę - odparł. - Wiesz, że moi ludzie tutaj powiedzieliby wszystko, czego bym od nich zażądał, więc to nie pomoże. Nie zrobiłem tego, ale nie potrafię wymyślić sposobu, żeby to udowodnić. Taki jest problem, kiedy próbuje się czemuś zaprzeczyć. Dlaczego jednak to mnie podejrzewasz?

Westchnąłem.

- O to właśnie chodzi. Nie, to nie tak... albo inaczej, muszę podejrzewać każdego. Po prostu wybrałem cię na chybił trafił. Robię to według listy.

- Więc przynajmniej mam statystykę po swojej stronie.

- Przypuszczam, że masz rację, do cholery. Wstał, obrócił ręce dłońmi do góry.

- Nigdy nie byliśmy ze sobą szczególnie blisko - powiedział. - Ale też nigdy nie byliśmy wrogami, jeśli już o tym mowa. Nie mam powodu, by pragnąć twej krzywdy. - Przyglądał się strzałce w mej dłoni. Podniósł prawą rękę, w której wciąż trzymał butelkę. - A więc chcesz wykończyć nas wszystkich, żeby się zabezpieczyć?

- Nie. Miałem nadzieję, że mnie zaatakujesz i w ten sposób dowiedziesz swej winy. Wtedy życie stałoby się łatwiejsze. - Posłałem strzałkę w próżnię na znak dobrej woli. - Wierzę ci - oznajmiłem.

Pochylił się i odłożył butelkę, którą trzymał, na poduszkę.

- Gdybyś mnie uśmiercił, ta butelka upadłaby i rozbiła się - powiedział. - Albo może udałoby mi się pokonać cię podczas ataku i wyciągnąć korek. W środku jest agresywny dzinn.

- Świetna sztuczka.

- Chodź, zjedz ze mną obiad - zaproponował. - Chcę usłyszeć twoją opowieść. Ktoś, kto zaatakował cię bez powodu, może równie dobrze pewnego dnia zaatakować mnie.

- W porządku - powiedziałem.

Tancerka została odprawiona. Posiłek dobiegł końca. Popijaliśmy kawę. Mówiłem prawie godzinę, a on ani razu mi nie przerwał. Byłem zmęczony, ale miałem przeciw temu zakłęcie.

- Dziwne, bardzo dziwne - stwierdził w końcu. - I nie pamiętasz w ogóle, byś - nim się to wszystko zaczęło - zranił, obraził albo oszukał kogoś z pozostałych?

- Nie. - Wypiłem łyk kawy. - A więc może to być którekolwiek z nich - powiedziałem po jakimś czasie. - Kapłan, Amazonka, Gnom, Syrena, Wilkołak, Łamią, Dama, Elf, Kowboj...

- Cóż, wykreśl Łamię - powiedział. - Sądzę, że ona nie żyje.

- Jak to?

Wzruszył ramionami, odwrócił wzrok.

- Nie jestem pewien - powiedział wolno. Potem dodał: - Na początku mówiło się, że ty i ona uciekliście razem. Potem, później, wyglądało na to, że umarliście razem... jakoś.

- Łamią i ja? To głupie. Nigdy nie było nic między nami.

Skinął głową.

- A zatem teraz wygląda to tak, jakby coś po prostu się jej przydarzyło.

- Mówiło się... - powtórzyłem. - Kto zaczął o tym mówić?

- Wiesz. Historyjki po prostu zaczynają krążyć. Nigdy nie wiesz dokładnie, skąd się biorą.

- Gdzie usłyszałeś o tym po raz pierwszy? Spuścił powieki, popatrzył w dal.

- Gnom. Tak. To Gnom wspomniał mi o tej sprawie podczas Spadogwiazdu w tamtym roku.

- Czy powiedział, gdzie to usłyszał?

- Nic takiego, co mógłbym sobie przypomnieć.

- W porządku - rzuciłem. - Chyba muszę porozmawiać z Gnomem. Wciąż jest na południu Afryki?

Pokręcił głową, napełnił ponownie moją filiżankę, używając wysokiego, wspaniale rzeźbionego dzbanka.

- Kornwalia - powiedział. - Wciąż jest dużo soku na dnie tych starych szybów.

Zadrzałem lekko.

- Niech go sobie zatrzyma. Dostaję klaustrofobii na samą myśl o tym. Ale jeśli on może mi powiedzieć, kto...

- Nie ma gorszego wroga niż dawny przyjaciel - stwierdził Derwisz. - Jeśli zerwałeś więzi ze swoimi przyjaciółmi tak samo jak ze wszystkimi innymi, kiedy zacząłeś się ukrywać, znaczy to, że już wtedy brałeś pod uwagę, iż...

- Tak, chociaż nie lubiłem tak o tym myśleć. Wytłumaczyłem to sobie racjonalnie tym, że nie chcę ich narażać na niebezpieczeństwo, ale...

- Właśnie.

- Kowboj i Wilkołak byli moimi kumplami...

- ...I przez dłuższy czas łączyło cię coś z Syreną, prawda?

- Tak, ale...

- Wzgardzona kobieta?

- Raczej nie. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Potrząsnął głową i podniósł filiżankę.

- Nic więcej w tej sprawie nie wymyślę. Skończyliśmy kawę. Wstałem.

- Cóż, dzięki. Chyba lepiej już pójdę. Cieszę się, że przyszedłem najpierw do ciebie.

Podniósł butelkę.

- Chcesz wziąć ze sobą dzinna?

- Nie wiem nawet, jak go używać.

- Komendy są proste. Wszystko już zostało zrobione.

- W porządku. Czemu nie?

Poinstruował mnie krótko i rozstaliśmy się. Wznosząc się nad wielkie pole naftowe, spojrzałem za siebie na malutki, podniszczony budynek. Potem poruszyłem skrzydłami i uniosłem się, by posać sok z jakiejś chmury, zanim skrucę na zachód.

Spadogwiadz, zadumałem się, kiedy ziemia i woda rozwijały się pode mną jak papirus. Spadogwiadz: wielki sierpniowy deszcz meteorów, któremu towarzyszyła fala many zwana Gwiezdnym Wiatrem, jedyna okazja w ciągu roku, gdy zbieraliśmy się wszyscy. Tak, to wtedy wymieniano się plotkami. Ledwie tydzień po jednym ze Spadogwiadzów zostałem zaatakowany po raz pierwszy, prawie zamordowany, ukryłem się... Rok później krążyły te



opowieści. Czy to coś na wcześniejszym Spadogwieździe - coś, co powiedziałem albo zrobiłem komuś - uczyniło mi wroga tak nieubłagane dążącego do celu, tak szybko szukającego odwetu?

Ze wszystkich sił próbowałem sobie przypomnieć, co wydarzyło się na ostatnim Spadogwieździe, w którym uczestniczyłem. Był to najpotężniejszy powiew Gwiezdnego Wiatru, jaki pamiętano. Zostało mi to w pamięci. „Mana z nieba”, żartował Kapłan. Wszyscy byli w dobrym nastroju. Rozmawialiśmy o naszych sprawach, wymieniliśmy kilka zaklęć, zastanawialiśmy się, co zapowiadał wzmożony Gwiezdny Wiatr, kłóciliśmy się na tematy polityczne - wszystkie te zwyczajne sprawy. Jednym z tematów było to, o czym mówiła Elaine.

Elaine... Czy żyje jeszcze? Zastanawiałem się. Jest czyimś więźniem? Czyimś ubezpieczeniem na wypadek, gdybym robił to, co właśnie robiłem? Czy też może jej popioły od dawna już rozwiewane są po całym globie? W każdym razie ktoś za to zapłaci.

Wydałem mój przenikliwy okrzyk, przeciwstawiając się pędzącym wichrom. Umknął w jednej chwili, bez echa. Dogoniłem noc, wleciałem w jej kaniony. Gwiazdy znów się pojawiły, zajaśniały.

Szczegółowe instrukcje, których udzielił mi Derwisz, okazały się całkiem precyzyjne. W miejscu, które wskazał na mapie pospiesznie naszkicowanej ognistymi liniami na podłodze, był szyb kopalniany. Nie było jednak mowy, bym wszedł tam w ludzkiej postaci. Jakaś wersja aspektu Feniksa mogła mnie przynajmniej ochronić przed klaustrofobią. Nie potrafię się czuć całkowicie uwięziony, kiedy nie jestem w pełni materialny.

Kurczyłem się i kurczyłem, schodząc w dół. Przywołałem moje rozrzedzone skrzydła i ogon, krzepnąc tym bardziej, im mniejszy się stawałem. Potem pozwoliłem uciec masie i energii, zachowując nowe rozmiary, i znów przybrałem eteryczną postać.

Jak ptak-widmo wleciałem do sztolni. Opadałem, opadałem. To miejsce było puste. Many nigdzie nie było. Tego oczywiście należało oczekiwać. Górne warstwy zostałyby wyczerpane na początku.

Wciąż spadałem w miejsca wilgotne i ciemne i wtedy dopiero poczułem pierwsze nikłe dotknięcie mocy. Jej natężenie zwiększało się raczej powoli, ale rzeczywiście rosło.

Wreszcie znowu zaczęło się zmniejszać, więc cofnąłem się, podążając tą samą trasą. Tak, to boczne przejście... jej źródło. Wleciałem tam i ruszyłem jej śladem.

Gdy posuwałem się coraz dalej, do tyłu i w dół, jej ilość wciąż rosła. Zastanawiałem się przez chwilę, czy powinienem szukać obszaru mocniejszej czy słabszej aktywności. Ale tutaj sytuacja różniła się od tej, którą wykorzystywał Derwisz. Źródło mocy Derwisza było

odnawialne, a więc mógł zostać na miejscu. Gnom musiał się przemieszczać, kiedy wyczerpał lokalne zasoby many.

Skrecając w boczny tunel, minąłem narożnik i zostałem powstrzymany. Nie mogłem się ruszyć. Cholera.

Była to sieć sił, trzymała mnie jak motyla. Niemal natychmiast przestałem walczyć, widząc, że w tej sytuacji jest to bezowocne.

Przybrałem znowu ludzką postać. Ale ta przeklęta sieć po prostu przesunęła się, by dostosować się do tej przemiany, i wciąż obejmowała mnie ciasno.

Spróbowałem jednego z zaklęć z ogniem, ale skutek był żaden. Próbowałem wysać manę z sieci, by rozluźnić zaklęcie, ale tylko rozboleła mnie od tego głowa. To niebezpieczna metoda, skuteczna tylko wtedy, gdy rzecz jest niedbale wykonana - a nawet wtedy podmuch sił odrzuca cię do tyłu, kiedy zaklęcie się rozprasza. Lecz to, z którym miałem do czynienia, przeciwstawiało się doskonale moim staraniom. Mimo wszystko musiałem tego spróbować, bo byłem zrozpaczony, a poza tym poczułem odrobinę klaustrofobię. Zdawało mi się też, że usłyszałem grzechot kamienia w leżącej wyżej części tunelu.

Następnie usłyszałem chichot i rozpoznałem głos Gnoma.

Potem zza narożnika wyłoniło się światło, a za nim niewyraźna, jakby ludzka postać.

Światło przesunęło się przed niego i trochę na lewo - była to kula wydzielająca pomarańczowy blask - tworząc podobną do płomienia poświatę wokół jego zgarbionego, skręconego kształtu, gdy kuśtykał ku mnie. Zachichotał raz jeszcze.

- Wygląda na to, że złapałem w sidła Feniksa - powiedział w końcu.

- Bardzo zabawne. A może byś mnie tak teraz uwolnił? - zapytałem.

- Oczywiście, oczywiście - wymamrotał, zaczynając wykonywać gesty.

Pułapka rozpadła się. Postąpiłem naprzód.

- Rozpytywałem dokoła - oznajmiłem. - Co to za historia o Lamii i o mnie?

Wciąż poruszał rękami. Miałem już przywołać agresywne lub ochronne zaklęcie, lecz przestał. Nie poczułem się od tego gorzej, więc doszedłem do wniosku, że w ten sposób ostatecznie uprzętnął swoją sieć.

- Lamią? Ty? - powiedział. - Och. Tak. Słyszałem, że uciekliście razem. Tak. To wszystko.

- Gdzie o tym usłyszałeś?

Wbił we mnie swoje wielkie, blade oczy.

- Gdzie o tym usłyszałeś? - powtórzyłem pytanie.

- Nie pamiętam.

- Spróbuj.

- Przykro mi.

- Do diabła z takim gadaniem! - rzuciłem, robiąc krok w przód. - Ktoś próbuje mnie zabić i...

Wypowiedział słowo, które unieruchomiło mnie w pół kroku. Dobre zaklęcie.

- ...i jest niezdarny, co jest godne pożałowania - dokończył Gnom.

- Puść mnie, cholera!

- Wszedłeś do mojego domu i napadłeś na mnie.

- Zgoda, przepraszam. Teraz... Chodź tędy.

Odwrócił się do mnie plecami i ruszył przed siebie. Wbrew mojej woli moje ciało wykonywało konieczne ruchy. Poszedłem za nim.

Otworzyłem usta, by wypowiedzieć jedno z moich zaklęć. Nie wydobyły się żadne słowa. Chciałem wykonać gest. Nie byłem w stanie zacząć.

- Dokąd mnie zabierasz? - zrobiłem jeszcze jedną próbę.

Słowa zabrzmiały zupełnie wyraźnie. Ale on przez jakiś czas nie zwracał sobie głowy odpowiedzią. Światło przesunęło się po połyskujących spoinach z jakiegoś metalicznego materiału w obrębie pokrytych wilgocią ścian.

- Do miejsca, w którym można zaczekać - powiedział wreszcie, skręcając w korytarz po prawej stronie.

Szliśmy nim jakiś czas, rozbryzgując kałuże.

- Dlaczego? - spytałem. - Na co czekamy? Znow zachichotał. Światło zatańczyło. Nie odpowiedział.

Szliśmy kilka minut. Zaczęła mi bardzo ciężać myśl o wszystkich tych tonach skał i ziemi nade mną. Poczułem, że wpadłem w pułapkę. Ale nie mogłem nawet panikować jak należy ograniczony tym zaklęciem. Zacząłem się obficie pocić, mimo że z przodu dochodził ochładzający powiew.

Wtedy Gnom odwrócił się nagle i zniknął, wszedłszy bokiem w wąską szczelinę, której nawet bym nie zauważył, gdybym szedł tędy sam.

Usłyszałem, jak rzucił: „Chodź”.

Moje stopy podążyły za światłem przesuniętym tak, by unosiło się między nami. Odwróciłem się jak automat. Dostyc długo szedłem za nim bokiem, nim droga się rozszerzyła. Podłoże opadło gwałtownie, zniecka, a ściany cofnęły się i światło ruszyło naprzód, wznosząc się na coraz większą wysokość.

Gnom podniósł szeroką dłoń i zatrzymał mnie. Byliśmy w małej komnacie o

nieregularnych kształtach - przypuszczałem, że była naturalna. Słabe światło wypełniło ją. Rozejrzałem się. Nie miałem pojęcia, dlaczego się tutaj zatrzymaliśmy. Ręka Gnoma przesunęła się i wskazał coś palcem.

Spojrzałem w tamtą stronę, ale wciąż nie mogłem się zorientować, co też takiego próbował mi pokazać. Wtedy światło przesunęło się naprzód i zawisło blisko podobnej do półki niszy.

Kąty zmieniły się, cienie przesunęły. Zobaczyłem to.

Był to wyrzeźbiony w węglu posąg pólężącej kobiety.

Postąpiłem o krok. Był niezwykle dobrze wykonany i bardzo znajomy.

- Nie wiedziałem, że jesteś artystą... - zacząłem i zrozumiałem dokładnie wtedy, gdy się zaśmiał.

- To nasza sztuka - powiedział. - Nie ta jej przyziemna odmiana.

Wyciągnąłem rękę, by dotknąć ciemnego policzka. Opuściłem ją jednak, postanowiwszy tego nie robić.

- To Łamią, prawda? - zapytałem. - To naprawdę ona...

- Oczywiście.

- Dlaczego?

- Musi gdzieś być, prawda?

- Obawiam się, że nie rozumiem. Znow zachichotał.

- Jesteś martwy, Feniksie, a ona jest tego przyczyną. Nigdy nie myślałem, że szczęście będzie mi sprzyjać, że wejdiesz tutaj w ten sposób. Ale teraz, kiedy już to zrobiłeś, skończyły się wszystkie moje problemy. Odpoczniesz kilka korytarzy stąd, w komnacie, w której nie ma ani odrobiny many. Będziesz czekał, a tymczasem pošę po Wilkołaka, żeby przyszedł i cię zabił. Wiesz, on był zakochany w Lamii. Jest przekonany, że z nią uciekłeś. Taki to z ciebie przyjaciel. Już od jakiegoś czasu czekam, aż cię dopadnie, ale albo on jest niezdarą, albo ty masz szczęście. Może jedno i drugie.

- A więc przez cały czas to był Wilkołak?

- Tak.

- Dlaczego? Dlaczego chcesz, żeby mnie zabił?

- Wyglądałoby źle, gdybym sam to zrobił. Dopilnuję, aby niektórzy z pozostałych byli tu, kiedy to się stanie. Tak by moje imię pozostało czyste. W rzeczywistości osobiście wyprawię Wilkołaka na tamten świat, jak tylko z tobą skończy. Doskonałe końcowe posunięcie.

- Chętnie naprawię krzywdę, której ode mnie doznałeś. Gnom potrząsnął głową.

- Twoją winą jest to, że wszedłeś ze mną w konflikt, którego nie można załagodzić - powiedział. - Nie ma sposobu, żeby to naprawić.

- Czy nie zechciałbyś mi powiedzieć, co takiego zrobiłem? - spytałem.

Wykonał gest, którym zmusił mnie, bym się odwrócił i poszedł z powrotem w stronę korytarza. Podążył za mną, a przed nami przesuwało się jego światło.

Gdy szliśmy, zapytał mnie:

- Czy wiedziałeś o tym, że podczas każdej kolejnej ceremonii Spadogwiazdu w ciągu ostatnich dziesięciu lub dwunastu lat zawartość many w Gwiezdnym Wietrze była trochę wyższa?

- Dziesięć lub dwanaście lat temu przestałem brać w nich udział - odparłem. - Pamiętam, że w tym ostatnim roku poziom był bardzo wysoki. Odtąd, kiedy przyszło mi do głowy, by sprawdzić to we właściwym czasie, zdawał się wysoki, to prawda.

- Ogólne odczucie jest takie, że będzie nadal wzrastać. Wydaje się, że wchodzimy w nowy obszar przestrzeni kosmicznej, bogatszy w ten materiał.

- Doskonale - stwierdziłem, zanurzając się znów w korytarz. - Ale co to ma wspólnego z tym, że chcesz się mnie pozbyć, że porwałeś Łamię i zamieniłeś ją w węgiel, że napuszczasz na mnie Wilkołaka?

- Wszystko - rzucił, prowadząc mnie w dół ukośnego szybu, w którym poziom many zmniejszał się z każdym krokiem. - Nawet przedtem ci z nas, którzy przeprowadzali dokładne badania, znaleźli oznaki tego, że w tle poziom many wzrasta.

- A więc postanowiłeś mnie zabić? Zaprowadził mnie do poszarpanego otworu w ścianie i pokazał, że powinienem tam wejść. Nie miałem wyboru. Moje ciało słuchało go. Światło pozostało z nim na zewnątrz.

- Tak - odparł, posyłając mnie gestami w głąb tego miejsca. - Przed laty nie miałyby to znaczenia: każdy miał prawo wyrażać takie opinie, jakie mu odpowiadały. Ale teraz jest to istotne. Magia zaczyna wracać, ty głupcze. Zamierzam kręcić się tutaj dostatecznie długo, by tego doczekać, by to wykorzystać. Mogłem znosić cierpliwie wasze demokratyczne zapatrywania, kiedy coś takiego wydawało się jedynie snem na jawie...

I wtedy przypomniałem sobie naszą kłótnię dotyczącą sprawy, o której mówiła Elaine, gdy jechaliśmy wzdłuż wybrzeża.

- ...ale wiedząc to, co wiedziałem, i widząc, jak czuleś się silny, zrozumiałem, że sprzeciwiłbyś się naszemu nieuniknionemu przywództwu w tym nowym świecie. Podobnie Wilkołak. Właśnie dlatego urządziłem to tak, żeby on zniszczył ciebie, a później w zamian został zniszczony przeze mnie.

- Czy wszyscy pozostali myślą tak jak ty? - zapytałem.

- Nie, tylko kilku... tak samo jak było tylko kilku takich jak ty, Kowboj i Wilk. Reszta pójdzie za tym, kto obejmie przywództwo, ktokolwiek to będzie, tak jak to zawsze robią ludzie.

- Kim są ci inni? Prychnął.

- Teraz to nie twój interes.

Wykonał znajomy gest i coś zamruczał. Poczułem, że jestem wolny od wszelkiego przymusu, jaki wobec mnie stosował, i rzuciłem się na przód. Wejście nie zmieniło wyglądu, ale uderzyłem w coś z trzaskiem... tak jakby drogę blokowały niewidzialne drzwi.

- Zobaczymy się na przyjęciu - powiedział, stojąc ledwie kilka cali dalej, poza moim zasięgiem. - Tymczasem spróbuj trochę odpocząć.

Poczułem, że opuszcza mnie świadomość. Zdołałem pochylić się i ukryć twarz w ramionach, nim zupełnie straciłem kontrolę. Nie pamiętam chwili, gdy uderzyłem o podłogę.

Nie wiem, jak długo leżałem w transie. Wygląda na to, że wystarczająco długo, by niektórzy z pozostałych zdążyli odpowiedzieć na zaproszenie. Bez względu na to, z jakiej okazji wydał to przyjęcie, była ona wystarczająco ważna, aby Rycerz, Druid, Amazonka, Kapłan, Syrena i Człowiek Śniegu zjawili się w wielkim holu gdzieś pod wzgórzami Kornwalii. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy nagle odzyskałem przytomność na końcu długiego, czarnego korytarza, w którym nic nie było widać. Usiadłem z wysiłkiem, potarłem oczy i zmrużyłem je, próbując przeniknąć mrok mojej celi. Minęło kilka chwil i ktoś się tym zajął. Wiedziałem więc, że moje przebudzenie i wydarzenie, które potem nastąpiło, były ze sobą powiązane.

Problemowi z oświetleniem zaradzono w ten sposób, że ściany zaczęły się jarzyć, stały się jak ze szkła, a potem zmieniły w trójwymiarowy kolorowy ekran z dźwiękiem stereo. To tam zobaczyłem Rycerza, Druida, Amazonkę itd. Stąd wiedziałem, że było to przyjęcie: było jedzenie i muzyka w tle, goście przybywali i wychodzili. Gnom był wszędzie, kładł każdemu na plecach swoje wilgotne, zimne ręce, wykrzywił twarz w uśmiechu i był doskonałym gospodarzem.

Mana, mana, mana. Broń, broń, broń. Nic. Gówno.

Patrzyłem na to dłuższą chwilę, czekając. Na pewno nie bez powodu przywrócił mi świadomość i pokazywał, co się dzieje. Badałem wszystkie te znajome twarze, podsłuchiwałem strzępki rozmów, obserwowałem ich ruchy.

Nic szczególnego. Dlaczego więc zostałem przebudzony i byłem tego świadkiem? Musiało to być dzieło Gnoma, a jednak...

Kiedy spostrzegłem, że po raz trzeci w ciągu trzech minut Gnom zerka ku wysokiemu sklepieniu głównego wejścia do sali, zrozumiałem, że on też na coś czeka.

Przeszukałem moją celę. Jak można było przewidzieć, nie znalazłem nic, co mogłoby mi się choć trochę przydać. Jednak gdy się rozglądałem, usłyszałem, że zwiększył się hałas, i odwróciłem się w stronę obrazów na ścianie.

Trwało przedstawianie magicznych sztuk. Sala musiała być nasycona maną. Moi koledzy oddawali się przepięknemu czarnoksięstwu - kwiaty, twarze, kolory i rozległe, egzotyczne, zmieniające się pejzaże wypełniały teraz ekran - dokładnie tak, jak musiało się to dziać w starożytnych czasach. Ach! Jedna kropla! Jedna kropla many i wy dostałbym się stąd! Uciec i wrócić? Czy też szukać natychmiastowej zemsty? Nie mogłem się zdecydować. Gdyby tylko istniał jakiś sposób, żebym mógł ją zaczerpnąć z tego pięknego obrazu...

Ale Gnom przeprowadził to zbyt sprawnie. Nie mogłem znaleźć żadnego słabego punktu w dziele, które miałem przed oczami. Po paru chwilach przestałem próbować także z innego powodu. Gnom ogłaszał przybycie następnego gościa.

W tym momencie dźwięk zamarł, a obraz zniknął. Korytarz poza moją celą zdawał się lekko rozjaśniać. Ruszyłem w tamtą stronę. Tym razem przejście nie było zagrodzone i wyszedłem, kierując się w stronę rozświetlonego obszaru. Co się stało? Czy jakaś nieznana siła przewyciężyła doskonale wykonane zaklęcia Gnoma?

W każdym razie czułem się teraz normalnie i byłbym głupcem, gdybym został tam, gdzie mnie zostawił. Przyszło mi do głowy, że może to być część jakiejś pułapki albo tortury wyższego rzędu, ale mimo to... miałem teraz kilka możliwości, co zawsze oznacza poprawę sytuacji.

Postanowiłem zawrócić w kierunku, z którego wcześniej przyszliśmy, a nie ryzykować, że zabłądzę i trafię prosto na to zgromadzenie. Nawet jeśli było tam dużo many. Lepiej wrócić tą samą drogą, zdecydowałem, związać całą manę, jaką uda mi się znaleźć po drodze, w postaci zaklęć ochronnych i spadać stąd w cholerę.

Zrobiłem jakieś dwadzieścia kroków, czyniąc to postanowienie. Później tunel skręcił dziwnie, nie przypominałem sobie takiego odcinka. Wciąż jednak byłem przekonany, że przechodziliśmy tędy, więc poszedłem dalej. Zrobiło się trochę jaśniej, ale wydawało się, że to zmiana na lepsze. Dzięki temu mogłem iść szybko.

Nagle pojawił się gwałtowny zakręt, którego wcale nie pamiętałem. Skręciłem i wpadłem w zasłone pulsującego białego światła, a potem nie mogłem się już zatrzymać. Zostałem popchnięty, jakby coś naciskało na mnie od tyłu. Nie było sposobu, żebym mógł stanąć. Na jakiś czas oślepiło mnie to światło. Potem zahaczało mi w uszach.

I wtedy wszystko się skończyło; stanąłem w wielkim holu, w którym odbywało się przyjęcie, wyłoniwszy się z jakiegoś bocznego wejścia, akurat na czas, żeby usłyszeć, jak Gnom mówi:

- ...A nieoczekiwanym gościem jest nasz przez długi czas zaginiony brat Feniks!

Zrobiłem krok w tył, by wycofać się do tunelu, z którego wyszedłem, lecz trafiłem na coś twardego. Obróciwszy się, ujrzałem ślepią skalną ścianę.

- Nie bądź nieśmiały, Feniksie. Chodź i przywitaj się ze swoimi przyjaciółmi - mówił Gnom.

Rozległo się szemranie ciekawskich, ale głośniejsze było podobne do zwierzęcego warczenie, które nadeszło z drugiej strony. Ujrzałem mojego starego kumpla Wilkołaka, szczupłego i ogorzałego, z płonącymi oczami; niewątpliwie to on był owym gościem, który właśnie przybywał, gdy zniknął obraz.

Poczułem paniczny strach. Poczułem także manę. Ale co mogłem zrobić w ciągu zaledwie kilku sekund?

Mój wzrok przyciągnęło dziwne poruszenie w klatce na ptaki spoczywającej na stole, obok którego stał Wilkołak. Pozy innych wskazywały, że wielu z nich po prostu odwróciło się, by na to nie patrzeć.

Zapisało się to w mojej pamięci w ciągu jednej chwili.

W klatce tańczyła naga kobieca postać nie więcej niż na dłoń wysoka. Poznałem, że to zaklęcie będące torturą: tancerz nie mógł się zatrzymać. Taniec miał trwać aż do śmierci, a po niej ciało wciąż podrygiwałoby przez jakiś czas.

I nawet z tej odległości mogłem poznać, że to małe stworzenie to Elaine.

Część zaklęcia dotycząca tańca była prosta. Łatwo też było ją unieważnić. Trzy słowa i gest. Zdołałem to zrobić. Wtedy Wilkołak poruszał się już w moim kierunku. Nie zawracał sobie głowy zmianą kształtu i przybieraniem swojej bardziej przerażającej postaci. Odsunąłem się na bok tak szybko, jak zdołałem, i spróbowałem chwytu blokującego jego rękę i nogę. Odparł to. Zawsze był silniejszy i szybszy ode mnie.

Odwrócił się i wymierzył cios, lecz zdołałem zrobić unik i skontrolowałem go w korpus. Zamruczał i uderzył mnie lekko w szczękę lewym sierpowym. Wtedy już się wycofywałem. Zatrzymałem się i próbowałem go kopnąć, jednak odrzucił mnie w bok, tak że wirując, poleciałem na podłogę. Czułem manę wszędzie dokoła, ale nie było czasu jej użyć.

- Właśnie dowiedziałem się o tej historii - powiedziałem. - Nie miałem nic wspólnego z Łamią...

Rzucił się na mnie. Zdołałem wbić mu kolano w żołądek, gdy spadał na mnie całym



ciężarem.

- Gnom porwał... - rzuciłem z wysiłkiem, zadając mu dwa ciosy w nerki, nim jego ręce odszukały moje gardło i zaczęły się zaciskać. - Ona jest węglem... - Trafiłem go raz, w górną część policzka, zanim schylił głowę. - Gnom... do cholery - zabalgotałem.

- To kłamstwo! - usłyszałem odpowiedź Gnoma, który był gdzieś w pobliżu i słyszał każde słowo.

Pokój zaczął wirować wokół mnie. Głosy zmieniły się w ryk, jakby oceanu. Potem coś dziwnego stało się też z moim wzrokiem: zdało mi się, że głowę Wilkołaka okala poszarpana siatka. Po chwili głowa opadła, a ja poczułem, że jego uchwyt się rozluźnił.

Zerwałem jego ręce z mojego gardła i uderzyłem go raz, w szczękę. Potoczył się na bok. Próbowałem zrobić to samo w drugim kierunku, ale sił wystarczyło mi tylko na to, by spróbować najpierw usiąść, potem klęknąć i w końcu kucnąć.

Zobaczyłem, że Gnom podnosi ręce w moim kierunku, zaczynając rzucać aż za dobrze mi znany i śmiertelny czar. Zobaczyłem, że Wilkołak wolno zdejmuje z głowy roztraskaną klatkę na ptaki i znów się podnosi. Zobaczyłem nagą, naturalnej wielkości postać Elaine, która biegła ku nam z wykrzywioną twarzą...

Odpowiedź na pytanie, co robić dalej, dał Wilkołak, który gwałtownie rzucił się naprzód.

Cios ześliznął się po moim korpusie, bo właśnie się odwracałem, kiedy mnie dosięgnął. Ciemny kształt wydostał się z mojej koszuli, unosił się przez chwilę i opadł na podłogę: była to mała butelka z dzinnem, którą dał mi Derwisz.

Potem, na chwilę przed tym, jak pięść Wilkołaka eksplodowała w mojej twarzy, zobaczyłem, że coś szczupłego i białego przesuwają się w stronę jego karku. Zapomniałem, że Elaine miała drugie kyu w kyokushinkai...

Przypuszczam, że Wilkołak i ja uderzyliśmy o podłogę mniej więcej w tym samym czasie.

...Od czerni do szarości i do pełnego zakresu barw; od brzęczenia trzmiela do wrzasków. Z pewnością niezbyt długo byłem nieprzytomny. W tym czasie zaszły jednak znaczące zmiany.

Po pierwsze Elaine policzkowała mnie.

- Dave! Obudź się! - krzyczała. - Musisz to zatrzymać!

- Co? - zdołałem odpowiedzieć.

- To coś z butelki.

Oparłem się na łokciu - dokuczała mi szczęką, ból przeszywał mój bok - i

przyglądałem się z niedowierzaniem.

Na najbliższej ścianie i na stole były plamy krwi. Zamiast przyjęcia widziałem grupki ludzi opanowanych przez strach i gniew w różnych stadiach, a wszyscy najwyraźniej się wycofywali. Jedni rzucali zaklęcia, inni po prostu uciekali. Amazonka wyciągnęła miecz i trzymała go przed sobą, przygryzając dolną wargę. Kapłan stał u jej boku, mrużąc zaklęcie śmierci, które - jak wiedziałem - miało się okazać nieskuteczne. Głowa Gnoma leżała na podłodze blisko wielkiego sklepienia, jego oczy były otwarte i nie mrugał. Lawiny podobnego do gromu śmiechu rozbrzmiewały w całej sali.

Przed Amazonką i Kapłanem stała niemal na dziesięć stóp wysoka naga męska postać, z ciemnej skóry wydobywały się wstęgi dymu, na podniesionej prawej pięści była krew.

- Zrób coś! - krzyknęła Elaine.

Podniosłem się trochę wyżej i wypowiedziałem słowa, których nauczył mnie Derwisz, a które miały dać mi panowanie nad dżinnem. Pięść zatrzymała się, wolno przestała się zaciskać. Wielka łysa głowa obróciła się ku mnie, ciemne oczy napotkały mój wzrok.

- Panie...? - spytał cicho.

Wypowiedziałem następne słowa, potwierdzając to. Potem z trudem się podniosłem i stanąłem chwiejnie.

- A teraz z powrotem do butelki: oto mój rozkaz. Jego oczy przestały na mnie patrzeć, przesunął wzrok na podłogę.

- Butelka jest strzaskana, panie - oznajmił.

- To prawda. Coś się na to poradzi... - Podeszedłem do baru. Znalazłem butelkę Cutty Sark z odrobiną alkoholu na dnie. Wypiłem go. - Użyj więc tej - powiedziałem i dodałem słowa tworzące przymus.

- Wedle rozkazu - odpowiedział, zaczynając znikać. Patrzyłem, jak dżinn wpływa do butelki szkockiej, a potem ją zakorkowałem.

Odwróciłem się, by stanąć przed moimi dawnymi kolegami.

- Przepraszam, że wam przerwałem - powiedziałem. - Bawcie się dalej. - Znow się odwróciłem. - Elaine, wszystko w porządku? - spytałem.

Uśmiechnęła się.

- Nazywaj mnie Tancerką - rzekła. - Jestem twoim nowym uczniem.

- Czarownik musi mieć wyczucie many i naturalną wrażliwość na sposób, w jaki działają zaklęcia - stwierdziłem.

- Do diabła, myślisz, że jak odzyskałam normalne rozmiary? - zapytała. - Poczułam moc w tym miejscu, więc kiedy unieważniłeś zaklęcie każące mi tańczyć, potrafiłam

odgadnąć, jak...

- Niech mnie diabli - rzuciłem. - Powinienem był się domyślić, że masz takie zdolności, już tam, w domku, kiedy chwyciłaś ten kościany flet.

- Widzisz, potrzebujesz ucznia, wtedy zawsze będziesz czujny.

Wilkołak zajęczał, zaczął się poruszać. Kapłan, Amazonka i Druid zbliżyli się do nas. Nie wyglądało na to, żeby przyjęcie miało trwać dalej. Dotknąłem palcem warg, dając znak Elaine.

- Pomóż mi przy Wilkołaku - powiedziałem do Amazonki. - Trzeba będzie go trochę przytrzymać, zanim będę mógł mu powiedzieć parę rzeczy.

Gdy następnym razem, pluskając się, przelatywaliśmy pośród Perseid, usiedliśmy na szczycie wzgórza w północnej części Nowego Meksyku, mój uczeń i ja. Wpatrywaliśmy się po północy w skrzepnięte niebo i od czasu do czasu obserwowaliśmy na nim jasny efekt komory mgłowej. Pozostali byli w większości pod nami na otwartym terenie, uroczystości już się zakończyły. Wilkołak tkwił wciąż pod kornwalijskimi wzgórzami i współpracował z Druidem, który przypomniał sobie coś ze starodawnego zaklęcia „ciało w węgiel”. Jeszcze mniej więcej miesiąc, stwierdził w wiadomości, którą przysłał.

- „Błysk niepewności na niebie precyzji” - powiedziała.

- Co?

- Układam wiersz.

- Och. - Potem, po pewnym czasie, dodałem: - O czym?

- Z okazji mojego pierwszego Spadogwiazdu - odparła. - Wyraźnie zmierzamy ku kolejnemu rekordowi przyrostu many.

- Ma to dobre i złe strony.

- ...A magia powraca i uczę się Sztuki.

- Ucz się szybciej - powiedziałem.

- ...A ty i Wilkołak znów jesteście przyjaciółmi.

- To prawda.

- ...A właściwie ty i cała grupa.

- Nie.

- Co to znaczy?

- Cóż, pomyśl o tym. Są jeszcze inni. Po prostu nie wiemy, którzy z nich byli po stronie Gnoma. Nie będą chcieli mieć reszty z nas w pobliżu, kiedy magia powróci. Nowsze, złośliwsze zaklęcia - takie, które trudno sobie teraz wyobrazić - staną się możliwe, kiedy mocy przybędzie. Musimy być gotowi. To błogosławieństwo ma też ujemne strony. Popatrz

na nich tam, w dole - na tych, z którymi śpiewaliśmy - i zobacz, czy potrafisz odgadnąć, którzy z nich pewnego dnia będą próbowali cię zabić. Będzie walka, a zwycięzcy mogą sprawić, że jej wynik utrwali się na długi czas.

Przez chwilę milczała.

- Tak to mniej więcej wygląda - dodałem.

Wtedy podniosła rękę i wskazała linię ognia nakreśloną na niebie.

- Tam jest jeden! - powiedziała. - I jeszcze jeden! I jeszcze! - Później zastanawiała się:

- Możemy teraz liczyć na Wilkołaka i może na Łamię, jeśli ją ożywią. I chyba też na Druida.

- I na Kowboja.

- A Derwisz?

- Taak, myślę, że tak. Derwisz.

- ...I będę gotowa.

- Dobrze. Może dzięki nam ta historia będzie miała szczęśliwe zakończenie.

Objęliśmy się i patrzyliśmy, jak ogień spada z nieba.

## NOCNI KRÓLOWIE

*Poproszono mnie o napisanie niewielkiego opowiadania dla wznowionego na krótko w 1986 roku pisma „Worlds of If”. Zapłata nie była wielka, ale mimo moich uwag przed poprzednim opowiadaniem nie jestem całkowicie wyrachowany. Byłem wystarczająco sentymentalny, by to zrobić, miałem bowiem kilka miłych wspomnień z czasów, gdy pisałem dla tego magazynu w jego pierwszym wcieleniu. Postanowiłem powiązać kilka ogranych motywów ze współczesnej sceny fantasy i zrobić z nich mimo wszystko prawdziwą opowieść, a nie pastisz. Wciąż czekam na egzemplarze, które należą mi się jako współpracownikowi, jednak przyjazny fan dostarczył mi ten numer. Z niego pochodzi opowiadanie, które można by tu przedstawić.*

Ta noc zaczęła się jak każda inna, ale towarzyszył jej jakiś szczególny nastrój. Księżyc wzeszedł ponad sylwetki wieżowców, pełny i wspaniały, a jego światło rozlało się jak maślanka pośród kanionów miasta. Z resztek burzy wydzielają się opary mgły przemykające niczym widma przez chodniki. Ale nie chodziło tylko o księżyc i o mgłę. Od kilku tygodni zanosilo się na coś. Miałem kłopoty ze snem. I interesy szły zbyt dobrze.

Próbowałem bez powodzenia obejrzeć nocny film i wypić choć jedną filiżankę kawy, zanim wystygnie. Ale klienci wciąż przybywali, ci, którzy tylko oglądali towary, zwlekali z wyjściem, a telefon dzwonił regularnie. Pozwoliłem mojemu pomocnikowi Yicowi zająć się wszystkim, jak umiał, ale ludzie wciąż pojawiali się przy ladzie - i to nigdy podczas reklamy.

- Słucham pana? Co mogę dla pana zrobić? - zapytałem mężczyznę z średnim wiekiem z lekkim tikiem lewego kącika ust.

- Czy sprzedajecie zastrzone kołki?

- Tak. Wolałby pan zwykły czy utwardzony w ogniu?

- Chyba utwardzony.

- Ile?

- Jeden. Nie, lepiej niech będą dwa.

- Cena spada o dolara, jeśli weźmie pan trzy.

- Dobrze, niech będą trzy.

- Sprzedam panu tuzin po naprawdę dobrej cenie.

- Nie, trzy powinny wystarczyć.

- W porządku.

Pochyliłem się i wyciągnąłem karton. Cholera. Zostały tylko dwa. Musiałem otworzyć następne opakowanie. Dobrze, że Vic pilnował, by ich nie zabrakło, i przyniósł drugi karton z magazynu. Chłopak się uczył.

- Coś jeszcze? - zapytałem, pakując je.

- Tak - odparł mężczyzna. - Potrzebuję dobrego młotka.

- Mamy trzy różne rodzaje, w różnej cenie. Najlepszy jest obciążony...

- Wezmę najlepszy.

- Już się robi. - Wyjąłem jeden spod sąsiedniej lady.

- Płaci pan gotówką, czekiem czy kartą kredytową?

- Honorujecie MasterCard?

- Tak.

Wyjął portfel i otworzył go.

- Och, chcę także funt czosnku - powiedział, wyjmując kartę i wręczając mi ją.

Krzyknąłem do Vica, który był akurat wolny, by przyniósł czosnek, a sam w tym czasie potrąciłem koszt zakupów z karty.

- Dziękuję - powiedział mężczyzna kilka minut później, odwracając się i kierując się w stronę drzwi z paczką pod pachą.

- Dobranoc, powodzenia - rzuciłem, a odgłosy odległego ruchu ulicznego dotarły do mnie, gdy drzwi się otwierały, po czym przycichły, gdy się zamknęły.

Dostrzegłem filiżankę z kawą i podniosłem ją. Wróciłem na swoje miejsce przed telewizorem. Cholera. Właśnie pokazywali reklamę kleju do sztucznych szczęk. Przeczekałem ją, a wtedy pokazała się Betty Davis... Minęło kilka chwil i usłyszałem, jak ktoś chrząknął za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę z ciemnymi wąsami. Był w beżowym płaszczu. Gniewnie marszczył brwi.

- Co mogę dla pana zrobić? - spytałem.

- Potrzebuję trochę srebrnych kul - powiedział.

- Jaki kaliber?

- Trzydzieści zero sześć. Proszę mi dać dwa pudełka.

- Już się robi.

Kiedy opuścił sklep, znów poszedłem do ubikacji i wylałem kawę. Napeliłem ponownie filiżankę świeżym naparem z dzbanka na ladzie.

Gdy wracałem do wygodnego kąta sklepu, zatrzymał mnie odziany w skóry młodzieniec z różową punkową fryzurą. Stał, wpatrując się w wysoką, wąską, szczelnie

zamkniętą gablotę wysoko na ścianie.

- Hej, ojczulku, ile to kosztuje? - spytał mnie.

- To nie jest na sprzedaż - powiedziałem. - To wyłącznie element wystawy.

Wygrzebał z bocznej kieszeni gruby zwitek banknotów i wysunął przed siebie rękę, a jego senne spojrzenie ani na chwilę nie opuszczało jasnego przedmiotu wiszącego w górze.

- Muszę mieć magiczny miecz - oznajmił cicho.

- Przykro mi. Mogę panu sprzedać tybetański sztylet niszczący złudzenia, ale na miecz można tu tylko popatrzeć.

Odwrócił się nagle i spojrzał mi w prosto w oczy.

- Gdyby kiedykolwiek zmienił pan zdanie...

- To niemożliwe.

Wzruszył ramionami i odszedł, wkraczając w mrok.

Gdy okrążyłem swój kąt i znalazłem się w przedniej części sklepu, Vic utkwił we mnie spojrzenie, po czym zakrył dłonią dolną część słuchawki.

- Szeffie - powiedział - ta pani mówi, że chiński demon odwiedza ją co noc i...

- Powiedz jej, żeby tu zaszła, to sprzedamy jej świątynnego psa do postawienia przy łóżku.

- Dobrze.

Wypiłem łyk kawy i wróciłem na swoje krzesło, a Vic skończył rozmowę i odłożył słuchawkę. Niska, ruda kobieta, która wpatrywała się dotąd w jedną z gablot wystawowych blisko wejścia, wybrała ten moment, żeby do mnie podejść.

- Przepraszam, czy macie w sprzedaży tojad? - spytała.

- Tak, mamy... - zacząłem i wtedy usłyszałem ten dźwięk: ostre bang, jakby ktoś rzucił kamieniem w drzwi na tyłach sklepu.

Przeczuwałem, co to może być.

- Przepraszam - powiedziałem. - Vic, mógłbyś zająć się tą panią?

- Jasne.

Vic podszedł, wysoki, dobrze zbudowany, a ona się uśmiechnęła.

Odwróciłem się i przeszedłem przez zaplecze do pomieszczenia na tyłach. Otworzyłem zamek w ciężkich drzwiach wychodzących na aleję i pociągnąłem za klamkę. Tak jak podejrzewałem, nikogo nie było widać.

Przyglądałem się ziemi. Obok kałuży leżał nietoperz i szarpał się słabo. Zatrzymałem się i dotknąłem go lekko.

- W porządku - rzuciłem. - W porządku, jestem tutaj. Wszystko w porządku. -

Wróciłem do środka, zostawiwszy otwarte drzwi. Idąc w stronę lodówki, zawołałem: - Leo, pozwalam ci wejść. Ten jeden raz. Tylko do tego pokoju, nie dalej.

Po minucie wszedł chwiejnym krokiem. Miał na sobie ciemny, wytarty garnitur, a przód jego koszuli był brudny. Jego włosy były potargane przez wiatr i przerzedzone, na czole zaś widniał guz. Podniósł drżącą dłoń.

- Masz trochę? - zapytał.

- Taak, tutaj.

Podąłem mu butelkę, którą zdążyłem już otworzyć, i wypił duży łyk, a potem wolno rozsiadł się na krześle obok małego stolika. Cofnąłem się i zamknąłem drzwi, po czym usiadłem naprzeciw niego z filiżanką kawy. Dałem mu minutę, żeby mógł wypić jeszcze parę łyków i się opanować.

- Nie mogę nawet dobrze trafić w żyłę - zamruczał, unosząc butelkę po raz ostatni. Potem odstawił ją, przejechał dłońmi po włosach, potarł oczy i utkwiał we mnie nienawistne spojrzenie. - Mogę dać ci namiary trzech, którzy właśnie wprowadzili się do miasta - powiedział. - Ile to jest warte?

- Dam ci jeszcze jedną butelkę.

- Za trzech? Do diabła! Mogłem przynosić ci te informacje w kawałkach, za każdym razem mówić o jednym...

- Nie poszukuję aktywnie osobników twojego rodzaju - oznajmiłem. - Dostarczam tylko innym tego, czego potrzebują, żeby o sobie zadbać. Jednak naprawdę lubię mieć takie informacje...

- Potrzebuję sześciu butelek. Potrząsnąłem głową.

- Leo, wypijesz tyle i wiesz, co się stanie? Nie zdołasz wrócić i...

- Chcę sześć butelek.

- Nie chcę ci ich dawać. Pomasował skronie.

- W porządku - stwierdził wtedy. - Przypuśćmy, że miałbym ważną informację, która dotyczyłaby ciebie osobiście. Naprawdę ważną informację.

- Jak ważną?

- Jak życie i śmierć.

- Daj spokój, Leo. Znasz mnie, ale nie znasz mnie aż tak dobrze. Nie ma zbyt wielu rzeczy na tym świecie ani na żadnym innym... Wypowiedział to imię.

- Co?

Powtórzył je, ale i tak zaczynałem już czuć ucisk w żołądku.

- Sześć butelek - powiedział.



- W porządku. Co wiesz?

Popatrzył na lodówkę. Wstałem i podszedłem do niej. Wyjąłem butelki i zapakowałem każdą oddzielnie. Potem włożyłem je do większej brązowej torby. Przyniosłem ją i postawiłem na podłodze obok jego krzesła. Nawet nie spojrzał w dół. Po prostu pokiwał głową.

- Jeśli mam stracić kontakt, to chcę, żeby się to odbyło właśnie w taki sposób - stwierdził.

Przytaknąłem.

- A teraz mi powiedz.

- Ten mężczyzna przybył do miasta kilka tygodni temu - stwierdził. - Rozglądał się. Znalazł ciebie. I teraz jest ta noc. Zostaniesz zgładzony.

- Gdzie on jest?

- W tej chwili? Nie wiem. Ale nadchodzi. Zwołał powszechne zgromadzenie na cmentarzu Wszystkich Świętych, po drugiej stronie rzeki. Powiedział nam, że zamierza się ciebie pozbyć i zapewnić nam bezpieczeństwo, że to będzie jego terytorium. Powiedział wszystkim, żeby wzięli się do pracy i ciągle dawali ci zajęcie. - Spojrzał na małe zakratowane okienko umieszczone wysoko w tylnej ścianie. - Lepiej już pójde - powiedział.

Wstałem i wypuściłem go. Patrzyłem, jak zanurza się chwiejnym krokiem w mgłę.

Dzisiejsza noc mogła być ostatnią także dla niego. Hemoholik. Niewielki procent z nich zaczyna na to cierpieć. Jedna szyja nigdy nie wystarcza. Wkrótce nie potrafią uciekać w odpowiednim kierunku i zaczynają się budzić w niewłaściwych trumnach. Potem pewnego ranka po prostu nie docierają na czas do łóżka. Widziałem w wyobraźni Lea, jak siedzi rozparty, zasuszony na ławce w parku, przyciskając kościstymi palcami do piersi brązową torbę, a pierwsze światło dnia rozlewa się wokół niego.

Zamknąłem drzwi na klucz i wróciłem do sklepu. Chłodny jest ten świat tam, na zewnątrz.

- ...rogi byka na malocchio - usłyszałem głos Vi-ca. - W porządku. Proszę bardzo. Do widzenia.

Podszedłem do drzwi frontowych. Zamknąłem je i zgasłem światło. W oknie umieściłem wywieszkę „Zamknięte”.

- O co chodzi? - spytał Vic.

- Odłącz telefon.

Zrobił to. Wtedy spytałem:

- Pamiętasz, jak opowiadałem ci o dawnych czasach?

- O tym, jak związał pan przeciwnika?

- Tak. I o tym, co było przedtem.

- Gdy on pana związał?

- Tak. Wiesz, już wkrótce jeden z nas zwycięży... ostatecznie.

- Do czego pan zmierza?

- On znów jest wolny i nadchodzi. I myślę, że jest bardzo silny. Możesz teraz odejść, jeśli chcesz.

- Żartuje pan? Wyszkoilił mnie pan. Zmierzę się z nim tym razem.

Potrząsnąłem głową.

- Nie jesteś gotów. Ale jeśli cokolwiek mi się przydarzy... jeśli przegram... wtedy ta praca jest twoja, jeśli będziesz ją chciał.

- Powiedziałem panu dawno temu, kiedy zacząłem pracować dla pana...

- Wiem. Ale nie opanowałeś jeszcze rzemiosła, a to nastąpiło wcześniej, niż się spodziewałem. Możesz się wycofać, muszę dać ci taką szansę.

- Cóż, nie wycofam się.

- W porządku, zostałeś ostrzeżony. Wyjmij z kontaktu wtyczkę dzbanka do kawy i wyłącz światła z tyłu, a ja zamknę w tym czasie kasę.

Gdy wyszedł, odniosłem wrażenie, że w pokoju zrobiło się trochę jaśniej, i spojrzałem w górę. Był to skutek przedostawania się rozproszonego światła księżycy przez gęstą ścianę mgły naciskającą na okna. Nie było jej tam kilka chwil wcześniej.

Policzyłem kwity i włożyłem pieniądze do torby. Wyjąłem taśmę.

Akurat gdy Vic wracał, rozległo się łomotanie do drzwi. Obaj spojrzeliśmy w tamtą stronę.

Była to bardzo młoda kobieta, jej długie, jasne włosy zwichrzył wiatr. Miała na sobie lekki trencz i oglądała się ciągle przez ramię, tłukąc pięścią w drzwi i w szybę.

- To pilne! - zawołała. - Widzę was! Proszę! Podeszliśmy do wejścia. Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi.

- O co chodzi? - spytałem.

Utkwiła we mnie wzrok. Nie zrobiła nic, by wejść do środka. Potem przeniosła spojrzenie na Vica i uśmiechnęła się lekko. Jej oczy były zielone, zęby miała wspaniałe.

- Pan jest właścicielem - powiedziała do mnie.

- Tak.

- A to...?

- Mój pomocnik Vic.

- Nie wiedzieliśmy, że ma pan pomocnika.
- Och - rzuciłem. - A pani jest...?
- Jego pomocnicą - odparła.
- Proszę mi przekazać wiadomość od niego.
- Mogę zrobić coś lepszego - odrzekła. - Jestem tutaj, żeby pana do niego zabrać.

Prawie się teraz śmiała, a jej spojrzenie było twardsze, niż myślałem na początku. Ale musiałem spróbować.

- Nie musisz mu służyć - powiedziałem. Nagle spoważniała.
- Nie rozumiesz - oznajmiła. - Nie mam wyboru. Nie wiesz, przed czym mnie ocalił.

Mam wobec niego dług.

- A on go odbierze i będzie chciał więcej. Możesz go zostawić.
- Jak powiedziałam, nie mam wyboru.
- Ależ masz. Możesz w jednej chwili z tym skończyć.
- Jak?

Wyciągnąłem dłoń, a ona popatrzyła na nią.

- Weź moją dłoń - powiedziałem.

Wciąż się w nią wpatrywała. Później, niemal bojaźliwie, podniosła swoją. Wolno sięgnęła ku mojej...

Potem zaśmiała się i cofnęła gwałtownie rękę.

- Prawie dałam się w to wciągnąć. To była hipnoza, prawda?
- Nie - powiedziałem.

- Cóż, nie nabierzesz mnie drugi raz. - Odwróciła się, a jej lewa ręka zakreśliła z tyłu szeroki łuk. Mgła rozstąpiła się, tworząc świetlisty tunel. - On oczekuje ciebie na drugim końcu.

- Może zatem poczekać jeszcze chwilę - powiedziałem. - Vic, zostań tutaj.

Odwróciłem się i przeszedłem przez sklep. Zatrzymałem się przed gablotą, która wisiała wysoko na ścianie. Przez chwilę po prostu się jej przyglądałem. Widziałem go tak wyraźnie, gdy lśnił tam, w ciemnościach. Potem podniosłem mały metalowy młotek, który wisiał na łańcuchu obok gabloty, i uderzyłem.

Szkoło się rozprysło. Uderzyłem jeszcze dwukrotnie i odłamki wciąż spadały na podłogę. Puściłem młotek. Odbił się kilka razy od ściany.

Wtedy ostrożnie wsunąłem rękę do środka i zacisnąłem dłoń na gardzie. Ogarnęło mnie znajome uczucie, którego się obawiałem. Ile to już czasu minęło...?

Wyjąłem go z gabloty i trzymałem wzniesiony przed sobą, a moja starożytna moc

wracała, ponownie mnie wypełniając. Miałem nadzieję, że ostatni raz naprawdę będzie ostatnim razem, ale takie rzeczy zwykle się przeciągają.

Kiedy wróciłem do przedniej części sklepu, oczy damy rozszerzyły się i cofnęła się o krok.

- W porządku, moja panno - powiedziałem. - Prowadź.

- Ma na imię Sabrina - powiedział Vic.

- Och? Czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Zostaniemy przeniesieni na cmentarz Wszystkich Świętych, po drugiej stronie rzeki.

Uśmiechnęła się do niego, a potem obróciła w stronę tunelu. Weszła do środka, ja zaś podążyłem za nią.

Czułem się tam jak na jednym z tych ruchomych chodników, jakie mają na większych lotniskach. Wiedziałem, że każdy krok przenosił mnie znacznie dalej niż o pojedyncze stąpienie. Sabrina kroczyła zdecydowanie naprzód, nie oglądając się za siebie. Usłyszałem, jak Vic, który szedł za mną, kaszlnął i dźwięk ten w znacznym stopniu stłumiły jaśniejące ściany; wyglądały prawie tak, jakby zrobiono je z plastiku.

Na końcu tunelu panowały ciemności i czekała tam jakaś postać, jeszcze nawet ciemniejsza.

W miejscu, w którym wyszliśmy, nie było mgły tylko jasne światło księżyca płynące z usianego gwiazdami nieba i na tyle silne, że za jego sprawą kamienie nagrobne i pomniki rzucały cienie. Jeden z nich padł między nas długą linią rozdzielającą nas ciemności na otwartym terenie, na którym staliśmy.

Nie zmienił się tak bardzo, jak ja zmieniłem się we własnym odczuciu. Wciąż był wyższy, szczuplejszy i przystojniejszy. Ruchem ręki nakazał Sabrinie stanąć na prawo. Ja także posłałem Vica na bok. Kiedy uśmiechnął się szeroko, jego zęby błysnęły, a potem podniósł swój miecz - tak czarny, że prawie nie było go widać w otaczającym go nikłym nimbie pomarańczowego światła - i pozdrowił mnie nim od niechcienia. Odwzajemniłem ten gest.

- Nie byłem pewien, czy przyjdiesz - powiedział. Wzruszyłem ramionami.

- Każde miejsce jest tak samo dobre - odparłem.

- Składam ci tę samą propozycję, jaką złożyłem wcześniej - stwierdził - aby uniknąć nieprzyjemności. Podzielone królestwo. Być może nie powinieneś sobie robić nadziei na nic lepszego.

- Nigdy - odpowiedziałem. Westchnął.

- Jesteś uparty.

- A ty wytrwały.

- Jeśli to zaleta, to przykro mi. Ale tak to już jest.

- Gdzie znalazłeś Sabrinę?

- W rynsztoku. Ma prawdziwy talent. Szybko się uczy. Widzę, że ty też masz teraz ucznia. Wiesz, co to znaczy?

- Tak, stajemy się starzy, za starzy na takie bzdury.

- Mógłbyś przejść na emeryturę, bracie.

- Tak samo ty. Zaśmiał się.

- I moglibyśmy obaj ramię w ramię odejść chwiejnym krokiem do tej specjalnej Walhalli zarezerwowanej dla takich jak my.

- Nie jest to najgorszy los, jaki mogę sobie wyobrazić - powiedziałem.

- Dobrze, miło mi to słyszeć. Myślę, iż to oznacza, że mięknie.

- Dowiemy się tego już wkrótce, jak sądzę. Szereg drobnych poruszeń przyciągnął mój wzrok i przyjrzałem się temu, co działo się za jego plecami. Postacie podobne do psów, nietoperzy i węży przybywały, sadowiły się, zajmowały dogodne miejsca; ta wielka masa otaczała nas ze wszystkich stron niczym widzowie schodzący się na stadion.

- Rozumiem, że czekamy, aż twoja widownia usiądzie - powiedziałem, a on znów się uśmiechnął.

- To także twoja widownia - odparł. - Kto wie, może nawet ty masz tam kilku fanów? Uśmiechnąłem się do niego.

- Jest późno - powiedział cicho.

- Północ już dawno wybiła.

- Czy oni naprawdę są tego warci? - spytał wtedy, a jego twarz przybrała nagle poważny wyraz.

- Tak - odpowiedziałem. Zaśmiał się.

- Oczywiście, musisz to powiedzieć.

- Oczywiście.

- Zacznijmy to już.

Uniósł ostrze ciemności wysoko nad głowę i nieziemska cisza ogarnęła ziemię.

- Astarotte, Belzebub, Asmodeusz, Belial, Lewiatan... - zaczął.

Podniosłem własną broń.

- Newton, Kartezjusz, Faraday, Maxwell, Fermi... - powiedziałem.

- Lucyfer Rofocale - zaintonował - Hekate, Behemot, Put Satanas, Ariaston...

- Da Vinci, Michał Anioł, Rodin, Maillol, Moore... - ciągnąłem.

Świat zdawał się wirować wokół nas, a to miejsce znalazło się nagle poza czasem i przestrzenią.

- Mefistofeles! - zawołał. - Legion! Lilith! Janoda! Eblis!

- Homer, Wergiliusz, Dante, Szekspir, Cervantes - mówiłem dalej.

Uderzył, a ja odparowałem ten cios i wymierzyłem własny, który z kolei również został sparowany. Wciąż śpiewał monotonie i jego atak nabrał tempa. Ja też przyspieszyłem.

Po pierwszych kilku minutach stwierdziłem, że nasze siły są wciąż dość wyrównane. Znaczyło to, że sprawa będzie się ciągnąć i ciągnąć. Spróbowałem pewnych sztuczek, o których niemal zapomniałem. Ale on je pamiętał. Miał także kilka własnych, ale coś we mnie również je sobie przypomniało.

Zaczęliśmy się poruszać jeszcze szybciej.

Zdawało się, że uderzenia nadchodzą ze wszystkich kierunków, ale mój miecz był tam, gotowy na nie, gdy spadały. Jego dokonywał w jakiś sposób tego samego. Stało się to tańcem w klatce z przesuwającego się metalu, rzędy błyszczących oczu wpatrywały się w nas przez pole umarłych. Vic i Sabrina stali obok siebie, ale zdawali się zapominać o sobie, skupiając uwagę na walce.

Z niechęcią mówię, że było to radosne, ale tak było. Wreszcie stanąć raz jeszcze twarzą w twarz z wcieleniem wszystkiego, z czym przez lata walczyłem. Całkowite zwycięstwo oddalone było nagle tylko o jedno cięcie, jeśli tylko właściwe cięcie udałoby się odnaleźć...

Podwoiłem wysiłki i nawet odrzuciłem go o kilka kroków. Ale szybko odrobił straty i później już nie ustępował. Westchnienie wzniosło się spoza pomników.

- Wciąż umiesz mnie zaskoczyć - wymruczał przez zaciśnięte zęby, przeprowadzając w odpowiedzi śmiertelny atak. - Kiedy to się wreszcie skończy?

- Jak legenda ma to wiedzieć? - odpowiedziałem, ustępując i znów uderzając.

Miecze żywiły nas siłami, których przedstawicielami staliśmy się z biegiem czasu, więc walczyliśmy dalej i dalej.

Był blisko, bardzo blisko, kilka razy. Zawsze jednak potrafiłem wywinąć się w ostatniej chwili i przeprowadzić kontratak. Dwukrotnie myślałem, że go mam, ale dwukrotnie uchylał się, unikając o włos cięcia, i nacierał ze świeżą siłą.

Zaklął, zaśmiał się, a ja prawdopodobnie zrobiłem to samo. Księżyc zniżył się i iskierki rosy ukazały się na trawie. Stworzenia czasami się przemieszczały, ale ani na chwilę nie spuszczały nas z oczu. Vic i Sabrina, nie patrząc na siebie, przeprowadzili szeptem kilka rozmów.

Zamachnąłem się i wymierzyłem cios mający obciąć mu głowę, lecz on go sparował i skierował szybkie pchnięcie ku mojej piersi. Zatrzymałem je i spróbowałem dosięgnąć jego piersi, ale sparował...

Zawiał wietrzyk i pot na moich brwiach wydał się nagle zimniejszy. Poślizgnąłem się na wilgotnej ziemi, on jednak nie zdołał wykorzystać tej utraty równowagi. Czy zaczął się w końcu męczyć?

Spróbowałem natrzeć na niego raz jeszcze i zdało mi się, że jest trochę wolniejszy. Czy zyskiwałem teraz przewagę, czy też była to z jego strony sztuczka, która miała mnie uśpić?

Naciąłem mu biceps. Najłżejsze trafienie. Zadrapanie. Żadne tam prawdziwe zranienie, ale poczułem, że nabieram pewności siebie. Spróbowałem znów, wkładając w ten wybuch entuzjazmu całą moją szybkość.

Jaskrawa linia przecięła przód jego koszuli.

Zaklął znowu i zamachnął się dziko. Gdy to parowałem, zdałem sobie sprawę, że niebo jaśniej na wschodzie. Musiałem się spieszyć. Są reguły, którym nawet my musimy się podporządkować.

Obracając się, przeprowadziłem najbardziej wyszukany do tej pory atak, ale zdołał mnie powstrzymać. Spróbowałem jeszcze raz, i jeszcze. Za każdym razem zdawał się słabszy, a przy ostatnim ataku widziałem ból na jego twarzy. Zniecierpliwienie ogarnęło wtedy naszą publiczność i poczułem, że ostatnie ziarenka piasku miały właśnie przesytać się w klepsydrze.

Uderzyłem znowu i tym razem zraniłem go poważnie. Poczułem, jak krawędź mojej broni zgrzyta o kość, gdy zagłębiła się w jego lewym barku.

Zawył i opadł na kolana, gdy wyciągałem miecz, żeby zadać śmiertelny cios.

Gdzieś daleko zakrakał kruk i usłyszałem, jak się śmieje.

- Blisko, bracie! Blisko! Ale nie dość dobrze - powiedział. - Sabrina! Do mnie! Już!

Zrobiła krok w jego kierunku, obróciła się ku Vicowi, potem znów ku mojemu pokonanemu nieubłaganemu sędziemu. Podbiegła do niego i objęła go, gdy zaczął znikać.

- Aufwiedersehen! - zawołał do mnie i oboje przepadli.

Wtedy z wielkim szumem i poruszeniem, niczym rozwiewane liście, nasza publiczność oddaliła się, trzepocząc na niebie, mknąc po ziemi, wślizgując się do dziur, podczas gdy słońce wcinano się ponad horyzont.

Oparłem się na mieczu. Zaraz potem podszedł do mnie Vic.

- Czy jeszcze kiedyś ich zobaczymy? - spytał.

- Oczywiście.

Zacząłem iść ku czemuś, co wydawało mi się odległą bramą.

- I co teraz? - spytał.

- Ja idę do domu i chcę się tego dnia dobrze wyspać - powiedziałem. - Być może zrobię sobie nawet mały urlop. Interesy będą szły kiepsko przez jakiś czas.

Przeszliśmy przez poświęconą ziemię i znaleźliśmy się w bocznej uliczce.



## KONIEC WYPRAWY

*Naprawdę nie mam ochoty umieszczać cytatów z „The Masks of God”, Hamlet’s Mili, „The Golden Bough” i „Beyond the Pleasure Principle” we wstępie do opowiadania mającego tylko trochę ponad tysiąc słów. Jeśli jednak książka jest maszyną do myślenia, to powyższe tytuły są niektórymi z maszyn pracujących ciągle na zapleczu fabryki mojego intelektu i w tym lub innym czasie wszystko przez nie przechodzi. Pewne rzeczy zostają zmielone tak, że nic z nich nie zostaje, inne zatrzymują się między kołami zębatymi, jeszcze inne zostają przerobione na takie właśnie opowiadania.*

Dokonałem dzieła. I dokonałem go całkiem zreźnie, mógłbym dodać.

Książniczka leży martwa na podłodze mojej jaskini wśród porzucanych kości bohaterów wielu stuleci, czarnoksiężników, książąt, książniczek, karłów i elfów oraz fragmentów dziewięciu połamanych mieczy oddanych swojemu zadaniu - jeszcze jedno możliwe królowanie słodyczy i radości, które ukróciłem, nim jego pączek mógł się rozwinąć.

Przejeżdżam pilnikami języka po moich kłach, delektując się cierpkim smakiem.

Ostatni bohater leży skrecony pod nieprawdopodobnym kątem w kącie, jego magiczne ostrze jest strzaskane. Był dziesiątym i ostatnim członkiem tego złego rodu biegłego w przeszywaniu, rodu wykutego dawno temu przez pachółków Słońca do rozprawy z moim panem i z takimi jak ja, którzy mu służą. Jakie to zachwycające! Pierścień, którego strzegę, leży w ozdobionej klejnotami beczulce w niszy za moim grzbietem.

Kawałki ich wiernego towarzysza, karła, są rozrzucone wzdłuż przejścia. Widzę drobną dłoń, która ciągle trzyma siekiere. Czy mały człowieczek naprawdę myślał, że może mnie dosięgnąć albo zrobić mi krzywdę tą żalosną bronią?

Tylko stary czarnoksiężnik wciąż oddycha. Ale roztrzaskałem jego laskę i rozrzuciłem jego moc pośród dróg ciemności. Darowałem mu jeszcze kilka chwil, abym mógł z niego kpić i zobaczyć, jak umiera, przeklinając moce, którym służył.

- Czy słyszysz mnie, Lortanie? - pytam.

- Tak, Bactorze - odpowiada słabo z miejsca, w którym upadł. Jego plecy są oparte o ścianę po mojej lewej, jego nogi rozrzucone pod niedorzecznymi kątami. Potem pyta: - Dlaczego wciąż żyję?

- Byś dostarczył mi na koniec odrobinę zabawy, ty, który nosisz w sobie Światło. Jeśli

przeklniesz wszystko, co dobre, piękne, prawdziwe i szlachetne, sprawię, że twoja śmierć będzie szybka.

- Nie, dziękuję - odpowiada.

- Dlaczego nie? Nie udało ci się, tak jak tym dziewięciu przed tobą. Byłeś ostatni. To skończone. Dobrzy faceci przegrywają zero do dziesięciu. - Nie odpowiada, więc prowokuję go dalej: - A wasz bohater: Eryk Szerokie Bary, czy jak go tam nazywacie, nawet mnie nie tknął tą bronią. Ten ostatni przynajmniej ciął mnie raz dobrze przez bark, zanim go rozszarpałem.

- Byliśmy najgorsi z całej gromady, z którą miałeś do czynienia? - pyta.

- Och, tak daleko bym się nie posunął - mówię. - Ale raczej nie byliście najlepsi.

- Dogodź pokonanemu starcowi i powiedz mi. Kto był najlepszy?

Chichoczę.

- Łatwa sprawa - odpowiadam. - Gloring z Drugiego Królestwa. Był tak bliski zabicia mnie, że było to piękne. Łuk jego miecza, Dammera, spadł jak piorun z niebios. Mięśnie jego ramion falowały jak morskie pływy. Jego wysiłki sprawiały, że lśnił się od potu. Przeklinał mnie tak cudownie, było to jak poemat. Stałem osłupiały. Ledwie, tylko ledwie go powstrzymałem i bardziej potrzebna była do tego cała moja czarna magia niż siła mojego ciała. Zaprawdę, to Gloring i Dammerung byli najwspanialszy.

- Niestety, biedny Eryk nie mógł dokonać znaczniejszego czynu.

- Nie. Ani żaden z tych, z którymi się zmierzyłem. A teraz panowanie mojego pana, Glauma, nigdy się nie skończy, gdyż Ciemność pokonała Światło. Nie ma już kto powstać przeciw nam.

- Powiedz mi, który to miecz Dammer wśród połamanej broni, jaką widzę na podłodze, i gdzie leżą kości Gloringa, bym mógł zobaczyć, gdzie upadła nasza największa nadzieja.

- Za dużo gadasz, starcze. Czas już kończyć tę rozmowę.

- Jednak pośród tych spustoszeń widzę tylko dziewięć rąkojeści.

Wyciągam pazury i staję na tylnych łapach, by go uderzyć. Ale on powstrzymuje mnie - nie za pomocą magii, lecz pojedynczego stwierdzenia:

- Jeszcze nie zwyciężyłeś.

- Jak możesz tak mówić, skoro jesteś ostatni?

- Kłamałeś - mówi dalej - kiedy rzekłeś, że panowanie twojego pana nigdy się nie skończy, że Ciemność pokonała Światło. Nie widzisz własnej słabości.

- Nie mam słabości, czarnoksiężniku. - Przez mrok widzę jego uśmiech. - Zgoda -

rzucam wtedy. - Nie musisz przeklinać dobra, prawdy, piękna i szlachetności, żeby w zamian otrzymać szybką śmierć. Opowiedz mi tylko o słabości, którą widzisz.

- Zawsze uważałem, że korzyści z szybkiej śmierci są niezbyt istotne - odpowiada.

- Powiedz mi, bym mógł zapobiec jej wykorzystaniu.

Zuchwały starzec ma czelność się śmiać. Postanawiam, że jego śmierć będzie powolna bez względu na to, co zrobi.

- Powiem ci, a ty nadal nie będziesz mógł się przed tym uchronić. Widzę teraz, że umrzesz, gdy poznasz miłość.

Tupię nogą i ryczę.

- Miłość? Miłość? Twój umysł jest w równie kiepskim stanie jak cała reszta, jeśli oskarżasz mnie o tak obrzydliwą słabość! Miłość!

Mój śmiech rozbrzmiewa w jaskini, kiedy pozbawiam go głowy i toczę ją z powrotem wzdłuż przejścia, trzymając za brodę. Boki mnie bołą od śmiechu.

Po jakimś czasie podnoszę czyjaś nogę i zaczynam ją żuć. Raczej twarda. Musiała należeć do tego bohatera.

Mój pan, Glaum, od zawsze i na zawsze władca świata, wchodzi tego wieczoru w swoim splugawionym stroju Światła, by podziwiać moje dzieło, by pogratulować mi wieków dobrze spędzonych. W nagrodę za wierną służbę daje mi złoty zegarek misternej roboty, na którym wygrawerowane jest moje imię.

- Bactorze, mój kochany - pyta po jakimś czasie - dlaczego widzę szczątki tylko dziewięciu mieczy Światła, skoro wszyscy bohaterowie padli?

Chichoczę.

- Jest ich tu tylko dziewięć - wyjaśniam. - Ostatni jest w tamtym bocznym korytarzu. Ten bohater wszedł innym wejściem niż pozostali i powstrzymałem go tam. To był spryciarz.

- Chciałbym to ujrzeć na własne oczy.

- Oczywiście, mój panie. Idź za mną. - Prowadzę go korytarzem. Słyszę, jak wciąga powietrze, gdy zatrzymuję się przed niszą.

- Ten jest cały! - syczy. - Człowiek stoi nie naruszony, miecz nie jest złamany.

Znów się śmieję.

- Ale jest nieszkodliwy, panie. Teraz i na zawsze. Tego obezwładniłem za pomocą magii, nie rozrywałem go siłą mego ciała. Czasem przychodzę tutaj, żeby go podziwiać. Jest najlepszy. Był bardzo bliski zniszczenia mnie.

- Głupcze! - krzyczy. - Zakłęcie można zdjąć! I widzę, że są to Gloring i Dammerung! Musimy z nimi skończyć, żeby zapewnić sobie triumf!

Sięga do pokrowca przy pasie po różdżkę śmierci.

Odwracam się znów i spoglądam na czubek ostrza, które wstrzymałem o cal od mej piersi, kiedy zakłęcie zmroziło wszelki ruch i uczyniło z jego uśmiechniętego szeroko właściciela pomnik sądu i egzekucji na zawsze odroczonej. Ostrze Dammerunga jest cieńsze niż krawędź jakiegokolwiek liścia, jego szpica to punkt, w którym materia zbliża się do nieskończoności tak bardzo, jak to tylko możliwe...

Słyszę mojego pana:

- Odsuń się, Bactorze.

I słyszę inny głos - mój - wykrzykujący słowa, które zdejmują zakłęcie. Rozkoszne pchnięcie dosięga celu, po tysiącach lat zwłoki.

Potem miecz wyslizguje się ze mnie w fontannie soków mojego ciała i padam do tyłu.

Gdy piękny przedmiot, ociekając mym życiem, obrócony zostaje przeciw Glaumowi, spoglądam na tego, który nim włada, na biel jego przepięknej twarzy, na jego zęby zaciśnięte w szerokim uśmiechu...

## 24 WIDOKI GÓRY FUDŹI HOKUSAIA

*Pamiętam, że w jednym z listów do mojego przyjaciela Carla Yoke'a wspominałem coś o wyglądzie gór za moim domem i o tym, iż dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że obserwowanie ich zmieniającego się wyglądu o każdej porze roku, każdego dnia - tak naprawdę za każdym razem, kiedy na nie patrzę - miało dużo wspólnego z tym opowiadaniem; a to, że w tym czasie natknąłem się na książkę z drzeworytami Ho-kusaia, co wspomniane jest w tej opowieści, było tylko bezpośrednią przyczyną jego napisania. Bez moich gór nie byłoby rozmyślań, opowiadania, nagrody Hugo (tę przyjęła Shawna McCarthy, a przywiózł ją do Nowego Meksyku i dostarczył mi Parris - dzięki, Shawna; dzięki, Parris). Nie mogę wymienić tutaj wszystkich pomniejszych karni, które się do tego przyczyniły. Wszystko zaczęło się od gór. A gdyby nie było ognia Fudzi, który jest dopełnieniem mrozu z mojego pierwszego opowiadania, musiałbym szukać innego tytułu dla tej książki. Dziękuję, Termodynamiko.*

### 1. Widok góry Fudzi z Owari

Kit żyje, chociaż jest pochowany niedaleko stąd, a ja jestem martwa, chociaż patrzę u schyłku dnia na lekkie, różowawe pasy chmur ponad górą w oddali; drzewo na pierwszym planie zapewnia odpowiedni kontrast. Stary bednarz obrócił się w proch, to samo stało się też z jego beczką, jak przypuszczam. Kit powiedział, że mnie kocha, i ja powiedziałam, że go kocham. Oboje mówiliśmy prawdę. Ale miłość może oznaczać wiele rzeczy. Może być narzędziem agresji albo mieć związek z chorobą.

Mam na imię Mari. Nie wiem, czy moje życie dopasuje się do kształtów, którym wyruszam na spotkanie podczas tej pielgrzymki. I czy dopasuje się do nich śmierć. To nie dlatego, że taki porządek mi odpowiada. Tak więc zacznij gdziekolwiek. Ruch po okręgu w którąkolwiek stronę - tak jak obręcz tej zaginionej beczki - powinien prowadzić do tego samego miejsca. Przybyłam, by zabić. Noszę ukrytą śmierć, by rzucić ją przeciw tajemnemu życiu. Obie rzeczy są nie do zniesienia. Porównałam ich znaczenie. Gdyby mnie to nie dotyczyło, nie wiem, co bym wybrała. Ale jestem tutaj, ja, Mari, i podążam za magicznymi krokami. Każda chwila jest całością, chociaż każda wymaga swej przeszłości. Nie rozumiem

przyczyn, tylko ciągi zdarzeń. I dawno już zmęczyły mnie gry polegające na wywracaniu rzeczywistości do góry nogami. Wszystko będzie musiało stawać się przejrzystsze przy kolejnych warstwach mojej podróży i na podobieństwo delikatnej gry światła na mojej magicznej górze wszystko musi ulec zmianie. Muszę umrzeć trochę i żyć trochę w każdej chwili.

Zaczynam tutaj, ponieważ niedaleko stąd mieszkaliśmy. Odwiedziłam tamto miejsce wcześniej. Oczywiście się zmieniło. Przypominam sobie jego rękę na moim ramieniu, jego uśmiechniętą kiedyś twarz, jego stosy książek, zimne, płaskie oko jego terminalu komputerowego, znów jego ręce, ułożone do medytacji, jego inny wtedy uśmiech. Odległy i bliski. Jego ręce, na mnie. Potęga jego programów, łamiących, tworzących kody. Jego ręce. Śmiertelne. Kto by pomyślał, że wyrzeknie się tych szybko uderzających broni, delikatnych przyrządów, które wykrecały ciała? Albo mnie? Ścieżki... Ręce...

Wróciłam. To wszystko. Nie wiem, czy to wystarcza.

Stary bednarz w obręczy swej pracy... Na wpół pełny, na wpół pusty, na wpół aktywny, na wpół pasywny... Czy zrobię yin-yang z tego sławnego drzeworytu? Czy pozwolę mu przedstawiać Kita i mnie? Czy będę go widzieć jako wielkie Zero? Albo jako nieskończoność? A może to wszystko jest zbyt oczywiste? Jedna z tych uwag, których najlepiej nie wypowiadać? Nie zawsze jestem subtelna. Niech sobie stoi. Fudzi znajduje się w jej obrębie. Czyż to nie na Fudzi trzeba się wspiąć, by wytłumaczyć się ze swojego życia przed Bogiem albo bogami?

Nie zamierzam wspinać się na Fudzi ani się tłumaczyć - przed Bogiem lub przed czymkolwiek innym. Tylko niepewni i niezdecydowani potrzebują usprawiedliwień. Ja robię to, co muszę. Jeśli bóstwa mają jakieś pytania, mogą zejść z Fudzi i spytać mnie. Dopóki tego nie zrobią, nie będziemy ze sobą bliżej niż teraz. To, co transcendentne, powinno się podziwiać z daleka.

To prawda. Właśnie ja powinnam to wiedzieć. Ja, która posmakowałam transcendencji. Wiem też, że śmierć jest jedynym bogiem, który przychodzi, kiedy go wezwiesz.

Tradycja wymaga, by henro - pielgrzym - ubrany był w całości na biało. W białym nie jest mi do twarzy, a moja pielgrzymka to sprawa prywatna, tajemna, dopóki uda mi się zachować ją w sekrecie. Dzisiaj mam na sobie czerwoną bluzkę, lekką kurtkę, spodnie w kolorze khaki oraz mocne skórzane buty do wędrowania; związałam włosy; w plecaku trzymam moje rzeczy. Rzeczywiście jednak niosę kij, częściowo po to, aby wesprzeć się na nim, czego od czasu do czasu potrzebuję; częściowo także jako broń, gdyby zaszła taka

potrzeba. Sprawnie posługuję się nim w obydwu tych przypadkach. Mówi się również, że laska ma symbolizować wiarę w skuteczność pielgrzymki. Zbyt trudno jest mi uwierzyć. Zadowolę się nadzieją.

W kieszeni kurtki mam małą książkę z reprodukcjami dwudziestu czterech spośród czterdziestu sześciu drzeworytów Hokusai przedstawiających górę Fudzi. Dostałam ją w prezencie, dawno temu. Tradycja sprzeciwia się też temu, by pielgrzym podróżował samotnie - chodzi tu o praktyczne względy bezpieczeństwa, a także o towarzystwo. Duch Hokusai jest zatem moim towarzyszem, zapewne przebywa bowiem w miejscach, które chcę odwiedzić, o ile mieszka gdziekolwiek. Nie ma innego towarzysza, którego pragnęłabym mieć w tej chwili, a czymże jest japońska sztuka bez ducha?

Przyjrawszy się tej scenie, pomyślawszy to, co pomyślałam, odczuwszy to, co odczułam, ruszyłam w drogę. Żyłam trochę, umarłam trochę. Nie przebędę całej drogi pieszo. Ale dużą jej część tak. Są pewne rzeczy, których muszę unikać podczas tej podróży pełnej powitań i pożegnań. Prostota jest moim płaszczem ciemności i być może wędrówka ta dobrze mi zrobi.

Muszę uważać na zdrowie.

## **2. Widok góry Fudzi z pawilonu herbacianego w Joshida**

Oglądam uważnie drzeworyt: łagodny błękit nieba o świcie, Fudzi z lewej, widziana za oknem herbaciarni przez dwie kobiety; inne wygięte, drzemiące postaci są niczym lalki na półce...

Teraz już tak tu nie jest. Odeszli, tak jak bednarz: ludzie, pawilon herbaciany, tamten świt. Góra i drzeworyt są jedynymi pozostałościami tej chwili. Ale to wystarcza.

Siedzę w jadalni schroniska, w którym spędziłam noc, zjadłam już śniadanie, stoi przede mną dzbanek z herbatą. Inni ludzie jedzą teraz, lecz nikt nie siedzi blisko mnie. Wybrałam ten stolik, gdyż widok za oknem przypomina ten z drzeworytu. Hokusai, mój cichy towarzysz, być może się uśmiecha. Pogoda była wystarczająco łaskawa, bym znów obozowała pod gołym niebem ostatniej nocy, ale jestem śmiertelnie poważna podczas mojej pielgrzymki do nie istniejących już scen, w tej podróży w sprawach życia i śmierci, w jaką wyruszyłam. Częściowo chodzi w niej o poszukiwanie, częściowo zaś o czekanie. Jest całkiem prawdopodobne, że podróż może się w każdej chwili skrócić. Mam nadzieję, że tak się nie stanie, ale wzory życia rzadko były zgodne z moimi nadziejami - czy też, jeśli już o

tym mowa, z logiką, pragnieniem, pustką albo jakimikolwiek moimi wzorami, z którymi je porównywałam.

To w ogóle nie jest odpowiednie nastawienie ani zajęcie na początek dnia. Wypiję herbatę i popatrzę na górę. Niebo zmienia się nawet teraz, gdy patrzę...

Zmiany... Muszę zachować ostrożność, gdy będę opuszczać to miejsce. Są okolice, których trzeba unikać, środki zaradcze, które trzeba przedsięwziąć. Opracowałam wszystkie ruchy - najpierw odstawię filiżankę, potem wstanę, obrócę się, zabiorę mój ekwipunek, wyruszę - do chwili, gdy znajdę się z powrotem na otwartym terenie. Muszę wciąż tworzyć wzory, bo świat jest osią liczbową, w każdym miejscu gęstą. Ryzykuję trochę, będąc tutaj.

Po wczorajszej całodzienniej wędrówce nie jestem tak zmęczona, jak się spodziewałam, i uznaję to za dobry znak. Próbowałam utrzymać dobrą kondycję, na przekór wszystkiemu. Po mojej prawej wisi na ścianie zwój przedstawiający tygrysa i jego także chcę uważać za dobry omen. Urodziłam się w Roku Tygrysa i siła oraz ciche ruchy wielkiego przegowanego kota są tym, czego potrzebuję najbardziej. Twoje zdrowie, Shere Khanie, kocie, który chadza własnymi drogami. Musimy być twardzi w odpowiednim czasie, delikatni we właściwym momencie... Wybór odpowiedniej chwili.

Łączyła nas, Kita i mnie, prawie telepatyczna więź, od tego trzeba zacząć. Przyciągała nas do siebie, umacniała się w miarę upływu spędzonych razem lat. Empatia, bliskość, medytacja... Miłość? A zatem miłość może być bronią. Pozwól wirować jej monecie, a upadnie tak, że yang będzie u góry.

Płoń jasno, Shere Khanie, w dżungli serca. Tym razem my jesteśmy myśliwym. Wybór odpowiedniej chwili jest wszystkim - i suki, okazja...

Patrzę na przemiany nieba, aż osiąga ono jednolitą jasność i tak już zostaje. Kończę herbatę. Wstaję i idę po moje rzeczy, zarzucam na ramiona plecak, biorę laskę. Ruszam w stronę krótkiego przedsionka, który prowadzi do bocznych drzwi.

- Proszę pani! Proszę pani!

Jest to jeden z pracowników, niski mężczyzna; widać, że jest zaskoczony.

- Tak?

Wskazuje ruchem głowy mój plecak.

- Opuszcza nas pani?

- Tak.

- Nie wymeldowała się pani.

- Zostawiłam zapłatę za pokój w kopercie na szafce. Jest na niej napisane „kasjer”.

Wczoraj wieczorem dowiedziałam się, jaka jest właściwa suma.



- Musi się pani wymeldować w recepcji.

- Nie meldowałam się w recepcji. Nie będę się wymeldowywać w recepcji. Jeśli pan chce, pójdę z panem z powrotem do pokoju i pokażę, gdzie zostawiłam zapłatę.

- Przykro mi, ale trzeba to zrobić u kasjerki.

- Mnie też jest przykro, ale zostawiłam zapłatę i nie pójdę do recepcji.

- To wbrew przepisom. Będę musiał wezwać kierownika.

Wzdycham.

- Nie - mówię. - Nie chcę tego. Pójdę do holu i poradzę sobie z wymeldowaniem tak samo, jak dałam sobie radę z zameldowaniem.

Wracam tą samą drogą. Skręcam w lewo w stronę holu.

- Pani pieniądze. Jeśli zostawiła je pani w pokoju, musi je pani zabrać i przynieść - mówi.

Kręcę głową.

- Zostawiłam także klucz.

Wchodzę do holu. Idę w stronę krzesła stojącego w rogu najbardziej oddalonym od recepcji. Siadam. Niski mężczyzna przyszedł tam za mną.

- Czy zechciałby pan powiedzieć w recepcji, że chcę się wymeldować?

- Numer pani pokoju...?

- Siedemnaście.

Kłania się nieznacznie i podchodzi do lady. Rozmawia z jakąś kobietą, a ta spogląda na mnie kilka razy. Nie słyszę ich słów. Wreszcie mężczyzna bierze od niej klucz; i odchodzi. Kobieta uśmiecha się do mnie.

- On przyniesie klucz i pieniądze z pani pokoju - mówi. - Czy podobało się pani u nas?

- Tak - odpowiadam. - Jeżeli sprawa jest załatwiona, to już pójdę.

Zaczynam wstawać.

- Proszę zaczekać, aż skończę papierkową robotę i dam pani rachunek - mówi ona.

- Nie chcę rachunku.

- Przepisy wymagają, bym go pani dała.

Siadam znowu. Trzymam laskę między kolanami. Ściskam ją obiema rękami. Jeśli spróbuję teraz wyjść, ona prawdopodobnie wezwie kierownika. Nie chcę jeszcze bardziej zwracać na siebie uwagi. Czekam. Kontroluję oddech. Oczyszczam umysł.

Po pewnym czasie mężczyzna wraca. Wręcza jej klucz i kopertę. Ona przerzuca papiery. Wkłada formularz do maszyny. Krótko stukoczą klawisze. Wyjmuje formularz i przygląda niu się. Liczy pieniądze w kopercie.

- Ma pani dokładnie odliczoną kwotę, pani Smith. Oto pani rachunek.

Odrywa z rachunku górny arkusz. W powietrzu daje się wyczuć coś dziwnego, jakby zaledwie przed sekundą uderzył tutaj piorun. Szybko wstaje.

- Proszę mi powiedzieć, czy to jest prywatna firma, czy część sieci?

Idę już wtedy przed siebie, bo znam odpowiedź, nim ona to powie. Odczucie jest intensywniejsze, dotyczy określonego miejsca.

- Jesteśmy częścią sieci - odpowiada, rozglądając się niespokojnie.

- Z centralną księgowością?

- Tak.

Za tym szczególnym miejscem, w którym zmysły łączą się, by opisać rzeczywistość, widzę sylwetkę podobnego do nietoperza epigona, która kształtuje się obok niej. Ona czuje już jego obecność, lecz tego nie rozumie. Moim sposobem jest om chi uch, jak mówią Chińczycy: natychmiastowe działanie, bez myślenia czy wahania. Wyciągam rękę w stronę blatu, kładę na nim pod odpowiednim kątem moją laskę, pochylam się, jakbym chciała wziąć rachunek, i trącam łokciem laskę, tak że ześlizguje się i spada po drugiej stronie blatu, a jej mały metalowy koniuszek opiera się o obudowę terminalu komputerowego. Natychmiast gasną górne światła. Epigon upada i znika.

- Awaria zasilania - zauważam, podnosząc laskę i odchodząc. - Do widzenia.

Słyszę, jak woła do chłopca hotelowego, żeby sprawdził skrzynkę z bezpiecznikami.

Wychodzę z holu i idę do toalety, gdzie biorę tabletkę, tak na wszelki wypadek. Potem wracam do krótkiego korytarza i opuszczam budynek. Przypuszczałam, że wcześniej czy później to się zdarzy, więc poczyniłam pewne przygotowania. Tym razem mikropołączenia w mojej lasce wystarczyły, chociaż wołałabym, by zdarzyło się to później; być może skorzystam na tym, że przytrafiło mi się to właśnie teraz. Mam w sobie więcej życia, więcej rzeczy dostrzegam wokół po tym pokazie niebezpieczeństwa. To uczucie, ta wiedza przydadzą mi się.

A on mnie nie dosięgnął. Niczego nie dokonał. Zasadnicza sytuacja nie uległa zmianie. Jestem szczęśliwa, że skorzystałam, zapłaciwszy tak niską cenę.

A jednak pragnę być daleko stąd, na wsi, gdzie ja jestem silna, a on słaby.

Wchodzę w nowy dzień, fragment mojego życia zostaje na górze, takiej jaka była w porze śniadania.

### **3. Widok góry Fudzi z Hodogai**

Znajduję miejsce z wykreconymi sosnami przy Tokaido i zatrzymuję się, by popatrzeć przez nie na Fudzi. Podróżni, którzy mijają mnie w pierwszej godzinie mojego czuwania, nie wyglądają jak ci u Hokusaia, ale to nieważne. Koń, lektyka, niebieskie ubiory, duże kapelusze - odeszły w przeszłość, podróżują teraz bez końca na drzeworycie. Kupiec czy szlachcic, złodziej czy służący - postanawiam traktować ich jako pielgrzymów takiego czy innego rodzaju, nawet jeśli jest to tylko pielgrzymka ku życiu, przez życie i poza życie. Moja chorowitość, muszę to wyjaśnić, jest wytłumaczalna, jako że przez cały czas potrzebuję dodatkowych dawek lekarstwa. Teraz jednak czuję się dobrze i nie wiem, czy to lekarstwo, czy może medytacja odpowiada za to, że lepiej dostrzegam subtelności światła. Wydaje się niemal, że Fudzi przesuwa się, kiedy się jej przyglądam.

Pielgrzymi... Przypominam sobie o wędrownikach Matsuo Basho, który powiedział, że wszyscy jesteśmy podróżnikami w każdej minucie naszego życia. Przypominam sobie też jego rozmyślenia na temat lagun w Matsushimie i Kisagacie: pierwsza obdarzona jest pięknem radosnym, druga pięknem twarzy we łzach. Myślę o cerze i wyrazach twarzy Fudzi i jestem zakłopotana. Smutek? Pokuta? Radość? Zachwyt? Zlewają się i przesuwiają. Brakuje mi geniuszu Basho, bym mogła uchwycić je wszystkie w jednym znaku. A nawet on... Nie wiem. Rozmawiają ze sobą pokrewne dusze, lecz mowa musi przebyć otchłań. Fascynacja zawsze łączy się z pewnym brakiem zrozumienia. Na razie patrzenie wystarcza.

Pielgrzymi... Gdy wpatruję się w drzeworyt, myślę również o Chaucerze. Jego wędrowcy dobrze się bawili. Opowiadali sobie sprośne historyjki, romanse i opowieści z morałem. Jedli, pili i żartowali z siebie. Canterbury było ich Fudzi. Przyjęcie trwało przez całą drogę. Książka kończy się, nim docierają do celu. Słusznie.

Nie jestem suką bez poczucia humoru. Być może Fudzi w gruncie rzeczy śmieje się ze mnie. Jeśli tak, bardzo chciałabym się do tego śmiechu przyłączyć. Naprawdę nie lubię takich nastrojów, więc odrobina medytacji interruptus byłaby mile widziana, gdyby tylko pokazał się odpowiedni obiekt. Poważniejsze tajemnice życia nie mogą się poruszać na najwyższych obrotach przez cały czas. Jeśli one mogą sobie zrobić przerwę, ja też jej chcę. Być może jutro...

Cholera! Muszą istnieć przynajmniej podejrzenia, że tu jestem, inaczej epigon by się nie pojawił. A jednak byłam bardzo uważna. Podejrzenie to nie to samo co pewność, a jestem przekonana, że zareagowałam wystarczająco szybko, by nie dopuścić do jego potwierdzenia. Obecnie nie można mnie osiągnąć ani się o mnie dowiedzieć. Schroniłam się w sztuce Hokusaia.

Mogłam przeżyć resztę moich dni na spokojnym wybrzeżu Oregonu. To miejsce nie było pozbawione zalet. Ale chyba to Rilke powiedział, iż życie jest grą, do której musimy przystąpić, nim poznamy jej reguły. Czy kiedykolwiek je sobie przyswajamy? Czy reguły naprawdę istnieją?

Być może czytuję zbyt wielu poetów.

Jednak coś, co wydaje mi się regułą, wymaga, bym podjęła ten wysiłek. Sprawiedliwość, obowiązek, zemsta, obrona - czy muszę rozpatrywać każdą z tych rzeczy i określać, w ilu procentach to właśnie ona mną kieruje? Jestem tutaj, ponieważ tu jestem, ponieważ przestrzegam reguł -jakiegokolwiek mogą być. Moje pojmowanie ogranicza się do ciągów.

Z nim tak nie jest. On zawsze potrafił dokonać intuicyjnego przeskoku. Kit był uczonym, naukowcem, poetą. Tyle bogactwa. Jestem mniej warta pod każdym względem.

Kokuzo, strażniku urodzonych w Roku Tygrysa, rozprosz ten nastrój. Nie chcę go. To nie ja. Niech to będzie podrażnienie starych ran, nawet odnowienie demielinizacji. Ale nie pozwól, bym to była ja. I skończ z tym prędko. Jestem zniechęcona, i nie bez przyczyny. Daj mi siłę, bym mogła odsunąć od siebie smutki, Buszujący w Bambusie, panie tych, którzy noszą pasy. Zabierz przygnębienie, pozwól mi wziąć się w garść, natchnij mnie siłą. Przywróć mi równowagę.

Patrzę na grę światła. Słyszę skądś śpiewy dzieci. Po pewnym czasie zaczyna padać łagodny deszcz. Narzucam poncho i wciąż patrzę. Jestem bardzo zmęczona, lecz chcę zobaczyć, jak Fudzi wylania się z mgły, która się uniosła. Piję małymi łykami wodę i trochę brandy. Pozostaje tylko leciutki zarys. Fudzi staje się górą-widmem z taoistyczne-go malowidła. Czekam, aż niebo zaczyna ciemnieć. Wiem, że góra znów nie przyjdzie do mnie tego dnia i że muszę znaleźć suche miejsce do spania. Takie muszą być moje lekcje z Hodogai: Zmierzaj ku terażniejszości. Nie próbuj wygładzać ideałów. Miej dość rozsądku, by wejść do środka, kiedy pada.

Potykać się, idę w bok przez mały las. Stodoła, obora, garaż... Cokolwiek stanie między mną a niebem, będzie się nadawać.

Po jakimś czasie znajduję takie miejsce. Żaden bóg nie zwraca się do mnie we śnie.

#### **4. Widok góry Fudzi z Tamagawy.**

Porównuję drzeworyt z rzeczywistością. Tym razem jest nieźle. Konia i mężczyzny nie ma na wybrzeżu, ale na wodzie unosi się mała łódka. Na pewno nie jest tego samego

rodzaju i nie potrafię powiedzieć, czy przewożone jest w niej drewno na opał, ale to wystarczy. Byłabym zdziwiona, gdybym odkryła całkowitą zgodność. Łódka oddala się ode mnie. Zaróżowione o świcie niebo odbija się w przestrzeniach wody daleko od brzegu i w pasach śniegu przy wierzchołku Fudzi. Przewoźnik na drzeworycie odpycha łódź dragiem coraz dalej od brzegu. Charon? Nie, dziś jestem radośniejsza, niż byłam w Hodogai. To za mały statek na Narrenschiff, zbyt wolny, by mógł być Latającym Holendrem. La navicella. Tak. La navicella del mio ingegno: „mała barka mojego dowcipu, na której Dante podniósł żagiel, podążając do tego drugiego królestwa, Czyśćca. A zatem Fudzi... Być może. Otchłanie piekielne w dole, niebiosa w górze, a Fudzi pośrodku - stacja, przerwa w podróży, przystanek końcowy. Niezła metafora w przypadku pielgrzyma, który mógłby użyć środka na przeczyszczenie. Odpowiednia. Ponieważ obejmuje ogień i ziemię, a także powietrze, gdy moje spojrzenie przebiega nad wodą. Przejście, zmiana. Przemijam.

Pogodny nastrój pryska i kończę rozmyślenia, gdy mały żółty samolot, który wyłonił się nie wiadomo skąd na lewo ode mnie, schodzi nad wodę. Po paru chwilach dociera do mnie podobne do owadziego bzyczenie jego silnika. Szybko traci wysokość, przelatuje nisko nad wodą, potem zawraca i dociera do punktu wyjścia, tym razem zakręcając nad linię wybrzeża. Gdy zbliża się do miejsca, w którym przeleci najbliżej mnie, dostrzegam błysk odbitego światła w kabinie. Obiektyw? Jeżeli tak, to jest już za późno, by ukryć się przed jego tropiącym okiem. Wkładam rękę do kieszeni na piersi i wyjmuję własny mały, szary cylinder. Zrzucam pokrywki paznokciem kciuka i podnoszę go, żeby popatrzeć przez okular. Chwilę zajmuje zlokalizowanie celu, następną ustawienie ostrości...

Pilot to mężczyzna, a gdy samolot, przechyliwszy się, wchodzi w wiraż, dostrzegam tylko jego nieznajomy profil. Czy to, co miał w lewym uchu, to złoty kolczyk?

Samolot odleciał w kierunku, z którego się zjawiał. I już nie wraca.

Jestem wstrząśnięta. Ktoś przeleciał obok mnie tylko po to, by mi się przyjrzeć. Jak mnie znalazł? I czego chciał? Jeśli był przedstawicielem tego, czego się najbardziej obawiam, znaczy to, że atak przebiega zupełnie inaczej, niż się spodziewałam.

Zaciskam dłoń w pięść i klnę cicho. Nie jestem przygotowana. Czy taka ma być historia całego mojego życia? Zawsze gotowa na niewłaściwą rzecz we właściwym czasie? Zawsze zaniedbująca to, co liczy się najbardziej?

Na przykład Kendrę?

Ochraniam ją, jest jedną z przyczyn, dla których tu przebywam. Jeżeli to przedsięwzięcie się powiedzie, wypełnię przynajmniej część zobowiązań wobec niej. Nawet jeśli nigdy się nie dowie, nawet jeśli nigdy nie zrozumie...

Wypieram z umysłu wszystkie myśli o mojej córce. Gdyby on nawet tylko podejrzewał...

Teraźniejszość. Wróc do teraźniejszości. Nie trwoń energii na zajmowanie się przeszłością. Stoję na czwartej stacji mojej pielgrzymki i ktoś mnie uważnie ogląda. Na trzeciej próbował się ukształtować epigon. Niezwykle uważałam, wracając do Japonii. Wjechałam tu na fałszywych dokumentach, podróżuję pod przybranym nazwiskiem. Przez lata mój wygląd nieco się zmienił, a ja pomogłam tym zmianom, przyciemniając włosy i cerę, ubierając się inaczej niż zazwyczaj, inaczej mówiąc, inaczej chodząc, jedząc inne potrawy - wszystko to było dla mnie łatwiejsze niż większość innych rzeczy dzięki praktyce, jaką miałam w przeszłości. Przeszłość... Jeszcze raz, do diabła z nią! Czy mogła działać przeciw mnie nawet w tej sprawie? Do diabła z przeszłością! Epigon i prawdopodobnie obserwujący mnie człowiek w tak niewielkim odstępnie czasu. Tak, jestem po prostu paranoiczką, jestem taka od wielu lat i mam swoje powody. Lecz nie mogę pozwolić, by świadomość tego faktu wpływała teraz na mój osąd. Muszę myśleć jasno.

Widzę trzy możliwości. Pierwsza jest taka, że ów przelot nic nie znaczy, samolot przeleciałby, gdyby stał tutaj ktokolwiek inny - albo gdyby nikogo nie było. Lot dla przyjemności albo w poszukiwaniu czegoś innego.

Może tak być, ale mój instynkt przetrwania nie pozwala mi się tym zadowolić. Muszę przyjąć, że tak nie jest. A zatem ktoś mnie szuka. Albo jest to związane z ukazaniem się epigona, albo nie. Jeżeli tak, znaczy to, że duża torba z żywą przynętą została właśnie otwarta u moich stóp i że nie mam pojęcia, jak zacząć sortować te pozwijane skręty. Jest tyle możliwości związanych z moim poprzednim zajęciem, choć uważałam, że wszystkie należą już do przeszłości. Może nie powinnam tak myśleć. Szukanie tam przyczyn wydaje się niewykonalnym przedsięwzięciem.

Trzecia możliwość jest najbardziej zatrważająca: istnieje jakiś związek między epigonem a przelotem. Jeżeli doszło do tego, że mogą być używane zarówno epigony, jak i wysłannicy ludzcy, wtedy być może skazana jestem na porażkę. Co więcej, znaczyć to będzie, że gra ma już inny, przerażający wymiar, że przybrała obrót, którego nigdy nie rozważałam. Będzie to znaczyć, że wszyscy na Ziemi są w znacznie większym niebezpieczeństwie, niż sądziłam, że tylko ja jestem tego świadoma i że mój osobisty pojedynek został podniesiony do rangi walki o znaczeniu globalnym. Nie mogę ryzykować, przypisując to teraz mojej paranoi. Muszę zakładać najgorsze.

Moje oczy wilgotnieją. Wiem, jak umierać. Kiedyś wiedziałam, jak przegrywać z wdziękiem, obojętnie. Nie mogę już dłużej pozwalać sobie na ten luksus. Jeśli nosiłam w

sobie jakąś ukrytą chęć poddania się, odpędzam ją teraz. Moja broń jest krucha, ale muszę jej używać. Choćby bogowie zeszli z Fudzi i powiedzieli mi: „Córko, jest naszą wolą, abyś tego zaniechała”, muszę wytrwać w moim zamiarze aż do końca, nawet jeśli ceną będzie wieczne cierpienie w piekle Yu Li Ch’ao Chuan. Nigdy nie uświadamiałam sobie potęgi losu.

Klękam powoli, gdyż ten, którego muszę pokonać, jest bogiem.

Płaczę już nie tylko nad sobą.

## **5. Widok góry Fudzi z Fukagawy w Edo Tokio.**

Ginza i zamieszanie. Ruch uliczny i zanieczyszczone powietrze. Hałas, kolory i twarze, twarze, twarze. Kiedyś kochałam takie obrazy, ale zbyt długo przebywałam z dala od miast. A po powrocie wielkie miasto takie jak to przytłacza, niemal paraliżuje.

Nie jest to też stare Edo z drzeworytu, więc przybywając tutaj, podejmuję jeszcze jedno ryzyko, chociaż ostrożność kieruje każdym moim ruchem.

Trudno znaleźć most, do którego można by podejść pod odpowiednim kątem, tak by widok Fudzi pod nim naśladował to, co widać na drzeworycie. Woda ma niewłaściwą barwę, a jej zapach sprawia, że marszczę nos; ten most nie jest tamtym mostem; nie ma tu spokojnych rybaków; nie widać zieleni. Hokusai robi głęboki wydech i wpatruje się tak jak ja w Fudzi-san pod metalowym przesłem. Jego most był pełną wdzięku drewnianą tęczą, wytworem minionych dni.

A jednak jest coś w parciu naprzód i rozmarzeniu każdego mostu. Hart Grane potrafił znaleźć poezję w takich jak ten. „Harfa i ołtarz wściekłości roztopionej...”

I most Nietzschego, który jest ludzkością sięgającą tego, co nadludzkie...

Nie. Nie lubię tego. Lepiej, żebym nigdy nie wiązała się z tym, co przekracza tę granicę. Niech to będzie mój pons asinorum.

Poruszając tylko nieznacznie głową, poprawiam perspektywę. Teraz wygląda to tak, jakby to Fudzi wspierała most, który bez niej zostałby złamany jak Bifrost, co zapobiegłoby atakowi demonów przeszłości na nasz współczesny Asgard - albo może szturmowi demonów przyszłości na nasz starożytny Asgard.

Raz jeszcze poruszam głową. Fudzi opada. Most pozostaje nietknięty. Cień i masa.

Odgłos przedwczesnego zapłonu w jakiejś ciężarówce powoduje, że drzę. Dopiero co przybyłam, a czuję, że jestem tu zbyt długo. Fudzi wydaje się zbyt odległa i zbyt odsłonięta. Muszę się wycofać.

Czy jest to lekcja, czy tylko pożegnanie?

Lekcja, bo istota tego konfliktu rozwieszona jest przed moimi oczami: nie dam się wlec przez most Nietzschego.

Chodź, Hokusai, Duchu ukiyoe Minionego Bożego Narodzenia, pokaż mi następną scenę.

## **6. Widok góry Fudzi z Kajikazawy**

Mistyczna Fudzi we mgle ponad wodą. Czyste powietrze, które wpływa do moich nozdrzy. Jest nawet rybak, prawie tam, gdzie powinien być, nad nieskończonym fourierowskim ciągiem fal nacierających na wybrzeże. W jego pozie nie ma takiego napięcia jak na oryginale, ubrany jest bardziej nowocześnie.

W drodze do tego miejsca odwiedziłam małą kaplicę otoczoną kamiennym murem. Poświęcona była Kannon, bogini współczucia i miłosierdzia, pocieszycielce w niebezpiecznych i smutnych czasach. Weszłam. Kochałam ją, kiedy byłam dziewczynką, póki nie dowiedziałam się, że tak naprawdę była mężczyzną. Wtedy poczułam się oszukana, prawie zdradzona. W Chinach nazywano ją Guanyin i była równie miłosierna, ale przybyła tam z Indii, gdzie uważano ją za bodhisattwę o imieniu Awalokiteswara, mężczyznę: „Pana, który patrzy w dół ze współczuciem”. W Tybecie jest on Chenresi: „Tym, który ma współczujące oczy”, i regularnie wciela się w ludzi jako dalajlama. Nie ufałam całej tej jego/jej kapryśnej wędrówce i z powodu tej odrobiny historii i antropologii Kannon utraciła dla mnie coś ze swego czaru. A jednak weszłam. Kiedy mamy kłopoty, odwiedzamy ponownie myślowy krajobraz dzieciństwa. Pozostałam tam jakiś czas i dziecko we mnie tańczyło przez chwilę, po czym znieruchomiało.

Patrzę na rybaka nad tymi falami, mniejszymi wersjami wielkiej fali Hokusaia, która zawsze symbolizowała dla mnie śmierć. Małe śmierci kołyszają się wokół niego, mężczyzna wciąga połów o srebrnych bokach. Przypominam sobie opowieść Baśni z tysiąca i jednej nocy oraz inną, pochodzenia indiańskiego. Mogłabym tam również zobaczyć symbolikę chrześcijańską albo archetyp Junga. Pamiętam jednak, że Ernest Hemingway powiedział Bernardowi Berensonowi, iż tajemnicą jego najlepszej książki było to, że nie było w niej symbolizmu. Morze było morzem, stary człowiek starym człowiekiem, chłopiec chłopcem, marlin marlinem, a rekiny były takie same jak inne rekiny. Ludzie sami obdarzają te rzeczy mocą, szperając pod powierzchnią, zawsze szukając czegoś więcej. W moim przypadku jest



to przynajmniej zrozumiałe. Spędziłam najwcześniejsze lata w Japonii, a resztę dzieciństwa w Stanach Zjednoczonych. Część mojej osoby lubi widzieć wszystko przez aluzje i za zasłoną tajemniczości. A część amerykańska nigdy niczemu nie ufa i zawsze szuka za fasadą prawdziwej historii.

Generalnie powiedziałabym, że lepiej jest nie ufać, choć liczba możliwych wyjaśnień musi zostać w pewnym momencie ograniczona, zanim permutacje przyczyn, które mnożą bez umiaru, przepełnią mój mózg. Taka już jestem i nie zrezygnuję z tej cechy charakteru, która dobrze mi służyła w przeszłości. Nie unieważnia to punktu widzenia Hemingwaya, lecz zarazem jego poglądy nie mogą służyć do odrzucenia moich racji, bo nikt nie ma monopolu na mądrość. Wierzę jednak, iż w sytuacji, w jakiej się obecnie znajduję, moja prawda bardziej pomaga przetrwać, gdyż nie zajmuję się tylko rzeczami, ale czymś, co bliższe jest tradycyjnym mocom i księstwom aniołów. Chciałabym, żeby tak nie było i żeby epigon był tylko wytworem pokrewnym piorunowi kulistemu, który badał Tesla. Ale coś się za tym kryje; to tak samo pewne jak to, że żółty samolot miał pilota.

Rybak dostrzega mnie i macha ręką. Ta nagła styczność z filozoficznym punktem wyjścia jest szczególnym doznaniem. Macham do niego w odpowiedzi i sprawia mi to przyjemność.

Jestem zaskoczona gotowością, z jaką akceptuję to odczucie. Wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z ogólnym stanem mego zdrowia. Ciągła wędrówka na świeżym powietrzu dodała mi chyba sił. Moje zmysły są bardziej wyostrzone, mam większy apetyt. Straciłam trochę na wadze i wzmocniłam mięśnie. Przez ostatnie kilka dni nie potrzebowałam lekarstwa.

Zastanawiam się...

Czy ma to wyłącznie dobre strony? To prawda, że muszę zachować siły. Muszę być przygotowana na wiele rzeczy. Ale zbyt wiele siły... Czy mogę w ten sposób przeszkodzić sobie w realizacji mojego ogólniejszego planu? Równowaga, być może powinnam poszukać równowagi...

Śmieję się; nie pamiętam, kiedy ostatni raz mi się to zdarzyło. Śmiesznie jest się tak zastanawiać nad życiem i śmiercią, chorobą i zdrowiem niczym postać z Tomasza Manna, kiedy przebyłam ledwie czwartą część mojej trasy. Po drodze będę potrzebowała wszystkich sił, a może i one nie wystarczą. Wcześniej czy później rachunek zostanie wystawiony. Jeśli nie uda mi się znaleźć odpowiedniej chwili, będę musiała stworzyć własną sukę. Na razie postanawiam cieszyć się tym, co mam.

Uderzę wraz z moim ostatnim wydechem. Wiem to. Jest to zjawisko znane

miłośnikom różnych sztuk walki. Przypominam sobie historię Eugena Herrigela o tym, jak studiował u mistrza kyudo, jak napinał łuk i czekał, czekał, aż nadchodził sygnał pozwalający zwolnić cięciwę. Robił to dwa lata, nim jego sensei dał mu strzałę. Nie pamiętam, jak długo powtarzał potem to samo już ze strzałą. Wreszcie wszystko zaczynało się układać w całość, nadchodziła odpowiednia chwila, czas zamierał i strzała musiała polecieć, musiała polecieć ku celowi. Minęło sporo czasu, zanim zrozumiał, że ta chwila zawsze następuje przy końcu wydechu.

W życiu jest tak samo. Wygląda na to, że wiele ważnych spraw, od śmierci po orgazm, zdarza się w chwili pustki, gdy oddech jest niepewny. Być może wszystkie one są tylko odbiciami śmierci. Jest to znaczące odkrycie dla kogoś takiego jak ja, gdyż tak naprawdę muszę czerpać siłę z własnej słabości. Najbardziej niepokoi mnie kontrola, zdolność odnajdowania tej szczególnej chwili. Ale mam nadzieję, że tak jak w przypadku chodzenia, rozmawiania czy rodzenia dzieci tkwi we mnie coś, co wie, na czym to polega. Jest już za późno, by usiłować postawić most, po którym przejdzie to do mojej świadomości. Przygotowałam własne, mniej precyzyjne plany. Umieściłam je na półce w głębi umysłu. Powinnam je tam pozostawić i zająć się innymi sprawami.

Tymczasem syć się tą chwilą, wciągając głęboko w płuca łyk słonego powietrza, mówiąc sobie, że ocean jest oceanem, rybak rybakiem, a Fudzi to tylko góra. Potem wolno wypuszczani powietrze...

## **7. Widok góry Fudzi z jej podnóża**

Ogień w twoich trzewiach, ślady zimy powyżej niczym pasma starożytnych włosów. Drzeworyt wygląda znacznie groźniej niż rzeczywistość tego wieczoru. Ten okropny czerwony odcień nie tworzy nade mną łuny na tle hordy dzikich chmur. A jednak nie mogę opanować wzruszenia. Trudno nie stać z pewnym przestachem przed starożytnymi mocami Pierścienia Ognia, opadając z powrotem przez ery geologiczne ku czasom tworzenia i niszczenia, kiedy kształtowały się nowe lądy. Wielkie erupcje lawy, oślepiający błysk, niczym eksplozja bomby, taniec błyskawic jak korona...

Myślę o ogniu i o zmianach.

Ostatniej nocy spałam na terenie małej świątyni shingon, pośród krzewów, którym nadano kształty smoków, pagód, statków i parasoli. W świątyni byli inni pielgrzymi, bardziej ode mnie typowi, a kapłan odprawiał dla nas nabożeństwo ognia - goma. Ognie Fudzi

przypominają mi o nim tak samo, jak ono przypominało mi o Fudzi.

Kapłan, młody mężczyzna, siedział przy ołtarzu, na którym spoczywała czarka dla ognia. Zaintonował modlitwę i rozpałił ognisko, a ja przyglądałam się, całkowicie urzeczona rytuałem, jak zaczyna karmić ogień stu ośmioma kawałkami drewna. Przedstawiają one, powiedziano mi, sto osiem złudzeń duszy. Nie znam pełnej ich listy, ale odniosłam wrażenie, że być może udałoby mi się dodać do niej kilka nowych pozycji. Nieważne. Śpiewał monotonnie, pobrzękiwał dzwoneczkami, uderzał w gongi i w bębny. Spoglądałam od czasu do czasu na innych henro. Na wszystkich twarzach widziałam całkowite skupienie. Na wszystkich oprócz jednej.

Jeszcze jedna postać przyłączyła się do nas, wchodząc bezszelestnie. Mężczyzna stanął w cieniu z boku, po mojej prawej. Ubrany był w czerń, a widoczna połowa szerokiego, postawionego kołnierza zakrywała dolną część jego twarzy. Wpatrywał się we mnie. Gdy nasze oczy się spotkały, odwrócił wzrok, skupiając uwagę na ogniu. Po kilku chwilach zrobiłam to samo.

Kapłan dodał kadzidła, liści, olejków. Ogień trząsał i skwierczał, płomienie skakały, cienie tańczyły. Zaczęłam drzeć. Było coś znajomego w tym mężczyźnie. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, gdzie go widziałam, ale chciałam dokładniej mu się przyjrzeć.

Przez kolejne dziesięć minut przesuwalam się po trosze w prawo, jakbym szukała miejsca, z którego lepiej będę widzieć obrzędy. Wtedy nagle odwróciłam się i jeszcze raz spojrzalam na mężczyznę.

Przylapałam go na tym, że znowu pilnie mi się przygląda, i raz jeszcze szybko odwrócił wzrok. Jednak taniec płomieni oświetlił tym razem całą jego twarz, a gdy szarpnął głową, kołnierz przestał ją zasłaniać.

Byłam pewna, przyjrawszy mu się przez tę chwilę, że to ten mężczyzna pilotował mały, żółty samolot, który w zeszłym tygodniu przeleciał niedaleko mnie w Tamagawie. Chociaż nie miał złotego kolczyka, w jego lewej małżowinie widać było wypełnione cieniem wgłębienie.

Ale sięgało to gdzieś dalej. Ujrawszy całą jego twarz, nabrałam pewności, że widziałam go gdzieś wcześniej, przed laty. Mam niezwykle dobrą pamięć do twarzy, lecz z jakiegoś powodu w jego przypadku nie mogłam sobie przypomnieć poprzedniego kontekstu. Przestraszył mnie jednak i czułam, że nie stało się to bez powodu.

Obrzędy trwały, dopóki ostatni kawałek drewna nie znalazł się w ogniu. Gdy spłonął się i zgasł, kapłan skończył liturgię. Odwrócił się, jego sylwetka ukazała się na tle światła i powiedział, że teraz każdy, kto niedomaga, może wetrzeć w skórę leczniczy dyni, jeśli chce.

Dwóch pielgrzymów przesunęło się naprzód. Wolno dołączył do nich jeszcze jeden. Raz jeszcze rzuciłam okiem na prawo. Mężczyzna odszedł tak cicho, jak się pojawił. Rozglądałam się po całej świątyni. Nigdzie nie było go widać. Poczułam, że coś dotyka mojego lewego barku.

Gdy się odwróciłam, ujrzałam kapłana, który właśnie uderzył mnie lekko trójramiennym miedzianym rytualnym przyrządem używanym podczas obrzędu.

- Chodź - powiedział - i weź trochę dymu. Trzeba wyleczyć twoje lewe ramię i bark, lewe biodro i stopę.

- Skąd to wiesz? - zapytałam.

- Dane mi było to ujrzeć tego wieczoru. Chodź. Wskazał mi miejsce na lewo od ołtarza i podeszłam tam, przestraszona jego przenikliwością, gdyż tego dnia stopniowo traciłam czucie właśnie w tych częściach ciała, które wymienił. Postanowiłam nie brać lekarstwa, miałam nadzieję, że atak po prostu sam przejdzie.

Masował mnie, wcierając dym z zamierającego ognia w miejsca, które wymienił, po czym polecił mi, bym robiła to już sama. Posłuchałam go i na koniec nałożyłam sobie trochę dymu na głowę, jak każe tradycja.

Przeszukałam potem teren świątyni, lecz dziwnego człowieka, który mnie obserwował, nigdzie nie było. Znalazłam kryjówkę między stopami smoka i rozłożyłam tam swój śpiwór. Nic nie zakłóciło mojego snu.

Obudziłam się przed świtem i odkryłam, że czucie w pełni wróciło do wszystkich zdętwiałych uprzednio części ciała. Byłam zadowolona, że atak ustąpił bez zażycia lekarstwa.

Przez resztę dnia, gdy podróżowałam w tę stronę, do stóp Fudzi, czułam się zadziwiająco dobrze. Nawet teraz wypełnia mnie niezwykła siła i energia, i przeraża mnie to. A jeśli dym obrzędu ognia w jakiś sposób mnie uleczył? Ze strachem myślę o tym, co mogłoby to znaczyć dla moich planów, mojego postanowienia. Nie jestem pewna, czy wiedziałabym, jak sobie z tym poradzić.

A zatem, Fudzi, Panie Ukrytego Ognia, przybyłam, zdrowa i przestraszona. Spędzę tę noc pod gołym niebem tu niedaleko. Rano ruszę naprzód. Twoja obecność przytłacza mnie z takiej odległości. Cofnę się, by widzieć cię z innej, odleglejszej perspektywy. Zastanawiam się, czy wrzuciłabym sto osiem patyków do twojego świętego pieca, gdybym się kiedyś na ciebie wspięła? Myślę, że nie. Są pewne złudzenia, których nie chcę rozwiewać.

## **8. Widok góry Fudzi z Tagonury**

Wypląnąłam łódką, by odwrócić się i popatrzeć na plażę, na zbocza i na Fudzi. Wciąż jestem rozpromieniona, choroba osłabła. Na razie się z tym pogodziłam. Tymczasem dzień jest jasny, a bryza chłodna. Łódką kołyszą małe śmierci, gdy rybak i jego synowie, którym zapłaciłam, żeby zabrali mnie na morze, sterują nią na moją prośbę tak, by zapewnić mi widok najbardziej zbliżony do tego z drzeworytu. Tak wiele z rodzimej architektury tego kraju przywodzi mi na myśl dzioby statków. Zbieżność kulturowej ewolucji, w której przesłanie jest środkiem przekazu? Morze jest życiem? Czerpiąc środki egzystencji spod fal, zawsze jesteśmy na morzu? Albo: morze jest śmiercią, w każdej chwili grozi nam to, że się podniesie, by zniszczyć nasze ziemie i zażądać naszego życia? A zatem dźwigają to memento mori nawet dachy ponad naszymi głowami i ściany, które je podtrzymują? Albo: jest to znak naszej władzy nad życiem i nad śmiercią?

Albo żadna z tych rzeczy. Może się wydawać, iż noszę w sobie silne życzenie śmierci. To nieprawda. Moje pragnienia są dokładnie przeciwne. Może istotnie używam drzeworytów Hokusai jako rodzaju testu Rorschacha, który umożliwia samopoznanie, ale to raczej fascynacja śmiercią niż pragnienie śmierci ożywia mój umysł. Sądzę, że jest to zrozumiałe u kogoś, kto cierpi na śmiertelną chorobę i ma przed sobą już bardzo mało czasu.

Dość tego na razie. Pomyślane to było tylko jako wyciągnięcie mojego sztyletu, aby zbadać ostrość jego krawędzi. Stwierdzam, że moja broń jest wciąż w dobrym stanie, i ponownie wkładam ją do futerału.

Błękitno-szara Fudzi, posolona śniegiem, długi kąć spoczynku na lewo ode mnie... Zdaje mi się, że nigdy nie patrzę dwa razy na tę samą górę. Zmieniasz się tak bardzo jak ja, a jednak pozostajesz tym, czym jesteś. Znaczy to, że jest dla mnie nadzieja.

Patrzę w dół, tam gdzie dzielimy tę cechę z morzem, obszerną, żyjącą siecią danych. Podobne, a jednak inne, walczyłaś z tym morzem jak ja z...

Ptaki... Posłucham ich i popatrzę na nie jakiś czas, na powietrznych jeźdźców, którzy schodzą w dół i karmią się.

Spoglądam na mężczyzn pracujących przy sieciach. Odpreżam się, obserwując ich zręczne ruchy. Po pewnym czasie przysypiam.

Śpiąc, śnię, a śniąc, spostrzegam boga Kokuzo. Nie może to być nikt inny, bo kiedy wyciąga swój miecz, który błyszczy jak słońce, i kieruje go w moją stronę, wymawia swoje imię. Powtarza je bez przerwy, gdy drzę przed nim, ale coś jest nie w porządku. Wiem, że nie mówi mi tylko o swojej tożsamości, jest jeszcze coś innego. Próbuje dotrzeć do tego

znaczenia, ale nie udaje mi się go pojąć. Potem porusza czubkiem ostrza, wskazując coś za mną. Odwracam głowę. Sposzrzegam mężczyznę w czerni: pilota, obserwatora z goma. Przygląda mi się uważnie, tak jak robił to tamtego wieczoru. Czego doszukuje się na mojej twarzy?

Budzi mnie gwałtowne kołysanie łodzi, gdy trafiamy na wzburzone morze. Chwytam górną krawędź burty, przy której siedzę. Rzut oka na otoczenie upewnia mnie, że nie jesteśmy w niebezpieczeństwie, więc zwracam oczy w stronę Fudzi. Czy ona się ze mnie śmieje? A może jest to chichot Hokusaia, który kuca na swoim zadku obok mnie, rysując długim, zwiędłym palcem sprośne obrazki na wilgotnym dnie łodzi?

Jeśli zagadki nie można rozwiązać, trzeba ją zachować w pamięci. A zatem później. Powrócę do tej wiadomości, kiedy zmieni się stan mojego umysłu.

Wkrótce następny ładunek ryb wciągany jest na pokład, przez co zapach tej podróży jeszcze się zaostrza. Jakkolwiek będą się wykręcać, i tak nie umkną sieci. Myślę o Kendrze i zastanawiam się, jak ona się trzyma. Mam nadzieję, że już się tak na mnie nie gniewa. Chcę wierzyć, że nie uciekła z miejsca, w którym jest uwięziona. Zostawiłam ją pod opieką znajomych w prymitywnej, odizolowanej komunie na Południowym Zachodzie. Nie lubię tego miejsca ani nie żywię szczególnie przyjaznych uczuć dla jego mieszkańców. Jednak winni mi są kilka znacznych przysług - wyświadczonych właśnie po to, żeby mi teraz pomogli - i będą ją tam trzymać aż do czasu, gdy zdarzą się pewne rzeczy. Widzę jej delikatne rysy, oczy jelonka i jedwabiste włosy. Pogodna, pełna wdzięku • dziewczynka przyzwyczajona do pewnych luksusów, lubiąca długie kąpiele, częste prysznice i świeżo uprasowane ubranka. W tej chwili jest pewnie zachlapana błotem albo pokryta kurzem, bo rozlewała pomyje wieprzkom, pełła, siała warzywa lub je wykopywała, a może wypełniała jakieś inne codzienne obowiązki. To doświadczenie powinno dać jej coś więcej, nie tylko ochronić przed straszliwym być może losem.

Czas płynie. Jem drugie śniadanie.

Później zastanawiam się nad Fudzi, Kokuzo i moimi lękami. Czy sny są tylko teatrem strachów i pragnień wprowadzonego w trans mózgu, czy też czasami naprawdę odzwierciedlają nie rozważane aspekty rzeczywistości, być może po to, by przekazać ostrzeżenie? By odzwierciedlić... Mówi się, że doskonały umysł odzwierciedla. Shintai w swoim łuku w swej kaplicy jest rzeczą prawdziwie świętą dla boga - małe lustro - a nie podobizny. Morze odzwierciedla niebo, obfitość chmur albo błękitną pustkę. Można objaśniać sobie coś dziwnego na wiele sposobów, tak jak Hamlet, ale tylko jedna z tych interpretacji powinna mieć wyraźne zarysy. Jeszcze raz trzymam ten sen w moim umyśle, odsuwam

wszelkie dociekania. Coś drgnęło...

Nie. Prawie to miałam. Ale zbyt wcześnie wyciągnęłam rękę. Moje lustro jest roztrzaskane.

Gdy patrzę w stronę wybrzeża, zbiegają się w czasie dwa działania. Jest tam nowa grupa ludzi. Wyjmuję mój mały szpiegowski teleskop i przyglądam się im, choć wiem od razu, co zobaczę.

Znów jest ubrany na czarno. Rozmawia z dwoma mężczyznami na plaży. Jeden z nich wyciąga rękę ku nam, pokazuje coś na wodzie. Odległość jest zbyt wielka, by wyraźnie dostrzec rysy twarzy, ale wiem, że to ten sam mężczyzna. Jednak uczucie, którego teraz doznaję, to nie strach. Z wolna w mojej hara zaczyna się rozpalać gniew. Chciałabym wrócić na brzeg i zmierzyć się z nim. To tylko jeden człowiek. Zajmę się nim teraz. Nie stać mnie na więcej nieznanego niż to, na które już się przygotowałam. Trzeba się z nim po prostu spotkać i przestać o nim myśleć albo wyjaśnić, kim jest.

Wołam do kapitana, by natychmiast zabrał mnie na brzeg. Gdera. Połów jest dobry, godzina wciąż wczesna. Proponuję mu więcej pieniędzy. Zgadza się z niechęcią. Wykrzykuje rozkazy do swoich synów; mają obrócić łódź i kierować się ku brzegowi.

Stoję na dziobie. Niech się dobrze przyjrzy. Posyłam swój gniew naprzód. Miecz jest równie święty jak lustro.

Gdy Fudzi rośnie przede mną, mężczyzna spogląda w naszym kierunku, przekazuje coś pozostałym, po czym odwraca się i odchodzi. Nie! Nie możemy posuwać się szybciej, a przy tym tempie nie będzie go już, kiedy dotrzemy na ląd. Klnę. Chcę natychmiastowego zaspokojenia, a nie jeszcze większej tajemnicy.

I mężczyźni, z którymi rozmawiał... Ich ręce wędrują do kieszeni, śmieją się, a następnie odchodzą w innym kierunku. Włóczędzy. Czy zapłacił im za informacje, których mu udzielili, jakiegokolwiek one były? Na to by wyglądało. Czy zmierzają teraz do jakiejś tawerny, żeby wypić za cenę spokoju mojego umysłu? Wołam za nimi, ale wiatr posyła me słowa gdzieś w bok. Ich też już nie będzie, kiedy tam dotrę.

I tak się dzieje. Gdy wreszcie staję na plaży, jedyna znajoma twarz należy do mojej góry, która lśni jak rubin w ukośnych promieniach słońca.

Wbijam paznokcie w dłonie, ale moje ramiona nie stają się skrzydłami.

## **9. Widok góry Fudzi z Naborito**

Czuję sympatię do tego drzeworytu: torii świątyni shinto widoczne są ponad morzem przy odpływie, a ludzie wykopują mięczaki pośród zatopionych ruin. Fudzi oczywiście widać za torii. Gdyby pod falami był kościół chrześcijański, gry słowne związane z powiedzeniem „jestem tylko mięczakiem w obliczu Boga” przebiegałyby przez mój umysł. Geografia jednakże ocala przed tym.

A rzeczywistość jest zupełnie inna. Nie mogę znaleźć tego miejsca. Przebywam w tym rejonie i Fudzi leży we właściwym miejscu, ale torii musiały już dawno przepaść i nie mam jak się dowiedzieć, czy jest tam gdzieś zatopiona świątynia.

Usadowiona na zboczu wzgórza, patrzę na wodę i nagle jestem nie tyle zmęczona, ile wyczerpana. Szłam długo i szybko przez ostatnie kilka dni, a teraz wydaje mi się, że wszystkie te trudy mnie dogoniły. Będę tu siedzieć i patrzeć na morze i na niebo. Przynajmniej mojego cienia, mężczyzny w czerni, nie było nigdzie widać od tamtego dnia na plaży w Tagonurze. Młoda kotka goni ćmę u stóp mojego wzgórza, skacze w powietrze, migają łapki w białych rękawiczkach. Ćma wlatuje wyżej, ucieka w podmuchu wiatru. Kotka siedzi przez kilka chwil, wielkie oczy wypatrują jej.

Docieram do pochyłości, którą wcześniej zauważyłam, tam gdzie mogę uniknąć wiatru. Stawiam swój plecak i rozkładam śpiwór, pod nim umieszczam poncho. Po zdjęciu butów szybko wchodzę do środka. Zdaje się, że trochę się przeziębiam, i moje kończyny są bardzo ciężkie. Byłabym gotowa zapłacić za możliwość spędzenia tej nocy pod dachem, ale jestem zbyt zmęczona, żeby szukać schronienia. Leżę tutaj i patrzę, jak na ciemniejącym niebie pojawiają się światła. Jak to zwykle bywa w wypadku skrajnego zmęczenia, nie zapadam z łatwością w sen. Czy jest to usprawiedliwione zmęczenie, czy objaw czegoś innego? Nie chcę jednak brać lekarstwa tylko jako środka zaradczego, próbuję więc przez jakiś czas nie myśleć o niczym.

Nie udaje mi się to. Ulegam chęci wypicia filiżanki gorącej herbaty. Z jej braku wychyłam kieliszek brandy, który na pewien czas rozgrzewa mój żołądek.

Sen wciąż jednak nie nadchodzi, więc postanawiam opowiedzieć sobie historię, tak jak to robiłam, gdy byłam bardzo młoda i chciałam sprawić, by świat zmienił się w sen. A więc... Dawno temu, podczas zamieszek, które nastąpiły po śmierci cesarza Sutoku, który już wcześniej zrzekł się tronu, przechodziła tędy grupa wędrownych mnichów różnych wyznań, którzy spotkali się na drodze. Podróżowali w poszukiwaniu wytchnienia pośród wojen, trzęsień ziemi i trąb powietrznych, które wprowadzały w kraju taki nieporządek. Mieli nadzieję, że założą wspólnotę religijną i będą w ciszy i spokoju spędzać czas na medytacji. Niedaleko brzegu morza natrafili na coś, co wyglądało na porzuconą świątynię shinto, i tam



rozbili obóz na noc, zastanawiając się nad losem jej opiekunów. Czy padli ofiarami jakiejś zarazy albo nieszczęścia? Budynek był w dobrym stanie i nie widać było śladów przemocy. Omówili możliwość uczynienia tego miejsca swoim schronieniem. Staliby się wtedy opiekunami świątyni. Zapalili się do tego pomysłu i spędzili większość nocy na rozważaniu tych planów. Jednak rano ze świątyni wyłonił się sędziwy mnich, jakby miał się zabrać do codziennych obowiązków. Mnisi zapytali go o historię tego miejsca, a on powiedział im, że kiedyś byli tam inni, którzy pomagali mu wypełniać jego obowiązki, lecz już dawno zabrało ich morze podczas sztormu, gdy pewnej nocy byli zajęci na wybrzeżu swoimi dziwacznymi modłami. I nie, tak naprawdę nie była świątynią shinto, choć wygląd by na to wskazywał. W rzeczywistości była to świątynia o wiele starszej religii, której być może był ostatnim wyznawcą. Byli jednak tutaj mile widziani, gdyby zdecydowali się do niego dołączyć i zgłębić jego naukę. Mnisi omówili to szybko między sobą i stwierdzili, że ponieważ miejsce to wygląda przyjemnie, może dobrze byłoby się tam zatrzymać i posłuchać, jaką to też naukę głosi starzec. Tak więc zostali mieszkańcami tej dziwnej świątyni. Z początku miejsce budziło poważny niepokój u kilku z nich, bo w nocy zdawało im się, że słyszą wezwania śpiewnych głosów w falach i w morskim wietrze. Czasami zdawało im się też, że słyszą głos starego kapłana, który odpowiada na nie. Pewnej nocy jeden z nich podążył za tymi dźwiękami i zobaczył, jak starzec stoi na plaży z uniesionymi ramionami. Mnich schował się, po czym zasnął w szczelinie w skałach. Kiedy się obudził, księżyc w pełni stał wysoko na niebie, a starca nie było. Mnich zszedł do miejsca, w którym tamten stał, i zobaczył wiele śladów na piasku, a wszystkie odcisnęły błoniaste stopy. Wstrząśnięty, wrócił i opowiedział o swoim przeżyciu towarzyszom. Potem całymi tygodniami próbowali obejrzeć stopy starca, które zawsze były owinięte i obwiązane. Nie udało im się to, jednak po pewnym czasie zdawało się to mieć coraz mniejsze znaczenie. Jego nauki oddziaływały na nich powoli, ale bezustannie. Zaczęli towarzyszyć mu w jego obrządkach na cześć Dawnych i poznali nazwę cypla i świątyni. Była to ostatnia widoczna nad powierzchnią morza pozostałość wielkiej zatopionej wyspy, która, jak ich zapewniał, unosiła się czasami w cudowny sposób i ukazywała zaginione miasto zamieszkane przez sługi jego panów. Nazwa tego miejsca brzmiała R'lyeh i byliby szczęśliwi, gdyby trafili tam pewnego dnia. Wtedy zdawało się im już, że to dobry pomysł, bo zauważyli, że skóra między palcami ich rąk i nóg nieco grubiej i się rozciąga, a i same palce stają się mocniejsze i bardziej wydłużone. Uczestniczyli też wtedy we wszystkich obrządkach, które stopniowo stawały się coraz obrzydliwsze. W końcu, po szczególnie krwawym obrzędzie, obietnica starego mnicha została spełniona na odwrót. To nie wyspa się podniosła, ale cypel zatonął, by do niej dołączyć, zabierając ze sobą świątynię i

wszystkich mnichów. Tak więc dopuszczają się teraz swych obrzydliwych czynów głównie pod wodą. Jednak mniej więcej raz w każdym stuleciu cała wyspa naprawdę się unosi na jedną noc, a wtedy całe ich armie wydostają się na brzeg w poszukiwaniu ofiar. I oczywiście dziś jest ta noc...

Rozkoszne uczucie senności ogarnęło mnie wreszcie przy tym opowiadaniu, opartym na niektórych spośród moich ulubionych bajek na dobranoc. Moje oczy są zamknięte. Pływam na wypełnionej bawełną tratwie... Ja...

Dźwięk! Nade mną! Od strony morza. Coś porusza się w moją stronę. Wolno, potem szybko.

Adrenalina łączy moje członki w ognisty obwód. Wyciągam ostrożnie rękę i chwytam laskę.

Czekam. Dlaczego teraz, kiedy jestem osłabiona? Czy niebezpieczeństwo musi się zawsze zbliżać w najgorszym momencie?

Rozlega się odgłos głuchego uderzenia, gdy coś spada na ziemię obok mnie, i wypuszczani zatrzymane w płucach powietrze.

To ta kotka, którą wcześniej zauważyłam, nieco tylko większa od kociątka. Zbliży się, mrużąc. Wyciągam dłoń i głaszczę ją. Ociera się o mnie. Po jakimś czasie biorę ją do łap. Zwiija się przy moim boku, wciąż mruży, jest ciepła. Dobrze jest mieć coś, co ci ufa i chce być blisko ciebie. Nazywam kotkę R'lyeh. Tylko na jedną noc.

## **10. Widok góry Fudzi z Ejiri**

Wróciłam w te strony autobusem. Byłam zbyt zmęczona, żeby wędrować. Wzięłam lekarstwo, co prawdopodobnie powinnam robić cały czas. A jednak może upłynąć kilka dni, zanim przyniesie mi ono jakąś ulgę, a to mnie przeraża. Naprawdę nie mogę sobie pozwolić na taki stan. Nie jestem pewna, co zrobię, wiem tylko, że muszę iść dalej.

Drzeworyt jest zwodniczy, bo część jego siły wyrazu to skutek silnego wiatru. Niebo jest na nim szare, przyćmioną Fudzi widać w tle, wszyscy ludzie na drodze poniewierani są przez wiatr, cierpią też dwa przydrożne drzewa. Drzewa zginają się, ludzie ściskają swoje ubrania, wysoko w powietrzu unosi się kapelusz, a jakiemuś biednemu skrybie czy autorowi wiatr porwał ku niebu rękopis, który ucieka teraz od niego, lecąc nad ziemią (przypomina mi się stary rysunek z podpisem - Wydawca do Autora: „Zabawna rzecz przydarzyła się pańskiemu rękopisowi podczas parady w dzień świętego Patryka). Zjawiska atmosferyczne

nie nadają takiej dynamiki scenie, którą mam przed oczami. Niebo jest rzeczywiście zachmurzone, ale nie ma wiatru, Fudzi jest ciemniejsza, ma wyraźniejsze zarysy niż na drzeworycie, nie widać nigdzie z trudem posuwających się naprzód wędrowców. Zaraz obok znajduje się o wiele więcej drzew. Nawet teraz stoję niedaleko małego zagajnika. W oddali widać jakieś budowle, których nie ma na reprodukcji.

Opieram się ciężko na swojej lasce. Żyj trochę, umrzyj trochę. Dotarłam już do dziesiątej stacji, a wciąż nie wiem, czy Fudzi daje mi siłę, czy też mi ją zabiera. Być może działa to w obie strony.

Idę w bok, w głąb lasu, po drodze kilka kropli deszczu pada na moją twarz. Nie ustawiono żadnych znaków i nie wydaje mi się, żeby ktoś był w pobliżu. Oddalam się powoli od drogi; w końcu dochodzę do małej polany, na której jest kilka kamieni i głazów. Nada się na obozowisko. Spędzić ten dzień na odpoczynku, to moje największe pragnienie.

Wkrótce mam rozpalone małe ognisko, mój mały czajnik spoczywa nad nim na kamieniach. Przetaczający się w oddali grzmot zapowiada nowe przykrości, ale na razie nie pada. Ziemia jest jednak wilgotna. Rozpościeram moje poncho i siedzę na nim, czekając. Ostrzę nóż i odkładam go. Jem trochę herbatników i studiuję mapę. Powinnam chyba odczuwać pewne zadowolenie, gdyż wszystko odbywa się mniej więcej tak, jak zakładałam. Nie jestem zadowolona. Żałuję, że nie potrafię odnaleźć w sobie takich uczuć.

Nieokreślony owad, który brzęczał za mną, milknie. Po chwili słyszę, jak trzaska gałązka. Moja ręka wędruje ukradkiem i opada na laskę.

- Nie rób tego - słyszę za swoimi plecami. Odwracam głowę. Stoi osiem czy dziesięć stóp ode mnie, mężczyzna w czerni; jego kolczyk jest na swoim miejscu, prawą rękę trzyma w kieszeni kurtki. Wygląda na to, że oprócz jego ręki jest tam jeszcze coś i że jest to wymierzone we mnie.

Zdejmuję rękę z laski, a on podchodzi. Bokiemy stopy posyła laskę na środek polany, tam gdzie nie mogę jej dosięgnąć. Wtedy wyjmuję rękę z kieszeni, zostawiając w środku to, co tam trzymał, cokolwiek to było. Okrąża powoli ognisko, wpatrując się we mnie przez cały czas.

Siada na głazie, kładzie ręce na kolanach.

- Mari? - pyta.

Nie reaguję na moje imię, tylko wpatruję się w niego. Światło miecza Kokuzo ze snów błyska w moim umyśle, wskazując go, i słyszę, jak bóg wymawia jego imię, tylko że nie do końca.

- Kotuzow - mówię.

Mężczyzna w czerni uśmiecha się, pokazując, że zęby, które mu dawno temu wybiłam, zostały porządnie wstawione.

- Ja też nie byłem co do ciebie taki pewny na początku - stwierdza.

Operacja plastyczna usunęła z jego twarzy przynajmniej dziesięć lat, razem z dużą liczbą zmarszczek i kilkoma bliznami. Zmieniły się także jego oczy i policzki. Jego nos też jest mniejszy. To znacząca poprawa w porównaniu z tym, jak wyglądał, kiedy ostatni raz się spotkaliśmy.

- Woda ci się gotuje - mówi. - Zaproponujesz mi filiżankę herbaty?

- Oczywiście - odpowiadam, sięgając do plecaka, gdzie trzymam dodatkową filiżankę.

- Powoli.

- Naturalnie.

Znajduję drugą filiżankę, z lekka opłukuję obie gorącą wodą, przygotowuję herbatę.

- Nie, nie podawaj mi jej - mówi. Wyciąga rękę i bierze filiżankę z miejsca, w którym ją napelniłam.

Mam ochotę się uśmiechnąć, ale opanowuję się.

- Masz może kostkę cukru? - pyta.

- Przykro mi.

Wzdycha, sięga do drugiej kieszeni i wyjmuję małą piersiówkę.

- Wódka? W herbacie?

- Nie bądź niemądra. Mój gust się zmienił. To likier Wild Turkey, wspaniale nadaje się do słodzenia. Chcesz trochę?

- Pozwól mi go powąchać. Zapach ma pewną świeżość.

- W porządku - rzucam, a on dodaje tego do naszej herbaty.

Próbujemy. Niezła.

- Jak to już długo? - pyta.

- Czternaście lat, prawie piętnaście - odpowiadam. - Jeszcze w latach osiemdziesiątych.

- Tak. Pociera szczękę.

- Słyszałem, że przeszłaś na emeryturę.

- Zgadza się. Było to mniej więcej rok po naszym ostatnim... spotkaniu.

- Turcja... tak. Wyszłaś za człowieka z waszej sekcji kodów.

Przytakuje.

- Zostałaś wdową trzy lub cztery lata później. Córka przyszła na świat po śmierci twojego męża. Wróciłaś do Stanów. Osiadłaś na wsi. To wszystko, co wiem.

- Nie ma nic więcej. Wypija następny łyk herbaty.
- Dlaczego tu wróciłaś?
- Powody osobiste. Trochę też sentyment.
- Pod przybranym nazwiskiem?
- Tak. Chodzi o rodzinę mojego męża. Nie chcę, żeby wiedzieli, że tu jestem.
- Ciekawe. Uważasz, że oni obserwują przybyszów tak dokładnie jak my?
- Nie wiedziałam, że obserwujecie ludzi, którzy tu przyjeżdżają.
- Akurat teraz robimy to.
- Zgubiłam się. Nie wiem, co się dzieje.

Znów przetacza się grzmot. Jeszcze kilka kropel spada wokół nas.

- Chciałbym wierzyć, że naprawdę jesteś na emeryturze. Wiesz, sam zbliżam się do tego wieku - mówi.

- Nie mam powodu, by wracać do interesu. Odziedziczyłam przyzwoitą sumę, wystarczająco dużą, żebym mogła zadbać o siebie i o moją córkę.

Przytakuje.

- Gdybym otrzymał taką zachętę, nie byłbym w terenie - stwierdza. - Wolałbym siedzieć w domu i czytać, grać w szachy, jeść i pić o stałych porach. Ale musisz przyznać, że to spory zbieg okoliczności, że jesteś tutaj w chwili, gdy decyduje się pomyślna przyszłość kilku narodów.

Kręce głową.

- Przestałam się interesować wieloma sprawami.  
- Konferencja naftowa w Osace. Zaczyna się za dwa tygodnie, licząc od środy. Planowałaś może odwiedzić Osa-kę mniej więcej w tym czasie?

- Nie wybieram się do Osaki.

- A zatem kurier. Ktoś stamtąd spotka się z tobą, zwykłą turystką, na jakimś etapie twojej podróży, żeby przekazać...

- Mój Boże! Czy ty myślisz, że wszystko to spisek, Borys? Zajmuję się po prostu pewnymi osobistymi problemami i odwiedzam pewne miejsca, które coś dla mnie znaczą. Konferencja nie jest dla mnie ważna.

- W porządku. - Kończy swoją herbatę i odstawia filiżankę. - Wiesz, że my wiemy, że jesteś tutaj. Jedno słówko japońskim władzom, że podróżujesz na fałszywych papierach, i cię wykopią. To byłoby najprostsze. Nikomu tak naprawdę nie stałaby się krzywda, a jedna agentka zostałaby wyeliminowana. Tylko że szkoda byłoby zepsuć ci podróż, jeśli naprawdę jesteś wyłącznie turystką...

Podła myśl przemyka mi przez głowę, kiedy widzę, dokąd to prowadzi, i wiem, że jest ona o wiele nikczemniejsza niż jego zamysły. Jest to coś, czego nauczyłam się od dziwnej starej kobiety, z którą kiedyś pracowałam, a która nie wyglądała jak stara kobieta.

Kończę moją herbatę i podnoszę oczy. On się uśmiecha.

- Zrobię dla nas jeszcze trochę herbaty - mówię. Widzę, że górny guzik mojej koszuli odpina się, gdy wyginam się częściowo do tyłu. Potem pochylam się do przodu z jego filiżanką i biorę głęboki oddech. - Czy dałoby się coś zrobić, żebyś nie informował o mnie władz?

- Mógłbym się nad tym zastanowić - odpowiada. - Myślę, że prawdopodobnie twoja historia jest prawdziwa. A nawet jeśli tak nie jest, nie podjęłabyś ryzyka przenoszenia czegokolwiek teraz, kiedy wiem o tobie.

- Naprawdę chcę skończyć tę podróż - mówię, mrugając kilka razy więcej niż normalnie. - Zrobiłabym wszystko, żeby mnie teraz nie odesłali.

Chwyta mnie za rękę.

- Cieszę się, że to powiedziałaś, Mariuszka - oznajmia. - Jestem samotny, a ty wciąż jesteś piękną kobietą.

- Tak myślisz?

- Zawsze tak myślałem, nawet tego dnia, kiedy wybiłaś mi zęby.

- Przykro mi z tego powodu. To była po prostu praca, wiesz przecież.

Jego ręka przesuwa się na moje ramię.

- Oczywiście. I tak wyglądały lepiej po naprawie niż przedtem. - Wstaje i siada obok mnie. - Marzyłem o tym wiele razy - mówi, gdy rozpina resztę guzików mojej koszuli i klamrę mojego paska.

Pociera lekko mój brzuch. Nie jest to nieprzyjemne uczucie. Minęło już tyle czasu.

Wkrótce jesteśmy zupełnie rozebrani. Nie spieszy się, a kiedy jest gotowy, witam go między moimi nogami. W porządku, Borys. Ja cię przewiozę, a ty spadniesz. Mogłabym niemal czuć się trochę winna z tego powodu. Jesteś delikatniejszy, niż się spodziewałam. Zaczynam oddychać we właściwym rytmie, głęboko i powoli. Skupiam uwagę na naszych hara, oddalonych od siebie tylko o centymetry. Czuję, jak poruszają się nasze energie, zjawiskowe i ciepłe. Wkrótce kieruję ich przepływem. On odczuwa to tylko jako przyjemność, być może bardziej wyczerpującą niż zwykle. Kiedy jednak skończy...

- Powiedziałaś, że masz jakiś problem? - pyta z tą męską wielkodusznością, która towarzyszy stosunkowi i najczęściej popada w zapomnienie po kilku minutach. - Jeśli jest to coś, w czym mógłbym ci pomóc, mam jakieś wolne dni od czasu do czasu. Lubię cię,

Mariuszka.

- To coś, co muszę zrobić sama. Ale i tak dziękuję. Robię to w dalszym ciągu.

Później, gdy się ubieram, leży i spogląda na mnie.

- Chyba się starzeję, Mariuszka - snuje refleksję. - Zmęczyłaś mnie. Czuję, że mógłbym spać tydzień.

- Tyle mniej więcej trzeba czasu - mówię. - Tydzień i powinieneś znów czuć się świetnie.

- Nie rozumiem...

- Pracowałeś ostatnio zbyt ciężko. Jestem pewna. Ta konferencja...

Kiwa głową.

- Prawdopodobnie masz rację. Naprawdę nie masz z tym nic wspólnego...?

- Naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

- Dobrze.

Czyszczę czajnik i filiżanki. Wkładam je ponownie do plecaka.

- Czy byłbyś tak miły i przesunął się, Borys, mój drogi? Myślę, że będę potrzebowała za chwilę mojego poncho.

- Oczywiście.

Podnosi się wolno i podaje mi je. Zaczyna się ubierać. Jego oddech jest ciężki.

- Dokąd stąd idziesz?

- Do Mishimagoe, po następny widok mojej góry - mówię.

Kręci głową. Kończy się ubierać i siada na ziemi, opierając się plecami o pień drzewa.

Znajduje swoją piersiówkę i wypija łyk. Potem wyciąga ją w moją stronę.

- Chciałabyś trochę?

- Dziękuję, nie. Muszę ruszać w drogę. Podnoszę moją laskę. Kiedy znów na niego patrzę, uśmiecha się blado, ze smutkiem.

- Potrafisz wykończyć mężczyznę, Mariuszka.

- Musiałam - mówię.

Odchodzę. Pokonam dziś dwadzieścia mil. Jestem pewna. Deszcz zaczyna padać, zanim wychodzę z lasu, liście szeleszczą jak skrzydła nietoperzy.

## **11. Widok góry Fudzi z Mishimagoe**

Światło słoneczne. Czyste powietrze. Na drzeworycie widać dużą kryptomerię, za

drzewem majaczy Fudzi, dym przesłania wierzchołek. Dziś nie ma dymu, ale znalazłam dużą kryptomerię i ustawiłam się tak, że przecina ona zbocze Fudzi na lewo od szczytu. Jest kilka chmur, mniej podobnych do prażonej kukurydzy niż dym Hokusaia (słyszac to, wzrusza ramionami), i one będą musiały wystarczyć.

Skradzione chi wciąż daje mi siłę, ale głębiej działa teraz lekarstwo. Moje ciało wkrótce odrzuci pożyczoną energię, jakby to był przeszczepiony narząd. Do tego czasu jednak powinny zacząć mnie chronić lekarstwa.

Tymczasem widok jest prawie taki jak na drzeworycie. Jest piękny wiosenny dzień. Ptaki śpiewają, motyle robią zygzakowate ściegi w powietrzu; prawie słyszę, jak pod ziemią wzrastają rośliny. Świat pachnie świeżo i młodo. Już nie jestem śledzona. Witaj znów, życie.

Przyglądam się wielkiemu starymu drzewu i staram się usłyszeć jego echa na przestrzeni wieków: Yggdrasill Złota Gałąź, drzewko bożonarodzeniowe, drzewo wiadomości dobrego i złego, Bo, pod którym Gautama znalazł swą duszę i ją utracił...

Podchodzę, by przesunąć ręką po jego szorstkiej korze.

Widzę nagle, jak odmiennie wygląda z tego miejsca położona niżej dolina. Pola są niczym pograbiony piasek, wzgórza niczym kamienie, Fudzi niczym głaz. Jest to ogród, doskonale zaprojektowany...

Później dostrzegam, że słońce się przesunęło. Stoję tutaj od wielu godzin. Moje małe oświetlenie pod wielkim drzewem. Choć jestem starsza niż moje człowieczeństwo, nie wiem, jak mogę się mu odwdzięczyć.

Ruszam nagle i zrywam jedną z jego szyszek. Jest bardzo mała jak na takiego giganta. Nie jest większa niż paznokieć mojego małego palca. Ma delikatne nacięcia, jakby wyrzeźbiły ją wróżki.

Wkładam ją do kieszeni. Zasadzę ją gdzieś po drodze.

Potem odchodzę, bo słyszę zbliżający się dźwięk dzwonów, a nie jestem jeszcze gotowa na to, by ludzkość zburzyła mój nastrój. Ale przy drodze jest mała gospoda, która nie należy chyba do żadnej sieci. Wykąpię się tam, zjem coś i prześpię się tej nocy w łóżku.

Jutro nadal będę silna.

## **12. Widok góry Fudzi z jeziora Kawaguchi**

Odbicia.

To jeden z moich ulubionych drzeworytów z tego cyklu: Fudzi widziana po drugiej



stronie jeziora i odbijająca się w nim. Po obu stronach piętrzą się zielone wzgórza, na drugim brzegu mała wioska, na wodzie widać samotną łódkę. Najbardziej fascynujące w tym drzeworycie jest to, że odbicie Fudzi w wodzie nie jest takie samo jak oryginał; położenie góry jest niewłaściwe, ma teraz zupełnie inne zbocza i śnieżną czapę, której nie ma Fudzi widoczna nad powierzchnią jeziora.

Siedzę w małej łódce, którą wynajęłam, i patrzę na to, co zostało w tyle. Niebo jest lekko zamglone, to dobrze. Żaden blask nie psuje odbicia. Miasteczko nie ma już tego starodawnego wyglądu z drzeworytu i jest teraz większe. Ale nie przejmuję się takimi szczegółami. Odbicie Fudzi, które oglądam, jest doskonalsze, ale to rozdwojenie i tak jest dla mnie fascynującym zjawiskiem.

To też ciekawe... Na drzeworycie nie ma odbicia wioski, nie ma też w wodzie obrazu łodzi. Odbija się tylko Fudzi. Ani śladu człowieka.

Widzę odbicie budynków niedaleko brzegu i w moim umyśle pojawiają się inne obrazy niż te, które znał Hokusai. Oczywiście przychodzi mi do głowy zatopione R'lyeh, ale atmosfera tego miejsca i tego dnia jest zbyt sielankowa. Ten obraz znika z umysłu niemal natychmiast, zamiast niego pokazuje się zatopione Is, którego dzwony wciąż wybijają godziny pod wodą. I Cudowna podróż Selmy Lagerlof, opowieść o marynarzu z rozbitego statku, który trafia do zatopionego miasta na dnie morza - miejsca zalanego, by ukarać jego chciwych, zarozumiałych mieszkańców, którzy wciąż zajmują się swoimi interesami i oszukują się nawzajem, chociaż wszyscy są martwi. Noszą bogate, staromodne stroje i prowadzą interesy w tym dziwnym kraju pod falami, tak jak to robili kiedyś. Marynarz chciałby wejść między mieszczan, wie jednak, że nie może pozwolić, żeby odkryli jego obecność, bo wtedy zamieniony zostanie w jednego z nich, nigdy nie wróci na ziemię, nie zobaczy słońca. Przypuszczam, że myślę o tej starej bajce dla dzieci, ponieważ rozumiem teraz, co musiał czuć ów marynarz. Skutkiem mojego odkrycia także może być przemiana, której nie potrzebuję.

I oczywiście, gdy pochylam się i oglądam moje rysy odbite w wodzie, pod jej lustrzaną powierzchnią jest świat Lewisa Carrolla. Zanurkować jak dziewczyna Ama i zagłębiać się... Wirując, zejść w dół i przez kilka minut przebywać wśród mieszkańców uroczej krainy paradoksu... Lustreczko, lustreczko, dlaczego prawdziwy świat tak rzadko nam pomaga, gdy pragniemy podziwiać piękno? Przeszłam już połowę drogi. Osiągam półmetek mojej pielgrzymki i mierzę wzrokiem swoje odbicie w jeziorze. To dobry czas i miejsce, by spojrzeć na własną twarz, by zastanowić się nad wszystkimi sprawami, które mnie tu przywiodły, by pomyśleć, co może mnie jeszcze spotkać w podróży. Chociaż obrazy

mogą czasami kłamać. Kobieta, która na mnie patrzy, wydaje się spokojna, silna i wygląda lepiej, niż się spodziewałam. Lubię cię, Kawaguchi, jezioro z ludzką osobowością. Przypochlebiam ci się literackimi komplementami, a ty odwzajemniasz moje uprzejmości. Spotkanie z Borysem zdjęło ciężar strachu z mojego umysłu. Żadni ludzcy wysłannicy mego bezwzględniego przeciwnika nie próbowali stanąć mi na drodze. A więc moje wysiłki nie są jeszcze zupełnie beznadziejne.

Fudzi i obraz. Góra i dusza. Czy coś złego nie odbijałoby się wcale tam, w dole - jakaś ciemna góra, na której straszne czyny dokonywały się przez całą historię? Przypominam sobie, że Kit nie rzuca już cienia, nie ma już odbicia.

Czy jednak jest naprawdę zły? Moim zdaniem, tak. Szczególnie jeśli robi to, o co go podejrzewam.

Powiedział, że mnie kocha, i ja też kochałam go naprawdę, kiedyś. Co mi powie, gdy spotkamy się znowu, bo spotkać się musimy?

To będzie bez znaczenia. Niech mówi, co chce, i tak spróbuję go zabić. Wierzy, że jest niezwyciężony, niezniszczalny. Ja w to nie wierzę, myślę za to, że jestem jedyną osobą na ziemi, która może go zniszczyć. Dużo czasu upłynęło, nim odkryłam, jak to zrobić, jeszcze więcej, nim postanowiłam spróbować. Muszę to zrobić dla Kendry, a także dla siebie. Reszta ludzkości jest na trzecim miejscu.

Zanurzam dłoń w wodzie. Zaczynam cicho śpiewać starą pieśń, pieśń miłosną. Nie mam ochoty opuszczać tego miejsca. Czy druga część mojej podróży będzie lustrzanym odbiciem pierwszej? Czy też może przedostaną się na drugą stronę lustra i znajdę się w dziwnym królestwie, w którym on zamieszkał?

Wczoraj po południu zasadziłam nasiono kryptomerii w odosobnionej dolinie. Kiedyś takie drzewo będzie tam wspaniale wyglądać; przeżyje narody i armie, szaleńców i mędrców.

Zastanawiam się, gdzie jest Rlyeh. Zniknęła gdzieś rano po śniadaniu, być może goniła motyla. I tak nie mogłabym jej ze sobą zabrać.

Mam nadzieję, że Kendra ma się dobrze. Napisałam do niej długi list wyjaśniający wiele spraw. Zostawiłam go pod opieką przyjaciela-adwokata, który prześle go jej pewnego dnia w nie tak już odległej przyszłości.

Drzeworyty Hokusaia... Być może przetrwają dłużej niż kryptomeria. Po mnie nie zostaną żadne dzieła.

Dryfując między światami, po raz tysięczny wyobrażam sobie nasze spotkanie. Dostanie to, czego chce, jeśli uda mu się powtórzyć starą sztuczkę. Ja będę musiała użyć jeszcze starszej, by nie pozwolić mu tego dostać. Oboje wyszliśmy z wprawy.

Dużo już czasu minęło, odkąd przeczytałam Anatomie melancholii. Nie takich rozrywek szukałam w ostatnich latach. Ale przypominam sobie linijkę czy dwie, kiedy widzę przemykające obok ryby: „Polikrates Samius, który wrzucił swój pierścień do morza, ponieważ chciał uczestniczyć w niezadowoleniu innych, i któremu wkrótce potem ów pierścień został w cudowny sposób zwrócony przez rybę złowioną na wędkę, nie był pozbawiony melancholijnego usposobienia. Żaden człowiek nie może się sam uleczyć...” Kit odrzucił swoje życie i zyskał je. Ja zachowałam swoje i je straciłam. Czy pierścienie kiedykolwiek naprawdę wracają do właściwych ludzi? A jeśli kobieta sama się leczy? Lekarstwo, którego szukam, jest bardzo szczególne.

Hokusai, pokazałeś mi wiele rzeczy. Czy możesz wskazać mi odpowiedź?

Stary człowiek wolno podnosi ramię i wskazuje na swoją górę. Potem opuszcza je i wskazuje na obraz góry.

Kręcę głową. To odpowiedź, która nie jest odpowiedzią. Odwrócony, potrząsa głową w moją stronę i znowu wskazuje to samo.

Chmury gromadzą się wysoko nad Fudzi, ale to nie jest odpowiedź. Przyglądam się im uważnie przez dłuższą chwilę, lecz nie dostrzegam wśród nich interesujących obrazów.

Potem opuszczam oczy. Podo mną, odwrócone, przybierają inne kształty. Jak gdyby przedstawiały starcie dwóch armii. Patrzę w zachwycie, jak płyną razem i siły po mojej prawej stopniowo przewracają i zalewają te z lewej. Jednak siły z prawej ulegają przy tym osłabieniu.

Konflikt? Takie jest przesłanie? I obie strony tracą coś, czego nie chcą stracić? Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem, stary człowieku.

On się wciąż wpatruje. Spoglądam znów tam gdzie on, w górę. Widzę teraz smoka zanurzającego się w stożku Fudzi.

Patrzę jeszcze raz w dół. Nie ma już żadnych armii, jest tylko rzeź; a tutaj ogon smoka staje się ręką umierającego wojownika, w której tkwi miecz.

Zamykam oczy i staram się go dosięgnąć. Miecz z dymu dla człowieka z ognia.

### **13. Widok góry Fudzi z Koishikawy w Edo**

Śnieg na dachach domów, na wiecznie zielonych roślinach, na Fudzi - chyba dopiero zaczyna miejscami topnieć. Okno pełne kobiet - powiedziałabym, że to gejsze - oglądających ten widok, jedna z nich wskazuje palcem trzy ciemne ptaki wysoko na bladym niebie. Widok

Fudzi z tego miejsca najbardziej przypomina scenę z drzeworytu, ale niestety nie ma śniegu, nie ma gejsz i nie ma słońca. Szczegóły...

Oba są interesujące, a nadawanie elementom dzieła dodatkowych znaczeń jest jedną z najważniejszych sił w estetyce. Nie mogę przestać myśleć o gejszy z gorących źródeł w Krainie śniegu, powieści Kawabaty Yasunariego o samotności i zmarnotrawionym, gasnącym pięknie, która zawsze była dla mnie wielkim japońskim antyroman-sem. Drzeworyt przywodzi mi na myśl całą tę opowieść. Wyrzeczenie się miłości. Kit nie był Shimamurą, bo jednak mnie chciał, ale tylko na swoich, bardzo szczególnych warunkach, na które nie mogę się zgodzić. Egoizm czy bezinteresowność? To nie jest ważne...

A ptaki, na które wskazuje gejsza...? „Trzyście sposobów patrzenia na kosa”? To by pasowało. Nigdy się nie zgadzaliśmy, kiedy chodziło o zasady.

Dwa kruki? I dorzucić jeszcze zadziornego Kruka Teda Hughesa? Być może, ale nie będę ciągnąć słomek. Złudzenie za każdą aluzję, a gdzie są niegdysiejsze śniegi?

Opieram się na mojej lasce i przyglądam się mojej górze. Pragnę zaliczyć jak najwięcej moich stacji, nim doprowadzę do starcia. Czy to nie jest uczciwe? Dwadzieścia cztery sposoby patrzenia na górę Fudzi. Przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby wybrać sobie w życiu jedną rzecz i przyglądać się jej z wielu perspektyw, skoncentrować w niej swoje istnienie i być może odpokutować dzięki niej niewłaściwe wybory.

Kit, nadchodzę, tak jak mnie kiedyś prosiłeś, ale mam własną trasę i własne powody. Szkoda, że muszę to robić, lecz tak naprawdę nie dałeś mi w tej sprawie żadnego wyboru. A zatem nie są to właściwie moje działania, tylko twoje. Stałam się twoją ręką obróconą przeciw tobie, przedstawicielką czegoś w rodzaju kosmicznego aikido.

Przechożę przez miasto po zmroku, wybierając tylko ciemne ulice, na których wszystko już pozamykano. W ten sposób jestem bezpieczna. Kiedy muszę przebywać w mieście, zawsze spędzam dzień w jakimś bezpiecznym miejscu i wędruję tymi ulicami nocą.

Znajduję małą restaurację na rogu jednej z nich i jem tam kolację. Panuje tu zgiełk, ale jedzenie jest dobre. Biorę też moje lekarstwo i piję trochę sake.

Później pozwalam sobie na ten luksus, że idę pieszo, zamiast wziąć taksówkę. Mam do przejścia długą drogę, ale noc jest jasna i gwiazdzista, a powietrze przyjemne.

Spaceruję prawie dziesięć minut, słuchając odgłosów ruchu ulicznego, muzyki z jakiegoś odległego radia czy magnetofonu, krzyku z innej ulicy, wiatru przelatującego wysoko nade mną i ocierającego swoje szorstkie futro o ściany budynków.

Potem wyczuwam nagłą jonizację w powietrzu.

Z przodu nic nie ma. Odwracam się, ustawiam laskę w pozycji obronnej.

Epigon o sześciorogim psim ciele i głowie niczym gigantyczny ognisty kwiat wyłania się z jakichś drzwi i przesuwa się bokiem wzdłuż frontowej ściany budynku w moim kierunku.

Przez cały czas śledzę jego ruchy, przesuwając laskę, i markuję cios, gdy tylko jest dostatecznie blisko. Niestety, uderzam niewłaściwym końcem, kiedy nadchodzi. Włosy zaczynają mi stawać na głowie, gdy wykręcam się i schodzę mu z drogi, tnę, wycofuję się, odwracam i znów uderzam. Tym razem metalowy koniec wbija się w tę podobną do kwiatu głowę.

Włączyłam baterie, nim przystąpiłam do ataku. Ładunek niszczy równowagę. Epigon wycofuje się z rozdętą głową. Podążam za nim i uderzam znowu, tym razem w korpus. Puchnie jeszcze bardziej, potem upada w deszczu iskier. Ale ja już odwracam się i uderzam znowu, bo zanim jeszcze skończyłam z pierwszym, zauważyłam, że zbliża się następny.

Ten posuwa się do przodu skokami, jak kangur. Gdy jest obok, trafiam go lekko laską, on jednak uderza mnie swoim długim, bulwiastym ogonem. Siła tego ciosu sprawia, że mimowolnie odskakuję do tyłu. Wycofując się, odruchowo wywijam przed sobą laskę. On odwraca się szybko, po czym staje na tylnych łapach. Jest czworonożny, a jego uniesione przednie kończyny to fontanny ognia. Jego pełna oczu twarz płonie i patrzenie na nią sprawia ból.

Przysiada na zadzie, potem znów skacze.

Przetaczam się pod nim i atakuję, gdy spada na ziemię. Nie trafiam jednak, więc odwraca się, by znów zaatakować w chwili, gdy zadaję kolejny cios. Skacze, a ja odsuwam się na bok, uderzając od dołu. Wydaje mi się, że dosięgam celu, ale nie mogę być pewna.

Łąduje całkiem blisko mnie, podnosi przednie kończyny. Tym razem jednak nie skacze. Po prostu rzuca się naprzód, tylne łapy szybko szurają po ziemi, nogi zdają się zmieniać długość, by ruchy były płynniejsze.

Gdy nadchodzi, trafiam go prosto w korpus właściwym końcem laski. Wciąż jeszcze się zbliża lub upada, nawet kiedy już płonie i zaczyna się rozpraszać. Jego dotknięcie sprawia, że me ciało na chwilę sztywnieje, czuję, jak jego ładunek przepływa przez mój bark i pierś. Patrzę, jak rozpada się w chwili podobnej do błysku flesza i znika.

Raz jeszcze odwracam się szybko, ale z drzwi nie wyłania się trzeci epigon. Nie widzę też żadnego nad głową. Jest jednak samochód, który jedzie tą ulicą w moją stronę i zwalnia. Nieważne. Potencjał terminalu musi być na razie wyczerpany, ale jestem bardzo ciekawa, jak długo musiał się tam gromadzić, żeby powstały te dwa epigony, których się właśnie pozbyłam. Najlepiej będzie, jeśli teraz szybko stąd odejdę.

Jednak gdy ruszam znów w drogę, ktoś woła mnie z samochodu, który zatrzymał się obok:

- Proszę pani, proszę chwilę poczekać.

To wóz policyjny, a młody mężczyzna, który zwrócił się do mnie, ma na sobie mundur i wyraz jego twarzy jest bardzo dziwny.

- Tak, panie oficerze? - odpowiadam.

- Widziałem panią przed chwilą - mówi. - Co pani robiła?

Śmieję się.

- To taki piękny wieczór - mówię - a ulica była pusta. Pomyślałam, że przeciwicę kata moim bo.

- Z początku myślałem, że coś pani atakuje, że coś widziałem...

- Jestem sama, jak pan widzi.

Otwiera drzwi i wysiada. Zapala latarkę i oświetla jej promieniem chodnik oraz wejście tamtego domu.

- Puszczala pani sztuczne ognie?

- Nie.

- Widziałem iskry i błyski.

- Musi się pan mylić.

Wciąga nosem powietrze. Bada bardzo dokładnie chodnik, a potem rynsztok.

- Dziwne - mówi. - Czy idzie pani daleko?

- Niezbyt.

- Miłego wieczoru.

Wsiada z powrotem do samochodu. Po chwili jedzie dalej ulicą.

Idę teraz szybko w swoją stronę. Chcę opuścić tę okolicę, nim zgromadzony zostanie następny ładunek. Pragnę też stąd odejść po prostu dlatego, że gdy przebywam tutaj, jestem niespokojna.

Zadziwia mnie łatwość, z jaką zostałam odnaleziona. Co zrobiłam nie tak?

- Moje drzeworyty - zdaje się mówić Hokusai, kiedy już docieram do celu i wypijam zbyt wiele brandy. - Pomyśl, córko, bo inaczej cię oszukają.

Próbuję, ale Fudzi miażdży mi głowę i usuwa z niej myśli. Epigony tańczą na jej zboczach. Zapadam w niespokojną drzemkę.

Może jutro w nowym świetle zobaczę...

#### **14. Widok góry Fudzi z Meguro w Edo**

Znów drzeworyt nie ukazuje tego, co naprawdę widzę. Są tam chłopcy wśród wiejskich chałup, zbiega wzgórze z terasami, samotne drzewo wystające ze stoku wzniesienia po prawej, zwieńczona śniegiem Fudzi częściowo przesłonięta przez podstawę wzgórza.

Nie zdołałam odnaleźć żadnego miejsca, z którego miałabym widok choć w przybliżeniu przypominający tamten, mimo że Fudzi oglądana z ławki w małym parku, na której siedzę, jest rzeczywiście częściowo niewidoczna - podobnie jak na drzeworycie zasłania ją zbocze. To wystarczy.

Częściowo przesłonięta, tak jak moje myślenie. Jest coś, co powinnam widzieć, ale co skrywa się przede mną.

Poczułam to w chwili, gdy pokazały się epigony, niczym diabły posłane, by żądać duszy Fausta. Ale ja nigdy nie zawarłam paktu z diabłem... tylko z Kitem, i zwano to małżeństwem. Nie mogłam wiedzieć, jak niewielka będzie różnica.

Teraz... Najbardziej chciałabym wiedzieć, jak mimo środków zapobiegawczych ustalono miejsce mojego pobytu. Decydujący pojedynek musi się odbyć na moich warunkach, nie na cudzych. Nie chodzi tu tylko o powody osobiste, chociaż nie przeczę, że i one mają w tym swój udział.

W Hagakure Yamamoto Tsunetomo uczył, że droga wojownika jest drogą śmierci, że aby uzyskać pełnię wolności, trzeba żyć tak, jakby twoje ciało było już martwe. Bez trudu mogę zachować taką postawę. Jednak ten fragment o wolności jest bardziej skomplikowany; kiedy już nie rozumiesz w pełni natury wroga, twoje działania są przynajmniej częściowo uwarunkowane przez niepewność.

Moja przesłonięta Fudzi wciąż tam jest, nietknięta, wiem to mimo braku pełnych danych wzrokowych. W taki sam sposób powinnam dzięki zarysom, które do tej pory widziałam, wyobrazić sobie moc, która mnie teraz prześladowa. Powróćmy do śmierci. Wydaje się, że coś tam jest, chociaż zdaje się także, że tylko tyle można o niej powiedzieć i że ja już to zrobiłam.

Śmierci... Przyjdź łagodnie... Mieliliśmy taką grę towarzyską, kiedy to wpisywaliśmy dziwaczne przyczyny w zmyślonych aktach zgonu: „Zjedzony przez potwora z Loch Ness”. „Podeptany przez Godzillę”. „Otruty przez ninja”. „Przeniesiony”.

Kit przyjrzał mi się, ścigając brwi, kiedy zaproponowałam to ostatnie.

- Co to znaczy „przeniesiony”? - zapytał.

- W porządku, może i nie całkiem pasuje to do reszty - powiedziałam - ale i tak myślę, że skutek byłby taki sam. „Przez wiarę Henoch został przeniesiony, aby nie oglądał śmierci” - List do Hebrajczyków świętego Pawła, 11,5.

- Nie rozumiem.

- Oznacza to przeniesienie bezpośrednio do nieba z pominięciem zwyczajnego przydługiego końca tutaj, na ziemi. Niektórzy muzułmanie wierzą, że Mahdi został przeniesiony.

- Ciekawe pojęcie. Będę musiał o tym pomyśleć - powiedział.

Oczywiście, że to zrobił.

Zawsze uważałam, że Kurosawa mógłby nakręcić coś cholernie dobrego na podstawie Don Kichota. Powiedzmy, że ten starszy pan żyje sobie współcześnie, jest uczonym, człowiekiem zafascynowanym wczesną epoką samurajów i kodeksem bushido. Powiedzmy, że identyfikuje się tak silnie z tymi ideałami, że pewnego dnia traci zmysły i zaczyna wierzyć, iż jest samurajem z dawnych czasów. Przywdziewa jakąś nie dopasowaną zbroję, którą gdzieś zdobył, bierze swój katana i rusza przed siebie, by zmieniać świat. W końcu zostaje przez ten świat zniszczony, ale przestrzega kodeksu. Oddanie sprawie to cecha, która mimo całej jego śmieszności czyni go kimś szczególnym i szlachetnym. Nigdy nie uważałam, że Don Kichot jest tylko parodią rycerskości, szczególnie po tym, jak dowiedziałam się, że Cervantes służył pod rozkazami don Juana de Austria w bitwie pod Lepanto. Można by bowiem dowodzić, że don Juan był ostatnim Europejczykiem, który w swoim postępowaniu kierował się średniowiecznym kodeksem rycerskim. Wychowany na średniowiecznych romansach, kształtował swe życie podług zawartych w nich wzorców. Jakież znaczenie miało to, że sami średniowieczni rycerze tak nie postępowali? Wierzył i działał w tej wierze. U kogokolwiek innego mogłoby to być po prostu zabawne, tyle że czas oraz okoliczności dały mu kilka razy sposobność działania w ważnych chwilach i zwyciężał. Cervantes na pewno był pod wrażeniem swojego starego dowódcy, więc kto wie, jak mogło to wpłynąć na jego późniejsze dokonania literackie. Ortega y Gasset nazywał Kichota gotyckim Chrystusem. Dostojewski postrzegał go tak samo, a kiedy usiłując sportretować kogoś podobnego do Chrystusa, stworzył postać księcia Myszkina, także uznał, że szaleństwo jest niezbędnym warunkiem wstępnym tego stanu w jego czasach.

Wszystko to pozwala mi wyrazić moje przekonanie, że Kit był przynajmniej częściowo szalony. Ale nie był żadnym gotyckim Chrystusem. O wiele bardziej przypominał Elektronicznego Buddę.

- Czy sieć danych ma naturę Buddy? - spytał mnie pewnego dnia.



- Pewnie - powiedziałam. - Przecież wszystko ją ma, prawda? - Zobaczyłam jednak wyraz jego oczu i dodałam: - Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

Chrząknął wtedy, położył się na swoim tapczanie rezonansowym, opuścił hełm indukcyjny i kontynuował wspomaganą przez komputer analizę szatańsko skomplikowanego szyfru ze 128-bitowym kluczem. Teoretycznie złamanie go za pomocą prymitywnej siły zabrałoby tysiące lat, ale odpowiedź potrzebna była w ciągu dwóch tygodni. Jego system nerwowy połączył się z siecią danych, mógł tego dokonać.

Przez jakiś czas nie zwracałam uwagi na rytm jego oddechu. Dopiero później zorientowałam się, że po skończeniu pracy coraz dłużej medytował, wciąż podłączony do systemu.

Kiedy to zauważyłam, rozgniewana powiedziałam mu, że jest zbyt leniwy, by to wyłączyć.

Uśmiechnął się.

- To strumień - rzekł. - Nie tkwisz w jednym miejscu. Płyniesz strumieniem.

- Mógłbyś wyciągać wtyczkę, nim zacznasz płynąć swoim strumieniem. Mniej byśmy zapłacili za prąd.

Pokręcił głową, wciąż się uśmiechając.

- Ale to właśnie tym strumieniem płynę. Docieram coraz dalej. Powinnaś tego kiedyś spróbować. Były chwile, gdy czułem, że mógłbym się tam przenieść.

- To wyobraźnia czy teologia?

- I jedno, i drugie.

A potem pewnej nocy naprawdę popłynął strumieniem. Znalazłam go rano na jego tapczanie rezonansowym, wciąż miał na głowie hełm. Myślałam, że śpi. Tym razem przynajmniej wyłączył nasz terminal. Nie zakłócał mu odpoczynku. Nie miałam pojęcia, do jak późna mógł pracować. Jednak kiedy zbliżał się wieczór, zaczęłam się martwić i próbowałam go obudzić. Nie udało się. Był w stanie śpiączki.

Później, w szpitalu, miał płaskie EEG. Jego oddech stał się niezwykle płytki, ciśnienie krwi bardzo niskie, puls słaby. Następne dwa dni przyniosły dalsze pogorszenie. Lekarze poddali go wszystkim badaniom, jakie im przyszły na myśl, ale nie potrafili określić przyczyny jego stanu. Ponieważ kiedyś podpisał dokument z prośbą, by nie podejmowano heroiczych starań w celu przedłużenia jego życia, gdyby dosięgło go coś nieodwracalnego, nie podłączono go do respiratorów, pomp i kroplówek, kiedy jego serce przestało bić po raz czwarty. Sekcja zwłok niczego nie wyjaśniła. W akcie zgonu napisano po prostu: „Zatrzymanie akcji serca. Możliwa przyczyna: udar mózgu”. Dalej były wyłącznie domysły.

Nie znaleźli na to dowodów. Jego narządów nie przekazano potrzebującym, jak o to prosił, w obawie przed jakimś dziwnym nowym wirusem, który mógłby zostać przekazany dalej.

Kit, tak jak Marley, był martwy, od tego trzeba zacząć.

## **15. Widok góry Fudzi z Tsukudajimy w Edo**

Błękitne niebo, nisko kilka chmur, Fudzi za jasnymi wodami zatoki, kilka łódek i wysepka pomiędzy nami. Znow nie chcę pamiętać o zmianach spowodowanych przez upływ czasu i odkrywam znaczące podobieństwo między drzeworytem i rzeczywistością. Ponownie siedzę w małej łódce. Tutaj jednak nie odczuwam pragnienia, by zanurkować i pod falami poszukiwać zatopionych wspaniałości czy też by użyć mojej osoby do obliczenia zagęszczenia bakterii.

Dotarłam do tego miejsca bez zbaczania z trasy i bez incydentów. Przybyłam zatroskana. Pozostaję zatroskana. Wciąż mam duży zasób sił. Moje zdrowie się nie pogorszyło. Moje zmartwienia również pozostają te same, • a to znaczy, że na moje podstawowe pytanie wciąż nie ma odpowiedzi.

Przynajmniej czuję się bezpieczna tutaj, na wodzie. Jednak „bezpieczna” to określenie względne. A zatem „bezpieczniejsza”, niż czułam się na brzegu, gdzie przechodziłam wśród miejsc, w których mogły czyhać zasadzki. Nie czułam się naprawdę bezpieczna od tamtego dnia po moim powrocie ze szpitala.

Kiedy wróciłam do domu, byłam zmęczona po kilku bezsennych nocach. Położyłam się od razu do łóżka. Nie chciało mi się nawet patrzeć, która była godzina, więc nie mam pojęcia, jak długo spałam.

Obudziło mnie w ciemnościach coś, co brzmiało jak dzwonek telefonu. Sennym ruchem sięgnęłam po aparat, lecz zrozumiałam, że to jednak nie on dzwoni. Czy to był sen? Usiadłam na łóżku. Przetarłam oczy. Przeciągnęłam się. Niedawna przeszłość zaczęła powoli wypełniać mój umysł i wiedziałam, że znow nie będę spała przez jakiś czas. Stwierdziłam, że dobrze by mi zrobiła filiżanka herbaty. Wstałam i poszłam do kuchni, żeby zagotować trochę wody. Gdy przechodziłam przez pracownię, spostrzegłam, że świeci się jeden z monitorów naszego terminalu. Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby był wcześniej włączony, ale podeszłam, by go zgasić.

Kiedy spojrzałam na przełącznik, okazało się, że monitor nie jest uruchomiony. Zaciekawiona popatrzyłam znowu na ekran i dopiero wtedy dostrzegłam, że wyświetlony jest

na nim napis:

MARI  
WSZYSTKO DOBRZE.  
ZOSTAŁEM PRZENIESIONY.  
UŻYJ TAPCZANU I HEŁMU  
KIT

Poczułam, że wbijam palce w policzki, a w klatce piersiowej czułam ucisk z powodu powstrzymywania oddechu. Kto to zrobił? W jaki sposób? Czy była to może jakaś ostatnia deliryczna wiadomość pozostawiona przez samego Kita, nim przepadł?

Wyciągnęłam rękę i nacisnęłam kilka razy wyłącznik zasilania, ustawiając go na końcu tak, żeby monitor był zgaszony.

Napis wyblakł, lecz światło pozostało. Wkrótce na ekranie pojawił się z błyskiem nowy napis:

PRZECZYTAŁAŚ MNIE. DOBRZE.  
WSZYSTKO W PORZĄDKU. ŻYJĘ.  
WSZEDŁEM DO SIECI DANYCH.  
USIĄDŹ NA TAPCZANIE I UŻYJ HEŁMU.  
WSZYSTKO WYJAŚNIĘ.

Wybiegłam z pokoju. W łazience zwymiotowałam kilka razy. Później usiadłam na sedesie i zaczęłam się trząść. Kto mógł ze mnie żartować w tak przerażający sposób? Wypiłam parę szklanek wody i czekałam, aż drzenie trochę osłabnie.

Gdy ustąpiło, poszłam od razu do kuchni, zrobiłam sobie herbatę i trochę jej wypiałam. Moje myśli powoli się uspokoiły i zaczęłam to analizować. Rozważałam różne możliwości. Najbardziej prawdopodobna wydała mi się ta, że Kit zostawił dla mnie wiadomość i że gdy użyję indukcyjnego zestawu z interfejsem, zostanie mi ona od razu przekazana. Chciałam poznać jej treść, jakakolwiek ona była, ale nie wiedziałam, czy opanuję emocje i czy będę miała dość siły, żeby odebrać ją w tej chwili.

Siedziałam tam pewnie niemal godzinę. Wyrzałam raz przez okno i zobaczyłam, że niebo się rozjaśnia. Odstawiłam filiżankę. Wróciłam do pracowni.

Ekran wciąż świecił, jednak wiadomość się zmieniła:

NIE BÓJ SIĘ.  
USIĄDŹ NA TAPCZANIE I UŻYJ HEŁMU.  
WTEDY ZROZUMIESZ.

Podeszłam do tapczanu. Usiadłam na nim i położyłam się. Opuściłam hełm. Z początku nie było tam nic prócz szumów pola.

Potem poczułam jego obecność; było to coś trudnego do opisanie w świecie zwyczajnie wypełnionym tylko przepływami danych. Czekałam. Próbowałam przyjąć wszystko to, co w jakiś sposób zostało przez niego dla mnie zapisane.

- Nie jestem nagraniem, Mari - zdał się wtedy mówić do mnie. - Naprawdę tu jestem.

Chciałam uciec, ale zapanowałam nad tym odruchem. Wcześniej z trudem odzyskałam spokój i zamierzałam go zachować.

- Przedostałem się - zdawał się mówić. - Wszedłem do sieci. Dosięgam wielu miejsc. To czysta kundalini. Jestem tylko przepływem. To cudowne. Będę tu już zawsze. To nirwana.

- To naprawdę ty - powiedziałam.

- Tak, przeniosłem się. Chcę ci pokazać, co to znaczy.

- Zgoda.

- Teraz jestem zgromadzony tutaj. Rozsuń nogi swojego umysłu i wpuść mnie całego. Odprężyłam się, a on we mnie wpłynął. Wtedy zostałam uniesiona i zrozumiałam.

## **16. Widok góry Fudzi z Umezawy**

Fudzi za potokami lawy i wstęgami dymu, dryfujące chmury; ptaki w locie i ptaki na ziemi. Tym razem jest przynajmniej podobieństwo. Opieram się na lasce i przyglądam jej spokojnej sylwetce poza chaosem. Nauka przypomina tę, która płynie z utworu muzycznego: jestem wzmocniona w jakiś sposób, którego nie mogę opisać.

Idąc tutaj, widziałam kwitnące drzewa wiśni i pola purpurowe od koniczyzny, pola uprawne żółte od kwiatów rzepaku, źródła oleju, kilka zimowych kamelii wciąż ukazujących swoje czerwienie i różowości, zielone pędy na grządkach ryżowych, gdzieś tulipanowca ożywo-niegi bielą, błękitne góry w oddali, zamglone doliny rzek.

Przechodziłam przez wioski, w których płaty kolorowego metalu - błękitne i żółte, zielone, czarne, czerwone - pokrywają teraz strzechy domów, a podwórka wypełniają szaro-

niebieskie skały tak doskonale nadające się do tworzenia ogrodów krajobrazowych; czasami widziałam krowę przeżuwającą i schylającą się łagodnie; mijałam też podobne do blizn rzędy przykrytych plastikiem krzewów morwy, na których hodowane są jedwabniki. Serce biło mi szybciej, gdy widziałam dachówki, małe mostki, barwy... Powrót był jak wejście do opowieści Lafcadio Hearna.

Mój umysł z powrotem został wciągnięty na ścieżkę, którą podążałam do miejsc jej przecięcia z moją elektroniczną zmurą. Hokusai mógł mieć rację, ostrzegając mnie tamtej nocy, kiedy wypłam zbyt dużo, że jego drzeworyty potrafią mnie schwytać w pułapkę. Kit kilkakrotnie oczekiwał mojego przybycia. Skąd wiedział?

Wtedy nagle zrozumiałam. Moja mała książeczka z drzeworytami Hokusai - mały, oprawny w płótno tom wydany przez Charlesa E. Tuttle'a i Spółkę - była prezentem od Kita.

Możliwe, że oczekiwał mnie w Japonii mniej więcej w tym właśnie czasie z powodu Osaki. Czy to możliwe, że po tym, jak jego epigony namierzyły mnie kilka razy, prawdopodobnie dzięki masowemu przesiewaniu danych w terminalach, zestawił moje posunięcia z kolejnością drzeworytów w Widokach góry Fudzi Hokusai, wiedząc, jak bliskie mi one były, i po prostu odgadł, co będzie dalej, a potem czekał? Mam silne uczucie, że odpowiedź jest twierdząca.

Wejście do sieci danych z Kitem było wstrząsającym doświadczeniem. Moja świadomość rozszerzała się i płynęła, nie zaprzeczam. To, że byłam w wielu miejscach jednocześnie, że płynęłam z prądami, których z początku nie rozumiałam, że wiedza, transcendencja i rodzaj chwały były wszędzie wokół mnie i we mnie, było także rzeczywistością tego szczególnego postrzegania. Szybkość, z jaką byłam unoszona, wydawała się błyskawiczna i czułam smak wieczności. Dostęp do ogromnej liczby terminali i potężnych banków pamięci zdawał się środkiem do wszechwiedzy. Możliwość manipulowania czymkolwiek, co chciałabym zmienić w tym królestwie, i konsekwencje tego tam, gdzie wciąż czułam swoje odległe ciało, wydawały się wersją wszechmocy. I to uczucie... Posmakowałam słodczy, Kita ze mną i we mnie. Było to poddanie się i powrót do życia w nowym wcieleniu, było to uwolnienie od przyziemnego pożądania, wyzwolenie...

- Zostań tu ze mną na zawsze - zdawał się mówić Kit.

- Nie - zdawałam się odpowiadać jak we śnie, odkrywając, że jeszcze bardziej się zmieniam. - Nie mogę tak chętnie wyrzec się siebie.

- Odrzucasz to? Jedność i przepływ łączącej energii?

- I ten wspaniały brak odpowiedzialności?

- Odpowiedzialności? Za co? To czyste istnienie. Nie ma przeszłości.

- A zatem sumienie zanika.

- Po co ci ono? Nie ma też przyszłości.

- A zatem wszystkie działania tracą znaczenie.

- To prawda. Działania są złudzeniem. Ich skutki są złudzeniem.

- A paradoks triumfuje nad rozsądkiem.

- Nie ma paradoksu. Wszystko udaje się pogodzić.

- A zatem znaczenie umiera.

- Istnienie jest jedynym znaczeniem.

- Jesteś pewien?

- Poczuj to!

- Czuję. Ale to nie wystarczy. Odeślij mnie z powrotem, nim zamienię się w coś, czym nie chcę być.

- Czego więcej mogłabyś pragnąć niż tego?

- Moja wyobraźnia umrze także. Czuję to.

- A czym jest wyobraźnia?

- Rzeczą zrodzoną z uczucia i rozumu.

- Czy to nie jest właściwe uczucie?

- Tak, jest właściwe. Ale nie chcę tego uczucia bez niczego więcej. Kiedy badam uczucie za pomocą rozumu, widzę, że jest to czasami tylko wymówka, jeśli nie można sobie poradzić z jakąś skomplikowaną sprawą.

- Tu możesz się zająć każdą skomplikowaną sprawą. Spójrz na dane! Czy rozum nie pokazuje ci, że ten stan znacznie przewyższa ten, w którym znajdowałaś się jeszcze przed kilkoma chwilami?

- Nie mogę też ufać samemu rozumowi. Rozum pozbawiony uczucia doprowadził do tego, że ludzkość dopuszczała się potworności. Nie próbuj rozkładać na części mojej wyobraźni w ten sposób.

- Zachowujesz swój rozum i swoje uczucia!

- Ale nie ma między nimi połączenia: tutaj burza błogości, tam zalew danych. Muszą być jednością, bo inaczej utracę wyobraźnię.

- Niech zatem zginie. Wypełniła swoje zadanie. Skończ z nią. Co takiego możesz sobie wyobrazić, czego byś tu już nie miała?

- Nie wiem tego jeszcze i to daje jej moc. Jeżeli istnieje wola z iskierką boskości, znam ją tylko dzięki mojej wyobraźni. Mogę ci dać całą resztę, ale tego nie oddam.

- I to wszystko? Cień możliwości?

- Nie. Ale nawet samo to znaczy zbyt wiele, by można to było odrzucić.

- A moja miłość do ciebie?

- Ty nie kochasz już w ludzki sposób. Pozwól mi wrócić.

- Oczywiście. Pomyślisz o tym. Wrócisz.

- Z powrotem! Teraz!

Zerwałam hełm z głowy i szybko wstałam. Znow poszłam do łazienki, a potem do łóżka. Przez dłuższy czas spałam jak pod narkozą.

Czy moje odczucia dotyczące możliwości, przyszłości, wyobraźni byłyby inne, gdybym nie była w ciąży? Podejrzywałam to już wcześniej, lecz jeszcze mu o tym nie wspominałam, a teraz też się tego nie dowiedział, gdyż skupił uwagę na naszej kłótni. Lubię myśleć, że moje odpowiedzi byłyby takie same, ale nigdy się tego nie dowiem. Następnego dnia miejscowy lekarz potwierdził mój stan. Zdecydowałam się na wizytę, którą wcześniej odkładałam, gdyż moje życie wymagało wtedy jakiejś pewności - pewności czegokolwiek. Ekran w pracowni pozostawał pusty przez trzy dni.

Czytałam i rozmyślałam. Potem, pewnego wieczoru, światło znow się pojawiło.

JESTEŚ GOTOWA?

Włączyłam klawiaturę. Wpisałam jedno słowo:

NIE.

Następnie odłączyłam od prądu tapczan indukcyjny i hełm. Wyciągnęłam też wtyczkę samej jednostki.

Zadzwonił telefon.

- Halo? - powiedziałam.

- Dlaczego nie? - spytał.

Wrzasnęłam i odwiesiłam słuchawkę. Spenetrował obwody telefoniczne, przywłaszczył sobie jakiś głos. Telefon znow zadzwonił. Raz jeszcze odebrałam.

- Nie zaznasz odpoczynku, dopóki do mnie nie przyjdiesz - powiedział.

- Odpocznę, jeśli zostawisz mnie w spokoju - odparłam.

- Nie mogę. Jesteś dla mnie kimś szczególnym. Chcę, żebyś była ze mną. Kocham cię.

Odwiesiłam słuchawkę. Telefon ponownie zadzwonił. Zerwałam go ze ściany.

Wiedziałam, że wkrótce będę musiała opuścić to miejsce. Wszystko, co przypominało

mi o naszym wspólnym życiu, przytłaczało mnie i przygnębiało. Szybko się spakowałam i wyjechałam. Zamieszkałam w hotelu. Gdy tylko rozgościłam się w swoim pokoju, zadzwonił telefon i znowu był to Kit. Mój meldunek trafił do komputera i...

Poprosiłam w recepcji, żeby odłączyli mój telefon. Umieściłam na drzwiach wywieszkę „Nie przeszkadzać”. Rano zobaczyłam, że spod progu wystaje telegram. Od Kita. Chciał ze mną porozmawiać.

Postanowiłam pojechać daleko. Opuścić ten kraj, wrócić do Stanów.

Łatwo mu było mnie śledzić. Prawie wszędzie zostawiamy elektroniczne ślady. Dzięki kablom, satelitom i światłowodom mógł się dostać do każdego miejsca. Jak niechciany załotnik nękał mnie telefonami, przerywał programy telewizyjne, by wyświetlić wiadomości na ekranie, włączał się do moich rozmów telefonicznych z przyjaciółmi, prawnikami, pośrednikami handlu nieruchomościami, sklepami. Kilka razy przesłał mi nawet kwiaty, było to straszne. Mój elektroniczny bodhisattwa, mój niebieski pies gończy nie dawał mi spokoju. Małżeństwo z wytrwałą siecią danych jest czymś okropnym.

Tak więc osiadłam na wsi. Nie miałam w domu nic, przez co mógłby mnie dosięgnąć. Badałam możliwości omijania systemu, przemykania się obok jego licznych zmysłów.

Kilka razy byłam jednak nieostrożna, a wtedy natychmiast znów próbował mnie dopaść. Nauczył się jednak nowej sztuczki i doszłam do wniosku, że pracował nad nią po to, by zabrać mnie siłą do swojego świata. Mógł zgromadzić ładunek w terminalu, stworzyć z niego coś na kształt pioruna kulistego i zwierzęcia, a potem wysłać ten krótko żyjący artefakt na niewielką odległość, by wykonał jego wolę. Poznałam jednak słabą stronę tych tworów, kiedy jeden z nich przyszedł po mnie do domu przyjaciela, przeraził mnie i usiłował popchnąć w pobliże terminalu, przypuszczalnie w celu przeniesienia. Uderzyłam epigona - jak później nazwał go Kit w telegramie z wyjaśnieniami i przeprosinami - najbliższym przedmiotem, jaki miałam pod ręką: zapaloną lampą ze stołu, która przeniknęła jego pole i natychmiast spowodowała zwarcie w jakimś obwodzie. Epigon został zniszczony i w ten sposób odkryłam, że słabe zaburzenie elektryczne je destabilizuje.

Przebywałam na wsi i wychowywałam córkę. Czytałam, trenowałam sztuki walki, chodziłam po lasach i po górach, żeglowałam i nocowałam pod namiotem: wszystkie te wiejskie zajęcia sprawiały mi wiele przyjemności po życiu pełnym intryg, konfliktów, spisków i odwetów, przemocy; potem była ta mała, nietrwała wysepka bezpieczeństwa z Kitem. Byłam zadowolona z wyboru.

Fudzi za potokami lawy... Wiosna... Teraz wróciłam. To nie był mój wybór.



## **17. Widok góry Fudzi z jeziora Suwa**

A teraz docieram wieczorem do jeziora Suwa, mała Fudzi pozostaje w oddali. Nie jest to Kamaguchi z jego robiącymi tak wielkie wrażenie odbiciami. Ale jest tu pogodnie, co w połączeniu z moim nastrojem przynosi mi pewien spokój. Wcześniej przyswoiłam sobie życie wiosny i rozprzestrzeniło się ono po całym moim istnieniu. Kto chciałby burzyć ten świat, nadając mu zbyteczne kształty? Niech twoje usta będą zamknięte.

Czyż to nie w cichej prowincji Botchan osiągnął dojrzałość? Mam teorię dotyczącą książek takich, jak ta napisana przez Natsume Soseki. Ktoś powiedział mi kiedyś, że jest to jedyna książka, którą z pewnością przeczytał każdy wykształcony Japończyk. A więc przeczytałam ją. W Stanach powiedziano mi, że Huckleberry Finn to jedyna książka, którą z pewnością przeczytał każdy wykształcony Janke. A więc przeczytałam ją. W Kanadzie były to Słoneczne szkice z małego miasteczka Stephen Leacocka. We Francji był to Mój przyjaciel Meaulnes. Inne kraje mają własne książki tego rodzaju. Wszystkie one są pastoralkami, wspólna jest im bliskość wsi i sił natury w czasach bezpośrednio poprzedzających intensywną urbanizację i mechanizację. Te rzeczy pojawiają się na horyzoncie i napierają, ale są tylko ostrą przyprawą dodającą smaku prostszym wartościom. To książki młodzieńcze, o narodowej duszy i charakterze, a ich tematem jest utrata niewinności. Wiele z nich dałam Kendrze.

Okłamałam Borysa. Oczywiście wiem wszystko o konferencji w Osace. Jeden z moich byłych pracodawców nakłaniał mnie nawet, żebym zajęła się mniej więcej tym, o co podejrzewał mnie Borys. Odrzuciłam tę propozycję. Mam własne plany. Powstałby konflikt.

Hokusai, duchu i mentorze, rozumiesz przypadek i cel lepiej niż Kit. Wiesz, że ludzki porządek musi mieć wpływ na nasze interesy z wszechświatem i że jest to nie tylko konieczne, ale i dobre, i że światło wciąż się przebija.

Na wzgórzu, ponad krawędzią wody, wyjmuję ukryty sztylet i raz jeszcze go ostrzę. Słońce wypada z mojego kawałka świata, ale tutaj ciemność także jest moją przyjaciółką.

## **18. Widok góry Fudzi z pełnego morza w pobliżu Kanagawy**

A oto obraz śmierci. Wielka Fala, zawijająca się w górze, spadająca, mająca zaraz pochłonąć kruche statki. Ten drzeworyt Hokusai, który znają wszyscy.

Nie jestem surferem. Nie szukam doskonałej fali. Po prostu pozostanę tutaj, na brzegu, i będę patrzeć na wodę. To wystarczające przypomnienie. Moja pielgrzymka dobiega końca, chociaż on sam nie jest jeszcze widoczny.

Cóż... Widzę Fudzi. Nazwij Fudzi końcem. Szczyt znajduje się wewnątrz koła, tak jak to było z obręczą beczki na pierwszym drzeworycie.

Zmierzając tutaj, zatrzymałam się na małej polanie, na którą natrafiłam, i wykapałam się w przepływającym przez nią strumieniu. Potem użyłam drewna, które tam znalazłam, do budowy niskiego ołtarza. Obmywając ręce przy każdej kolejnej czynności, postawiłam przed nim kadzidło zrobione z drewna kamforowego i białego drewna sandałowego; umieściłam tam także wiązanek świeżych fiołków, filiżankę z warzywami i filiżankę ze świeżą wodą ze strumienia. Potem zapaliłam lampę, którą wcześniej kupiłam, i napełniłam olejem rzepakowym. Na ołtarzu ustawiłam posążek boga Kokuzo, który przywiozłam ze sobą z domu, jego oblicze obróciłam ku zachodowi, gdyż tam stałam. Raz jeszcze się obmyłam, a potem wyciągnęłam przed siebie prawą dłoń ze środkowym palcem zgiętym tak, że dotykał kciuka, i stojąc w tej pozycji, odmawiałam mantrę przywołującą Kokuzo. Wypiłam trochę wody. Oczyszcziłam się za pomocą jej kropel i nadal recytowałam mantrę. Później wykonałam trzykrotnie gest Kokuzo - ręką dotknęłam czubka głowy, potem prawego barku, lewego barku, serca i gardła. Ściągnęłam białe płótno, w które owinięty był obraz boga. Odgrodziłam ten obszar, powtarzając odpowiednie słowa, po czym medytowałam w tej samej pozycji co Kokuzo na obrazie i wzywałam go. Po pewnym czasie mantra zaczęła płynąć sama, bez końca.

Wreszcie miałam wizję i przemówiłam, opowiadając o wszystkim, co się zdarzyło, o wszystkim, co zamierzałam zrobić, oraz prosząc o siłę i poradę. Nagle dostrzegłam, jak jego miecz opada, opada niczym powolny piorun, by odciąć gałąź od drzewa, które zaczyna krwawić. A potem padał deszcz, i w wizji, i na moją głowę, i wiedziałam, że niczego więcej już się nie dowiem.

Zapakowałam wszystko, posprzątałam, nałożyłam poncho i poszłam dalej.

Deszcz był ulewny, zabłociłam buty, a temperatura spadła. Brnęłam naprzód przez dłuższy czas i zimno wkradło się do moich kości. Zdrętwiały mi palce rąk i nóg.

Wciąż rozglądałam się za schronieniem, ale nie dostrzegałam żadnego miejsca, w którym mogłabym się skryć przed burzą. Później ulewa zmieniła się w mżawkę, a ta osłabła i stała się podobna do mgły, i wtedy ujrzałam w oddali coś, co mogło być świątynią albo kaplicą. Poszłam w tamtą stronę z nadzieją, że dostanę tam trochę gorącej herbaty, ogrzeję się i będę mogła zmienić skarpetki oraz oczyścić buty.

Jakiś kapłan zatrzymał mnie przy bramie. Opowiedziałam mu o swoim położeniu i wyglądał na zakłopotanego.

- Mamy w zwyczaju udzielać schronienia każdemu - powiedział. - Ale jest pewien problem.

- Chętnie dam datek w gotówce, jeśli przechodziło tędy ostatnio zbyt wielu podróżnych i wasze zapasy są nadwężone. Naprawdę chciałam się tylko ogrzać - oznajmiłam.

- Och, nie, nie chodzi o zapasy - odparł - a jeśli już o tym mowa, to bardzo niewielu ludzi było ostatnio w tej okolicy. To problem innego rodzaju i wstyd mi o tym mówić. Brzmi to tak, jakbyśmy byli staroświeccy i zabobonni, podczas gdy tak naprawdę jest to bardzo nowoczesna świątynia. Ostatnio jednak jesteśmy... ach... nawiedzani.

- Och?

- Tak. Zwierzęce zjawy przychodzą i wynurzają się z biblioteki i archiwum obok pokoju głównego kapłana. Snują się po kaplicy, przechodzą przez nasze pokoje, wędrują dokoła budynku, a potem wracają do biblioteki albo nikną. - Przyglądał się uważnie mojej twarzy, jakby doszukiwał się tam drwiny, wiary, niedowierzania - czegokolwiek. Ja po prostu skinęłam głową. - To bardzo niezręczna sytuacja - dodał. - Próbowaliśmy kilku prostych egzorcyzmów, ale nic to nie dało.

- Od jak dawna to trwa? - spytałam.

- Mniej więcej trzy dni - odparł.

- Czy skrzywdziły kogokolwiek?

- Nie. Budzą wielki strach, ale nikogo nie zraniły. Rozpraszają też uwagę, gdy ktoś próbuje spać, to znaczy medytować, bo wywołują uczucie mrowienia i czasami sprawiają, że włosy się jeżą na głowie.

- Interesujące - powiedziałam. - Czy jest ich dużo?

- Z tym bywa różnie. Zwykle jest tylko jeden. Czasami dwa. Z rzadka trzy.

- Czy w waszej bibliotece nie ma przypadkiem terminalu komputerowego?

- Tak, mamy terminal - odpowiedział. - Jak już mówiłem, jesteśmy bardzo nowocześni. Trzymamy tam swoje archiwa, możemy uzyskać wydruki świętych tekstów, których nie mamy pod ręką... i inne rzeczy.

- Jeśli zamkniecie terminal na jeden dzień, prawdopodobnie odejdą, i nie sędzę, żeby miały wrócić - oznajmiłam.

- Musiałbym sprawdzić, co o tym myśli mój przełożony, nim zrobię coś takiego. Wie pani coś o tych sprawach?

- Tak, lecz na razie chciałabym się ogrzać, jeśli to możliwe.

- Oczywiście. Proszę tędy.

Poszłam za nim. Przed wejściem oczyściłam i zdjęłam buty. Poprowadził mnie dokoła budynku do jego tylnej części i dalej do ładnego pokoju, który wychodził na ogród świątyni.

- Pójdę i dopilnuję, żeby przygotowano dla pani posiłek i kosz z węglem drzewnym, tak by mogła się pani ogrzać - powiedział, gdy przeproszał, że wychodzi.

Zostałam sama i podziwiałam złotego karpia pływającego nie dalej niż kilka stóp ode mnie; powierzchnię stawu dziurawiły od czasu do czasu krople deszczu. Był tam też mały kamienny most przerzucony nad stawem, kamienna pagoda, ścieżki biegnące pośród kamieni i krzewów. Chciałam przejść po tym moście - jakże niepodobnym do tamtego metalowego przęsła, prącego naprzód, zimnego i ciemnego! - i zatracić się tam na wiek czy dwa. Zamiast tego usiadłam i z wdzięcznością popijałam herbatę, którą przyniesiono mi po kilku chwilach, a także ogrzewałam stopy i suszyłam skarpetki przy ciepłym koszu z węglem, który pojawił się zaraz potem.

Później, w połowie posiłku, gdy z przyjemnością rozmawiałam ze znanym mi już młodym kapłanem, którego poproszono, by dotrzymał mi towarzystwa, dopóki główny kapłan nie będzie mógł tam zejść i osobiście mnie powitać, ujrzałam mojego pierwszego epigona tego dnia.

Przypominał bardzo małego słonia z trzema trąbami. Spacerował wyprostowany po jednej z wijących się ścieżek ogrodowych, wymiatając powietrze ze swojego szlaku to na lewo, to na prawo tymi podobnymi do węży narządami. Jeszcze mnie nie zauważył.

Wskazałam go kapłanowi, który nie był zwrócony twarzą w tamtą stronę.

- A niech mnie! - rzucił, przesuwał w palcach paciorki różańca.

Kiedy patrzył w tamtą stronę, przysunęłam do siebie laskę, żeby łatwo móc jej dosięgnąć.

Gdy twój się zbliżał, w pośpiechu kończyłam jeść ryż i warzywa. Bałam się, że moja miska może zostać wywrócona podczas potyczki, do której wkrótce miało dojść.

Kapłan obejrzał się, kiedy usłyszał szuranie laski po płytach.

- Nie będzie pani tego potrzebować - powiedział. - Tłumaczyłem już, że te demony nie są agresywne.

Pokręciłam głową, przełykając następny kęs.

- Ten zaatakuje, gdy zauważy moją obecność. Widzi pan, jestem osobą, której on szuka - oznajmiłam.

- A niech mnie! - powtórzył.

Wstałam, a epigon, kołysząc trąbami w moją stronę, zbliżał się do mostu.

- Zwykle nie są tak stwardniałe - zauważyłam. - Trzy dni, tak?

- Tak.

Odsunęłam tacę i zrobiłam krok naprzód. Nagle był już na moście i pędził w moją stronę. Przywitałam go pchnięciem na wprost, którego uniknął. Okręciłam dwukrotnie laskę i uderzyłam ponownie, gdy się odwracał. Cios dosięgnął! celu, a mnie trafiły jednocześnie dwie trąby - jedna w pierś, druga w policzek. Epigon rozpadł się jak spalony balon napełniony wodorem, ja zaś stałam tam, pocierając twarz, i cały czas rozglądałam się dokoła.

Następny wśliznął się do naszego pokoju z wnętrza świątyni. Zrobiłam nagły wypad i trafiłam go za pierwszym razem.

- Myślę, że chyba powinnam już iść - stwierdziłam. - Dziękuję wam za gościnność. Proszę przekazać głównemu kapłanowi, że z żalem odchodzę, nie spotkawszy się z nim. Jest mi ciepło i jestem najedzona, dowiedziałam się też tego, co chciałam wiedzieć o waszych demonach. Nie martwcie się wcale terminalem. Prawdopodobnie przestaną was wkrótce odwiedzać, a potem nie powinny już wrócić.

- Jest pani pewna?

- Znam je.

- Nie wiedziałem, że terminale są nawiedzane. Sprzedawca nam nie powiedział.

- Wasz powinien być teraz w porządku. Odprowadził mnie do bramy.

- Dziękuję pani za egzorcyzm - powiedział.

- Dziękuję za posiłek. Do widzenia. Podróżowałam kilka godzin, nim znalazłam miejsce na nocleg w płytkiej jaskini. Użyłam swojego poncho jako osłony przed deszczem.

A dzisiaj przybyłam tutaj, by wypatrywać fali śmierci. Jednak jeszcze nie teraz. Na tym morzu nie ma naprawdę wielkich fal. Moja jest wciąż gdzieś tam, daleko.

## **19. Widok góry Fudzi z Shichirigahamy**

Fudzi za sosnami, w półmroku, obok wzlatają chmury... Wszędzie zapada powoli zmierzch. Pogoda była dziś ładna, zdrowie mi dopisywało.

Spotkałam wczoraj na drodze dwóch mnichów i podróżowałam z nimi przez jakiś czas. Byłam pewna, że widziałam ich już gdzieś wcześniej podczas mojej wędrówki, więc pozdrowiłam ich i spytałam, czy to możliwe. Powiedzieli, że odbywają własną pielgrzymkę do odległej świątyni, i przyznali, że też wyglądam znajomo. Zjedliśmy razem drugie

śniadanie na poboczu drogi. Rozmawialiśmy wyłącznie na tematy ogólne, zapytali mnie jednak, czy słyszałam o nawiedzanej świątyni w Kanagawie. Jak szybko takie wieści się roznoszą. Powiedziałam, że tak, i rozpatrywaliśmy tę osobliwość.

Po pewnym czasie zaczęli mnie drażnić. Skręcałam gdzieś i okazywało się, że jest to także część ich szlaku. Z początku cieszyłam się, że ktoś będzie mi towarzyszył, lecz nie życzyłam sobie, by szli ze mną przez dłuższy czas, a zdawało mi się, iż nasze trasy są zbyt podobne. Wreszcie, kiedy doszliśmy do rozstajów, spytałam, który kierunek wybierają. Wahali się, potem powiedzieli, że idą w prawo. Poszłam ścieżką w lewą stronę. Wkrótce mnie dogonili. Powiedzieli, że zmienili zdanie.

Gdy doszliśmy do następnego miasteczka, zaproponowałam pewnemu mężczyźnie w samochodzie sporą sumę za zawieszenie mnie do następnej wioski. Zgodził się i pojechaliśmy, zostawiając w tyle stojących mnichów.

Wysiadłam, nim dotarliśmy do następnego miasta, zapłaciłam mu i patrzyłam, jak odjeżdża. Potem ruszyłam szybko ścieżką, którą wcześniej zobaczyłam; biegła mniej więcej w obranym przez mnie kierunku. W pewnym miejscu porzuciłam szlak i szłam na przełaj przez lasy, aż trafiłam na kolejną ścieżkę.

Gdy wreszcie nastała pora snu, rozbiłam obóz daleko od szlaku, a następnego ranka bardzo dokładnie zatarłam wszelkie ślady mojej obecności. Mnisi nie pojawili się więcej. Może byli całkiem nieszkodliwi albo ich zamiary były całkiem inne, ale muszę być wierna mojej starannie pielęgnowanej paranoi.

To ona każe mi dostrzec tego mężczyznę w oddali - sądząc z ubioru, jest to człowiek z Zachodu... Kręci się tutaj od jakiegoś czasu i robi zdjęcia. Oczywiście, wkrótce go zgubię, jeśli będzie mnie śledził - a nawet, jeśli nie będzie tego robił.

To straszne, gdy ktoś musi być taki zbyt długo. Wkrótce będę podejrzewać małe dzieci.

Patrzę na Fudzi, gdy cienie się wydłużają. Będę się jej przyglądać, dopóki nie pojawi się pierwsza gwiazda. Wtedy się wymknę.

A teraz widzę, jak niebo ciemnieje. Fotograf wreszcie pakuje swój sprzęt i odchodzi.

Wciąż jestem czujna, ale gdy widzę pierwszą gwiazdę, dołączam do cieni i gasnę jak dzień.

## **20. Widok góry Fudzi z przełęczą Inume**

Przez mgłę i wyżej. Wcześniej trochę padało. A oto Fudzi z burzowymi chmurami nad szczytem. Jestem z wielu powodów zaskoczona, że zaszłam aż tak daleko. Ten widok upewnia mnie jednak, że warto było to wszystko robić. Siedzę na omszałym kamieniu i zapisuję w umyśle zmieniający się wygląd Fudzi, gdy szybko padające krople deszczu zasłaniają jej oblicze; deszcz ustaje, potem znów zaczyna padać.

Wiatry są tu silne. Obłok mgły unosi i opuszcza swe upiorne członki. Pod monotonną mantrą wiatru panuje jakaś odrętwiała cisza.

Rozsiadam się wygodnie, jem, piję, oglądam widoki, jeszcze raz przebiegając myślą moje ostateczne plany. Wszystko dobiega końca. Wkrótce koło się zamknie.

Wcześniej myślałam o tym, by zdobyć się na odwagę i wyrzucić tutaj swoje lekarstwo na znak pełnego oddania sprawie. Teraz wydaje mi się, że to głupi, romantyczny gest. Będę potrzebowała wszystkich sił, całego wsparcia, jakie mogę otrzymać, jeśli mam mieć szansę na sukces. Zamiast pozbywać się tutaj lekarstwa, wezmę go trochę. Wiatry mają na mnie dobry wpływ. Nadchodzą jak fale, lecz są orzeźwiające.

Kilku podróżnych przechodzi w dole. Wycofuję się tam, gdzie nie mogą mnie dojrzeć. Nieszkodliwi, mijają mnie jak duchy, ich słowa unosi wiatr i nie docierają nawet do tego miejsca. Trochę chce mi się śpiewać, ale się powstrzymuję.

Siedzę tak przez dłuższy czas, pogrążona w zadumie nad żywiołami. Dobra była ta podróż w przeszłość, znowu życie na krawędzi...

Pode mną. Następna, jakby znajoma postać pojawia się w polu widzenia, taszcząc wyposażenie. Nie mogę stąd rozpoznać rysów i nie jest mi to potrzebne. Gdy zatrzymuje się i zaczyna ustawiać swój sprzęt, wiem, że to fotograf z Shichirigahamy próbujący uchwycić następnego widok Fudzi trwalszy od jakiegokolwiek, którego pragnę.

Obserwuję go jakiś czas, a on nawet nie spogląda w moją stronę. Wkrótce znów odejdę, bez jego wiedzy. Przyjmę, że to zbieg okoliczności. Oczywiście, tymczasowo. Jeżeli znów go zobaczę, być może będę musiała go zabić. Będę zbyt blisko celu, by pozwolić na zaistnienie chociażby możliwości, że ktoś mi przeszkodzi.

Lepiej będzie, jeśli teraz odejdę, bo wolę podróżować przed nim niż za nim.

Fudzi, panie na wysokościach, to było dobre miejsce na odpoczynek. Wkrótce znowu się zobaczymy.

Chodź, Hokusai, odejźmy stąd.

## **21. Widok góry Fudzi z gór Totomi**

Nie ma już starych stolarzy dzielących belkę na deski, nadających im kształt. Pozostaje tylko Fudzi ze śniegiem i chmurami. Mężczyźni na drzeworycie wykorzystują dawne metody pracy, tak jak bednarz z Owari. A jednak oprócz tych z rybakami, którzy po prostu czerpią z przyrody to, co jest im potrzebne, są to jedyne dwa drzeworyty w mojej książce przedstawiające ludzi aktywnie kształtujących coś w swoim świecie. Ich zajęcia są zbyt tradycyjne, żebym mogła zobaczyć w nich obraz Dziewicy i Dynama. Mogli wykonywać tę samą pracę tysiąc lat przed Hokusaiem.

A jednak scena ta ukazuje ludzi, którzy kształtują świat, i to sprawia, że wędrując szlakami minionych lat, docieram do naszych czasów, do tej epoki wymyślnych narzędzi i zmian na dużą skalę. Widzę w tym obraz tego, co później stworzono, metalowej skóry i pulsujących przepływów, w które miał się przyoblec świat. I Kit jest tam także, podobny do boga, unoszący się na elektronicznych falach.

Niepokojące. Świadczy to jednak o odwiecznej umiejętności wydobywania się z kłopotów, jakby to także było tylko błyskawiczne spojrzenie na ruch ludzkości w czasie, a czyja wygrani, czy przegram, surowiec pozostaje i pokona ostatecznie każdą przeszkodę. Naprawdę chciałabym w to uwierzyć, ale muszę pozostawić pewność politykom i kaznodziejom. Moja droga jest wytyczona i naznaczona wizją tego, co musi być zrobione.

Nie zobaczyłam ponownie fotografa, jednak dostrzegłam wczoraj mnichów obozujących na zboczu odległego wzgórza. Przyjrzałam się im przez teleskop i byli to ci sami, z którymi krótko podróżowałam. Nie zauważyli mnie i obeszłam ich, kryjąc się. Od tego czasu nasze szlaki się nie przecięły.

Fudzi, do tej pory przyswoiłam sobie dwadzieścia jeden twoich postaci. Żyć trochę, umrzeć trochę. Powiedz bogom, o ile cię to interesuje, że istnieje świat, który niedługo umrze.

Wędruję dalej i jest jeszcze wcześniej, gdy zatrzymuję się na noc na polu obok jakiegoś klasztoru. Nie chcę tam wchodzić po ostatnim doświadczeniu w nowoczesnym świętym miejscu. Układam się do snu na osłoniętym skrawku ziemi w pobliżu, wśród kamieni i odrośli sosen. Sen przychodzi łatwo, trwa do jakiejś dziwnej godziny.

Budzę się nagle, drżąc, wśród ciemności i ciszy. Nie pamiętam, bym słyszała jakiś dźwięk z zewnątrz albo by przyśniło mi się coś niepokojącego. A jednak boję się nawet poruszyć. Oddycham ostrożnie i czekam.

Płynąc jak lotos po stawie, podeszło to do mojego boku, piętrzy się nade mną, nosi gwiazdy niczym koronę, jarzy się własnym mlecznym, nadnaturalnym światłem. To postać podobnego nieco do Kannon bodhisattwy o delikatnych rysach i w szatach utkanych z



promieni księżyca.

- Mari.

Głos jest łagodny i pieszczotliwy.

- Tak? - odpowiadam.

- Wróciłaś, by podróżować po Japonii. Przychodzisz do mnie, prawda?

Złudzenie zostaje rozwiane. To Kit. Pieczołowicie wy-rzeźbił tego epigona i sam przybiera jego kształt, by mnie odwiedzić. W klasztorze musi być terminal. Czy spróbuje mnie zmusić?

- Wędrowałam, żeby się z tobą zobaczyć, to prawda - udaje mi się wykrztusić.

- Możesz się teraz do mnie przyłączyć, jeśli chcesz. Wyciąga wspaniale ukształtowaną rękę, jakby w błogosławieństwie.

- Mam kilka drobnych spraw, które muszę wyjaśnić, nim się ponownie złączymy.

- Co może być ważniejsze? Widziałem orzeczenia lekarskie. Znam stan twojego ciała. Tragedią byłaby twoja śmierć w drodze, gdy tak niewiele trzeba, byś dostąpiła najwyższego szczęścia. Chodź teraz.

- Czekałeś tak długo, a czas znaczy dla ciebie mało.

- To o ciebie mi chodzi.

- Zapewniam cię, że zrobię wszystko, żeby się zabezpieczyć. Tymczasem jest coś, co niepokoi mnie od pewnego czasu.

- Powiedz mi.

- W ubiegłym roku w Arabii Saudyjskiej trwała rewolucja. Wydawało się, że Saudyjczycy na niej skorzystają, ale zagrożone zostały przy tym dostawy ropy do Japonii. Nagle nowy rząd zaczął bardzo źle wyglądać na papierze, natomiast nowe ugrupowanie kontrewolucyjne zaczęło się wydawać silniejsze i łagodniejsze, niż było naprawdę. Największe mocarstwa przeprowadziły udaną interwencję, opowiadając się po stronie kontrewolucjonistów. Teraz to oni są u władzy i wygląda na to, że są jeszcze gorsi niż pierwszy rząd, który został obalony. Wygląda na to, choć jest to niezrozumiałe dla większości ludzi, że informacje w komputerach na całym świecie zostały w jakiś sposób zmienione, by wprowadzić wszystkich w błąd. A teraz w Osace ma się odbyć konferencja, podczas której wynegocjowane zostaną z obecnym rządem nowe porozumienia dotyczące ropy. Wszystko wskazuje na to, że Japonia robi na tym bardzo dobry interes. Kiedyś powiedziałeś mi, że jesteś ponad takimi przyziemnymi sprawami, ale sama nie wiem. Jesteś Japończykiem, kochałeś swój kraj. Czy to możliwe, że wmieszałeś się do tego?

- A jeśli nawet tak było? To tak niewiele znaczy wobec wiecznych wartości. Jeśli

pozostaje we mnie odrobina sentymentu dla takich spraw, nie jest haniebne, że darzę względami mój kraj i mój naród.

- Ale skoro zrobiłeś to w tym przypadku, czy nie jest możliwe, że zapragniesz interweniować w jakiejś innej sprawie, kiedy przyzwyczajenie albo sentyment podpowiedzą ci, iż powinienesz to zrobić?

- Co z tego? - odpowiada. - Wyciągam tylko palec i macę trochę pyłu złudzenia. Może to co najwyżej zapewnić mi jeszcze większą wolność.

- Rozumiem.

- Wątpię, ale zrozumiesz, kiedy się do mnie przyłączysz. Dlaczego nie miałabyś tego zrobić teraz?

- Wkrótce - mówię. - Pozwól mi załatwić moje sprawy.

- Dam ci jeszcze kilka dni - rzuca - a potem musisz być ze mną na zawsze.

Skłaniam głowę.

- Wkrótce znów się z tobą spotkam - mówię.

- Dobranoc, ukochana.

- Dobranoc.

Odpływa wtedy, nie dotykając stopami ziemi, i przechodzi przez ścianę klasztoru.

Sięgam po moje lekarstwo i brandy. Podwójna dawka i tego, i tego...

## **22. Widok góry Fudzi z rzeki Sumida w Edo**

I oto przybywam do miejsca, w którym krzyżują się drogi. Drzeworyt ukazuje przewoźnika płynącego z gromadką ludzi przez rzekę ku miastu i wieczorowi. Ciemna i zamyślona Fudzi jest na bardzo dalekim planie. Tutaj naprawdę myślę o Charonie, ale ta myśl nie jest tak niepożądana, jak mogła być kiedyś. Przechodzę jednak przez most.

Ponieważ Kit przyrzekł mi trochę łaski, przemierzam swobodnie jasne ulice, wdychając zapachy, słuchając hałasów i patrząc na ludzi podążających swoimi drogami. Zastanawiam się, co robiłby Hokusai w naszych czasach? Nic na ten temat nie mówi.

Piję trochę, od czasu do czasu się uśmiecham. Jem nawet dobry posiłek. Jestem zmęczona ponownym przeżywaniem mojego życia. Nie szukam pociechy w filozofii czy w literaturze. Dziś wieczorem chcę po prostu pochodzić po mieście, przesuwając swój cień po twarzach i witrynach sklepów, barach i teatrach, świątyniach i biurach. Wszystko, co znajduje się w pobliżu, jest tego wieczoru mile widziane. Jem susi, uprawiam hazard, tańczę. Nie ma

teraz dla mnie wczoraj, nie ma jutra. Kiedy jakiś mężczyzna kładzie rękę na moim ramieniu i uśmiecha się, przenoszę ją na swoją pierś i śmieję się. Nadaje się do godzinnej gimnastyki i śmiechu w małym pokoju, który dla nas znajduje. Sprawiam, że krzyczy kilka razy, nim opuszczam go mimo jego błagań, żebym została. Zbyt wiele muszę zrobić i zobaczyć, kochany. Powitanie i pożegnanie.

Idę... przez parki, aleje, ogrody, place. Przechodzę... przez małe mosty i większe, przez ulice i chodniki. Szczekaj, psie. Krzycz, dzieciaku. Łkaj, kobieto. Pojawiam się między wami i znikam. Wyczuwam was z beznamiętną pasją. Przyjmuję was wszystkich do mojego wnętrza, by móc zamknąć tu świat na jedną noc.

Gdy spaceruję, pada drobny deszcz, a po nim nadchodzi chłód. Moje ubrania są wilgotne, potem znów suche. Zachodzę do jednej ze świątyń. Płacę taksówkarzowi, żeby obwiózł mnie po mieście. Jem o późnej porze. Wstępuję do następnego baru. Natrafiam na opuszczony plac zabaw, gdzie huśtam się i patrzę na gwiazdy.

I stoję przed fontanną pokazującą wodę jaśniejącemu niebu, aż wreszcie gwiazdy nikną i tylko ich zapomniane iskry spadają wokół mnie.

Potem śniadanie i długi sen, następne śniadanie i dłuższy sen...

A ty, mój ojcze, tam na smutnej wysokości? Muszę cię wkrótce opuścić, Hokusai.

### **23. Widok góry Fudzi z Edo**

Znów idę, wieczór jest pochmurny. Ile czasu minęło od rozmowy z Kitem? Zbyt dużo, jestem tego pewna. Epigon może przyskoczyć do mnie w każdej chwili.

Zawęziłam obszar poszukiwań do trzech świątyń - żadna z pewnością nie jest tą z drzeworytu. Widać tam pod nieprawdopodobnym kątem tylko najwyższą jej część, za jej zwieńczeniem jest Fudzi, a pośrodku dym, chmury i mgła. Czuję wszakże, że jedna z tych trzech będzie wystarczająco dobra w ten błękitny wieczór.

Przechodziłam obok nich wiele razy jak krążący ptak. Nie mam ochoty robić nic więcej, bo czuję, że właściwy wybór zostanie wkrótce dokonany za mnie. Od pewnego czasu czuję, że gdy odwiedzam kolejno różne miejsca, jestem śledzona, tym razem naprawdę śledzona. Wydaje się, że moja najgorsza obawa nie była bezpodstawna. Poza epigonami Kit używa też ludzkich wysłanników. Nie chce mi się zgadywać, w jaki sposób ich znalazł i uczynił swymi sługami. Któż inny śledziłby mnie teraz, patrząc, czy dotrzymam obietnicy, mając mnie do tego zmusić, jeśli okaże się to konieczne?

Zwalniam. Ale ten, kto jest za mną, robi to samo. Jeszcze nie. W porządku.

Napływa mgła. Echo moich kroków jest przytłumione. Tych za moimi plecami także. Niestety.

Idę w stronę ostatniej świątyni. Znowu zwalniam, kiedy jestem już blisko; wszystkie moje zmysły są napięte, wyczulone.

Nic. Nikt. Wszystko w porządku. Czas nie jest problemem. Idę dalej.

Po dłuższej chwili zbliżam się do trzeciej świątyni. To musi być ta, ale potrzebny mi jest jakiś ruch człowieka, który mnie śledzi, to będzie dla mnie znak. Potem oczywiście będę się musiała zająć tą osobą, zanim wykonam własny ruch. Mam nadzieję, że nie będzie to zbyt trudne, bo wszystko będzie się obracać wokół tego małego konfliktu.

Zwalniam jeszcze bardziej, lecz nie ukazuje się nic oprócz wilgotnej mgły na mojej twarzy i moich kłykci zaciśniętych na lasce. Zatrzymuję się. Szukam w kieszeni paczki papierosów, którą kupiłam kilka dni temu w świątecznym nastroju. Wątpiłam, żeby miały mi skrócić życie.

Gdy podnoszę papierosa do ust, słyszę słowa:

- Potrzebuje pani ognia? Przytakuję, odwracając się.

To jeden z tamtych dwóch mnichów wyciąga ku mnie zapalniczkę i błyska jej płomieniem. Po raz pierwszy dostrzegam spore zgrubienie na grzbiecie jego dłoni. Ukrywał to starannie przedtem, gdy przebywaliśmy razem. Drugi mnich pojawia się za nim, po lewej.

- Dziękuję.

Zaciągam się i posyłam dym w dal, by połączył się z mgłą.

- Przebyła pani długą drogę - stwierdza mężczyzna.

- Tak.

- I pani pielgrzymka dobiegła końca.

- Och? Tutaj?

Uśmiecha się i kiwa głową. Odwraca głowę w kierunku świątyni.

- To nasza świątynia - mówi. - Czcinmy tu nowego bodhisattwę. On oczekuje pani w środku.

- Może jeszcze poczekać, aż skończę papierosa - mówię.

- Oczywiście.

Obrzucam mężczyznę niedbałym, taksującym spojrzeniem. Jest prawdopodobnie doskonałym karateką. Ja doskonale posługuję się bo. Gdyby był tu sam, założyłabym się, że będę górą. Ale jest ich dwóch, a ten drugi jest prawdopodobnie równie dobry jak ten. Kokuzo, gdzie twój miecz? Nagle zaczynam się bać.

Odwracam się, upuszczam papierosa i atakuję z półobrotu. Jest oczywiście przygotowany. Nieważne. Mój pierwszy cios trafia go.

Jednak w tym czasie drugi mężczyzna zachodzi mnie od tyłu. Muszę się wykręcać na wszystkie strony i wykonywać obronne ruchy, obracając się bez końca. Jeżeli potrwa to zbyt długo, uda im się mnie zmęczyć.

Słyszę mruknięcie, gdy trafiam jednego z nich w bark. To zawsze coś...

Zmuszają mnie, bym stopniowo ustępowała pola i cofała się ku ścianie świątyni. Jeśli zepchną mnie zbyt blisko niej, będzie mi przeszkadzać w uderzaniu. Jeszcze raz próbuję utrzymać pozycję, zadać decydujący cios...

Nagle mężczyzna z mojej prawej pada, na jego plecach widzę czarną postać. Nie ma czasu, by się zastanawiać. Skupiam uwagę na pierwszym mnichu i po kilku chwilach uderzam ponownie, potem jeszcze raz.

Mojemu wybawcy nie idzie jednak tak dobrze. Drugi mnich zrzucił go z siebie i zaczyna zadawać mu ciosy mogące skruszyć kości. Mój sojusznik wie jednak co nieco o walce wręcz, bo przybiera postawę obronną i blokuje wiele z tych uderzeń, a nawet sam zadaje kilka. Ale i tak jest wyraźnie słabszy.

Wreszcie wyprowadzam kopnięcie i znów trafiam mojego przeciwnika w bark. Trzykrotnie próbuję go trafić, gdy leży na ziemi, ale tocząc się, unika moich ciosów i znów wstaje. Słyszę ostry krzyk z prawej strony, ale muszę cały czas patrzeć na mojego przeciwnika.

Atakuje ponownie i tym razem trafiam go dzięki nagłemu zwrotowi, a potem poprawiam i miażdżę mu skroń. Następnie obracam się, prawie za późno, bo mój sojusznik leży na ziemi, a drugi mnich rusza na mnie.

Albo mam szczęście, albo został ranny. Szybko trafiam tego mężczyznę, następuje szybka seria uderzeń, które zwalają go z nóg, zamraczają i załatwiają na dobre.

Podbiegam do trzeciego mężczyzny i klękam obok niego, dysząc. Widziałam jego złoty kolczyk, gdy zajmowałam się drugim mnichem.

- Borys. - Biorę go za rękę. - Dlaczego tu jesteś?

- Powiedziałem ci... mogłem wziąć kilka dni... żeby ci pomóc - mówi, a krew sączy się z kącika jego ust. -

Znalazłem cię. Robiłem zdjęcia... I patrz... Potrzebowałaś mnie.

- Szkoda - mówię. - Jestem wdzięczna, ale szkoda. Jesteś lepszym człowiekiem, niż myślałam.

Ściska moją rękę.

- Powiedziałem ci, że cię lubię... Mariuszka. Żałuję, że... nie mieliśmy... więcej czasu...

Pochyliam się i całuję go, krew pojawia się na moich ustach. Jego dłoń rozluźnia się w mojej. Nigdy nie potrafiłam dobrze oceniać ludzi, chyba że po fakcie.

Potem wstaję. Zostawiam go tam, na mokrym chodniku. Wchodzę do świątyni.

W pobliżu wejścia jest ciemno, ale z tyłu płonie wiele świateł wotywnych. Nie widzę nikogo wokół siebie. I tak nie myślałam, że kogoś zobaczę. Mieli być tylko ci dwaj mnisi prowadzący mnie do terminalu. Idę w stronę świateł. To musi być gdzieś tutaj, z tyłu.

Gdy szukam, słyszę, jak deszcz pada na dach. Z boku, po każdej stronie, za światłami są małe pokoje.

Jest tam, w drugim z nich. Już kiedy przekraczam próg, czuję znajomą jonizację, która mówi mi, że Kit czymś się tutaj zajmuje.

Opieram laskę o ścianę i podchodzę bliżej. Kładę dłoń na szumiącym terminalu.

- Kit - mówię - przyszedłam.

Nie wyrasta przede mną żaden epigon, ale czuję jego obecność i zdaje się mówić do mnie, tak jak to robił owej nocy tak dawno temu, kiedy położyłam się na tapczanie i nałożyłam hełm:

- Wiedziałem, że będziesz tu dziś wieczorem.

- I ja to wiedziałam - odpowiadam.

- Zrobiłaś wszystko, co miałaś zrobić?

- Prawie wszystko.

- I jesteś gotowa się ze mną połączyć?

- Tak.

Znów czuję ten ruch, prawie seksualny w swej naturze, gdy wpływa we mnie. Jeszcze chwila, a zabrałby mnie do swojego królestwa.

Tatemaie jest tym, co pokazujesz innym. Honne to twój prawdziwy zamiar. Znając przestrogi Musashiego z Księgi wód, próbuję nie ujawniać mojego honne nawet w tej chwili. Po prostu wyciągam wolną rękę i przewracam laskę, tak że jej metalowy koniec, z włączonymi bateriami, opada na terminal.

- Mari! Co zrobiłaś? - pyta z mojego wnętrza, gdy szum ustaje.

- Odciełam ci drogę odwrotu, Kit.

- Dlaczego?

Sztylet jest już w mojej dłoni.

- To jedyna droga dla nas. Daję ci tojigai, mój mężu.

- Nie!

Czuje, jak próbuje przejąć kontrolę nad moim ramieniem, gdy robię wydech. Ale jest za późno. Ostrze już się przesuwa. Czuje, jak wchodzi w moje gardło, dobrze włożone.

- Idiotko! - krzyczy. - Nie wiesz, co zrobiłaś! Nie mogę wrócić!

- Wiem.

Kiedy opadam na terminal, wydaje mi się, że za moimi plecami słyszę wzmagający się huk. To Wielka Fala wreszcie po mnie przyszła. Żałuję jedynie tego, że nie dotarłam do końcowej stacji, oczywiście jeśli nie ją właśnie Hokusai próbuje mi pokazać tam, za małym okienkiem, za mgłą i deszczem, i nocą.

## **24. Widok góry Fudzi podczas letniej burzy**

## FANTASY I SCIENCE FICTION: Z PUNKTU WIDZENIA PISARZA

*Wytrwałość czytelnika nie powinna zostać nadwierzona przez jeszcze jeden esej, jednak od razu zaznaczam, że opłacam regularnie moje bóstwa opiekuńcze, by oszczędzały mi wycieczki gasnącego pisarza, który próbuje wszystko podsumować. Jest to tylko mała przemowa, którą wygłosiłem na otwarciu Siódmej Dorocznej Eatonowskiej Konferencji na temat Fantasy i Science Fiction na Uniwersytecie Kalifornijskim w Riverside w 1985 roku, gdzie traktowano mnie dobrze; i pomyślałem, że może to być przyzwoity kawałek na zakończenie.*

Często zastanawiałem się, czy jestem twórcą science fiction, który marzy o tym, że tworzy fantasy, czy też jest na odwrót. Większość mojej science fiction zawiera jakiś pierwiastek fantasy i vice versa. Przypuszczam, iż może to drażnić purystów z obu kierunków, którzy mogą uważać, że psują opowieść science fiction, będącą pod innym: względami do przyjęcia, przez włączanie nie wyjaśnionych elementów albo że naruszam czystość jakiegoś utworu fantasy, gdyż powoduję, iż jej cuda podlegają zbyt racjonalnemu zbiorowi ograniczeń.

Może być w tym trochę prawdy, więc powinienem przynajmniej spróbować powiedzieć wam, dlaczego działałem w ten sposób, co znaczy dla mnie ta pozornie niejednolita natura dużej części moich utworów i jak można według mnie to znaczenie zastosować do całej dziedziny.

Gdy byłem chłopcem, moje pierwsze samodzielne lektury dotyczyły mitologii - czytałem tego dużo. Dopiero później odkryłem opowieści ludowe, bajki, historie o fantastycznych podróżach. A dopiero znacznie później - w wieku lat jedenastu - przeczytałem swoją pierwszą opowieść science fiction.

Właściwie dopiero niedawno przyszło mi do głowy, że taka kolejność lektur odpowiadała w dużym stopniu etapom rozwoju gatunku. Najpierw pojawiła się fantasy mająca korzenie we wczesnych systemach religijnych - w mitologii - i literatura epicka. Złagodzone wersje tych przekazów przetrwały rozwój chrześcijaństwa w formie legend, folkloru, bajek, a niektóre wchłonęły także elementy chrześcijańskie. Później przyszedł czas na fantastyczne podróże, utopie. W końcu wreszcie, w okresie rewolucji przemysłowej, Mary Shelley, Jules Verne, H. G. Wells zastąpili elementy nadnaturalne naukowymi



usprawiedliwieniami. Tak naprawdę czytałem wszystko we właściwym porządku chronologicznym.

Wydaje mi się teraz, że miało to wpływ na moje podejście do stosowania elementów fantastycznych w literaturze. Najwcześniejsze utwory z gatunku fantasy zawierały sporo dociekań opartych na nielicznych i niepewnych faktach. Znaczącą rolę odgrywały tam przypuszczenia i nadnaturalne usprawiedliwienia wydarzeń. Przyjmowałem te rzeczy tak, jak to robi dziecko: bezkrytycznie, a moim jedynym kryterium było to, czy historia mi się podoba. Mniej więcej w tym czasie, gdy odkryłem science fiction, znajdowałem się gdzieś w pobliżu progu myślenia. Zacząłem doceniać wartość rozumu. Zacząłem nawet z przyjemnością czytać o nauce. W pewien sposób, jak sędzę, byłem przypadkiem ontogenezy streszczającej filogenezę. Nigdy nie straciłem sympatii dla wszystkich tych odmian - jak przypuszczam, dlatego, że wszystkie wpłynęły na mój sposób myślenia. Za pomocą uczuć trudno jest mi określić różnice między science fiction i fantasy, ponieważ wydają mi się one różnymi obszarami pewnego kontinuum: to te same składniki, ale w różnych proporcjach. Jednak rozum podpowiada mi, że jeśli pośród fantastycznych elementów są rzeczy nadnaturalne albo po prostu takie, które nie są wyjaśnione w sposób zrozumiały dla inteligentnej osoby, która wie, jak działają prawa przyrody, wtedy ta historia powinna być uważana za fantasy. Jeżeli elementy fantastyczne zostają wyjaśnione albo wskazane zostają możliwości wyjaśnienia ich z punktu widzenia obecnego stanu ludzkiej wiedzy czy teorii - lub jakiegoś ich rozwinięcia - potrafię zrozumieć, dlaczego opowieść takiego rodzaju może być zaliczona do science fiction.

Jednak kiedy piszę, najczęściej nie myślę takimi uproszczonymi kategoriami. Wydaje mi się, że fikcja powinna odzwierciedlać życie i że jej modus to klasyczny akt mimesis, naśladowanie działania. Przyznaję, że w science fiction i fantasy używamy krzywego zwierciadła; jednak powinno ono w jakiś sposób przedstawiać wszystko, co jest przed nim umieszczone. Osobliwą zaletą krzywego zwierciadła jest to, że potrafi ono kłaść szczególny nacisk na te cechy powszechnie akceptowanej rzeczywistości, które pisarz chce uwydatnić - stawiając nasze utwory pod wieloma względami blisko satyry w jej klasycznym rozumieniu - co czyni światy science fiction i fantasy szczególnymi sposobami mówienia o współczesnym świecie. Inną zaletą tej praktyki jest to, że pozwala mi ona badać wyjątkowo urozmaiconą galerię postaci.

Nie tylko nie lubię postrzegać moich utworów w odrębnych kategoriach science fiction i fantasy, ale sędzę też, że wbicie takiego klina w mój sposób widzenia kontinuum byłoby dla mnie właściwie szkodliwe, jeżeli chodzi o akt twórczy. Według Johna Pfeiffera,

autora The Human Brain: „W twojej czaszce zamknięty jest cały wszechświat, miniaturowy model twojego otoczenia, którego podstawą są wszystkie doświadczenia, jakie zgromadziłeś przez całe życie”. Z konieczności taki model jest ograniczony przez zakres spostrzeżeń i rodzaj doświadczeń konkretnej osoby. Tak więc świat, o którym piszę, świat, ku któremu podnoszę moje krzywe zwierciadło, nie jest w żadnym ostatecznym rozumieniu światem prawdziwym. To tylko mój ograniczony, osobisty obraz prawdziwego świata. Co za tym idzie, chociaż ze wszystkich sił próbowałem uczynić swoją wersję rzeczywistości tak pełnym jej modelem, jak to tylko możliwe, są tam luki, ciemne obszary, które istnieją jako świadectwo mojej ignorancji w różnych sprawach. Wszyscy posiadamy gdzieś te ciemne obszary, ponieważ nie mamy dość świata ani czasu, by wszystko ogarnąć. Są one częścią ludzkiej kondycji - możecie je nazwać cieniami Junga albo, jeśli wolicie, nie wypełnionymi polami w naszych osobistych bazach danych.

Co to ma wspólnego z fantastyką - z fantasy i science fiction? Moim zdaniem, science fiction, z jej racjonalnym, dającym się niemal udokumentować podejściem do egzystencji, wywodzi się z dobrze oświetlonych, dobrze uporządkowanych obszarów naszych prywatnych wszechświatów, podczas gdy fantasy, zgodnie ze swym historycznym pochodzeniem, ma korzenie w owych ciemnych obszarach. Słyszę już głosy podniesione w proteście przeciw mojej ukrytej sugestii, że fantasy wywodzi się z niewiedzy, a science fiction z oświecenia. Do pewnego stopnia jest to prawda, ale nie całkiem. Jak pisała Edith Hamilton: „Prawdopodobnie nie było lepiej wykształconego pokolenia niż to, które zapoczątkowało kres Aten”. A jednak ci sami bardzo racjonalnie myślący Grecy przekazali nam mitologię klasyczną w jej najsilniej przemawiającej, wyrafinowanej postaci, jednocześnie dostarczając materiału do początkowych rozdziałów w podręcznikach powszechnej.

Nawet jeśli fantasy czerpie przesłanki z niewiadomego, to natychmiast poddaje je takim właśnie racjonalnym procesom, gdyż każdy pisarz wykorzystuje je, kiedy tworzy opowieść. Sama fabuła rozwija się wtedy w doskonale zrozumiały sposób.

Nie twierdzę, że ciemne obszary oznaczają sprawy, które są ostatecznie niepoznawalne; mówię tylko, że są one wyobrażeniami niewiadomego w umysłach poszczególnych autorów - od nie nazwanych okropności Lovecrafta do procesów umysłowych laleczników Larr'ego Nivena.

Wątpię, by modele świata jakichkolwiek dwóch autorów dokładnie się pokrywały. Wydaje mi się też, że uogólnianie i przedstawianie tych chmur nieświadomości w literaturze jest jedną z podstaw fantasy.

Pragnę jednak posunąć sprawy naprzód jeszcze o krok. Trudno mi zaprzeczyć, iż

można napisać dobrą opowieść, która według moich rozróżnień jest czystą fantazy albo czystą science fiction. Jak już wcześniej powiedziałem, zwykle wcale nie myślę o takich rozróżnieniach, gdy pracuję. Kiedy piszę dłuższą opowieść, mój zmysł estetyczny sprawia zwykle, że usiłuję wszystko dopracować, przedstawić pełny obraz sytuacji, przynajmniej lekko ukłonić się wszystkiemu, co dostrzegam w tej wersji rzeczywistości. W rezultacie moje opowieści odzwierciedlają zarówno ciemne, jak i jasne obszary; obok będących w większości elementów, które stosują się do reguł, zawierają kilka rzeczy dwuznacznych albo nie wyjaśnionych. Innymi słowy, mam tendencję do łączenia mojej fantazy i mojej science fiction. Z pewnego punktu widzenia to, co piszę, jest, jak przypuszczam, science fantasy: bękarcim gatunkiem, według jednej z opinii na ten temat. Nie jestem pewny, czym mnie to czyni.

Trzymałem się tego wzoru w mojej pierwszej książce - *Ja, nieśmiertelny* - pozostawiając pewne rzeczy bez wyjaśnienia i pozwalając na rozliczne ich interpretacje. Zrobiłem to znów w drugiej - *Panu Snów* - tylko że tam ciemne obszary tkwiły raczej w samej ludzkiej psychice niż w wydarzeniach. Było to obecne w religii Peian i w jej wpływie na mojego narratora, Francisa Sandowa, w będącej pod innymi względami powieścią science fiction *Wyspie umarłych*. Napisałem *Pana Światła*, książkę, w której wydarzenia można traktować albo jako science fiction, albo jako fantazy z drobnym tylko przesunięciem akcentu. I tak dalej, aż do mojej ostatniej powieści, *Oko kota*, gdzie końcową ćwiartkę można traktować albo jako fantazy, albo jako halucynację, zależnie od tego, jaki kto ma gust w takich sprawach. Piszę w ten sposób, ponieważ muszę, ponieważ mała część mnie, która pragnie pozostać uczciwa podczas opowiadania wyrachowanych kłamstw fikcji, czuje się zobowiązana do wskazania w ten sposób, że nie wiem wszystkiego i że moja ignorancja także musi zostać w jakiś sposób ujawniona w światach, które tworzę.

Zastanawiałem się niedawno, gdzie mnie to stawia w ogólnym kontekście wcieleń amerykańskiej fantastyki. Zacząłem badać ich historię, mając to na myśli, i naraz przypadkiem zrozumiałem, jakie są nasze związki z wielkim planem rzeczy.

Zrobiliśmy wszystko w odwrotnej kolejności.

W późnych latach dwudziestych amerykańska literatura fantastyczna powołała do życia czasopisma z literacką papką. Od tego czasu aż do lat trzydziestych zawdzięczała ona wiele innym rodzajom opowieści przygodowych. Możemy uważać to za rodzaj prescience fiction, i to stamtąd przyszedł impuls, który pchnął naprzód całą resztę.

Co zatem zdarzyło się w latach czterdziestych? Był to czas „twardego” opowiadania science fiction, czas tego jego rodzaju, o którym Kingsley Amis mówił, że miało „pomysł

jako bohatera”. Szczególnie Isaac Asimov i Robert Heinlein są dobrymi przykładami autorów z tego okresu, w którym pomysł, zaczerpnięty z nauki, zdominował narrację. Na pierwszy rzut oka nie powinno się wydawać dziwne, że nasza science fiction weszła w swój pierwszy rozpoznawalny okres, posługując się tym, co było najnowszą fazą historycznego rozwoju science fiction: tą zorientowaną na technikę formą opowieści fantastycznej, która musiała czekać na odpowiedni rozwój nauk. Ale co zdarzyło się później?

W latach pięćdziesiątych, wraz z upadkiem wielu czasopism science fiction i wędrówką gatunku na rynki książek w miękkich i twardych okładkach oraz z uzyskaną w ten sposób wolnością od ograniczeń narzucanych przez czasopisma, nastąpiło przesunięcie problematyki na obszary socjologii i polityki. Pomysł wciąż był bohaterem, ale pomysły nie wywodziły się już wyłącznie z nauk fizycznych. Myślę o Edwardzie Bellamy i Fredzie Pohlu. Myślę o Tomaszu Morę i Maćku Reynoldsie. Myślę o Nie-tzschem i o niektórych studiach charakterów Freuda (które mogę zaklasyfikować tylko jako fantazje), a także o Philipie Jose Farmerze. Cofając się jeszcze bardziej do gatunku sielankowego, myślę też o Rayu Bradburym i o Clif-fordzie Siniaku.

Posuwając się - naprzód, jak przypuszczam - do eksperymentalnych utworów z lat sześćdziesiątych, przypominam sobie Carmina Burana, trubadurów, minnezingerów, liryczną, osobistą literaturę z wcześniejszego jeszcze nawet okresu.

A lata siedemdziesiąte? Widzieliśmy powrót fantasy - grube tomy trylogii opisujących ze szczegółami cudowne wyczyny bogów, wojowników i czarnoksiężników są wciąż z nami, a w ostatnich latach, czego przykładem jest Tol-kien, przybrały ton namiastek Pisma Świętego.

Wydaje się, że amerykańska literatura fantastyczna streściła filogenezę, zaczynając od końca. Pracowaliśmy nad tym wytrwale i ostatecznie udało się nam powrócić do mitycznych początków - w tym czasie ja sam zacząłem pisać. Mam dziwne uczucie deja vu: odzyskuję moją utraconą przeszłość, czytając wiele rzeczy z tej dziedziny, które się obecnie ukazują.

Ktoś może powiedzieć, że korzystam radośnie z możliwości dobierania własnych przykładów. Prawda. Mogę wskazać liczne wyjątki od każdego uogólnienia, jakie zrobiłem. A jednak czuję, że jest coś w tym, co powiedziałem, inaczej bowiem nie szkicowałbym nawet tak chwiejnego, impresjonistycznego zarysu tej tendencji.

Tak więc dokąd zaprowadzi nas ta droga? Dostrzegam trzy możliwości i dziwną wizję: możemy spaść z powrotem do prehistorii i pisać opowieści przygodowe, w których tylko dodatki będą fantastyczne - taki kierunek, jak się wydaje, obrał Hollywood. Możemy się też teraz odwrócić i znów przetrzeć szlak w przyszłość, doganiając

H. G. Wellsa gdzieś koło przełomu wieków. Albo możemy się oprzeć na własnym doświadczeniu i dążyć do syntezy - rodzaju science fiction, który łączy dobre opowiadanie historii z techniczną wrażliwością lat czterdziestych, socjologicznymi problemami lat pięćdziesiątych i dbałością o lepsze pisanie i poprawioną charakteryzację, która wywodzi się z lat sześćdziesiątych.

Takie, jak mówię, są trzy możliwości. Mniej prawdopodobna jest ta ostatnia i jednoczesne włączenie doświadczeń pradawnych lat siedemdziesiątych, kiedy fantasy osiągnęła być może najwyższy poziom w tym stuleciu, to znaczy użycie wszystkiego powyższego z domieszką ciemności tu i ówdzie, poprawienie smaku bez osłabiania głównych składników, manipulowanie naszymi fantazjami przy użyciu pewnej skali racjonalności i zadziwienia - gdyż nasza wyobraźnia potrzebuje obu tych rzeczy jako paliwa, a pełnia ekspresji wymaga przyznania, że istnieją chaos i ciemność, którym przeciwstawia się suma naszej wiedzy i bardziej popularne tradycje myśli, których jesteśmy dziedzicami.

Wydaje mi się, że właśnie to przeciwstawienie wywołuje w ludzkim umyśle i sercu napięcia i konflikty, które można odkryć we wszystkich szczególnie udanych utworach literackich. Mają one drugorzędne znaczenie dla samej narracji, ale są niezbędne, jeśli ta ulotna cecha znana jako ton ma brzmieć wiarygodnie, gdy dąży się do mimetycznego odtworzenia rzeczywistości. Cecha ta, jak mi się zdaje, obecna jest w najlepszych utworach każdego gatunku - a może nie ma nic wspólnego z podziałem na gatunki, bo etykiety służą tylko wygodzie i zakres ich stosowania mogą zmieniać wydawcy lub redaktorzy katalogów z college'ów. Trzeba oczywiście być wyczulonym na takie sprawy, kiedy próbuje się na nowo kształtować tę dziedzinę na własne podobieństwo, bo nie chciałoby się zamazywać obrazu tym twardym, podobnym do klejnotów pisarskim cnotom: narcyzmowi i arogancji.

Czy science fiction i fantasy pójdą tą drogą? Częściowo zależy to od tego, kto będzie takie rzeczy pisał - a ponieważ widzę na tym polu wielu uzdolnionych przybyszów, jestem dobrej myśli. Najbardziej utalentowanymi pisarzami wydają się ci, którzy najmniej dbają o to, jakie nazwy nadaje się rzeczom, o których mówimy. Interesuje ich głównie to, jak skutecznie została opowiedziana historia. Sama fantastyka, tak jak życie, przejdzie przez zwyczajne cykle chwilowych mód, w pewnych okresach kłaść się będzie zbyt ni nacisk na pewien rodzaj tematu albo bohatera, będą też grube książki, cienkie książki i trylogie. Najlepsze opowiadania będą pamiętane po latach. Jakie też mogą one być, naprawdę nie wiem. Nie potrafię przepowiadać przyszłości.